

**Margit Sandemo**

# **GŁÓD ŻYCIA**

Saga o Królestwie Światła 16

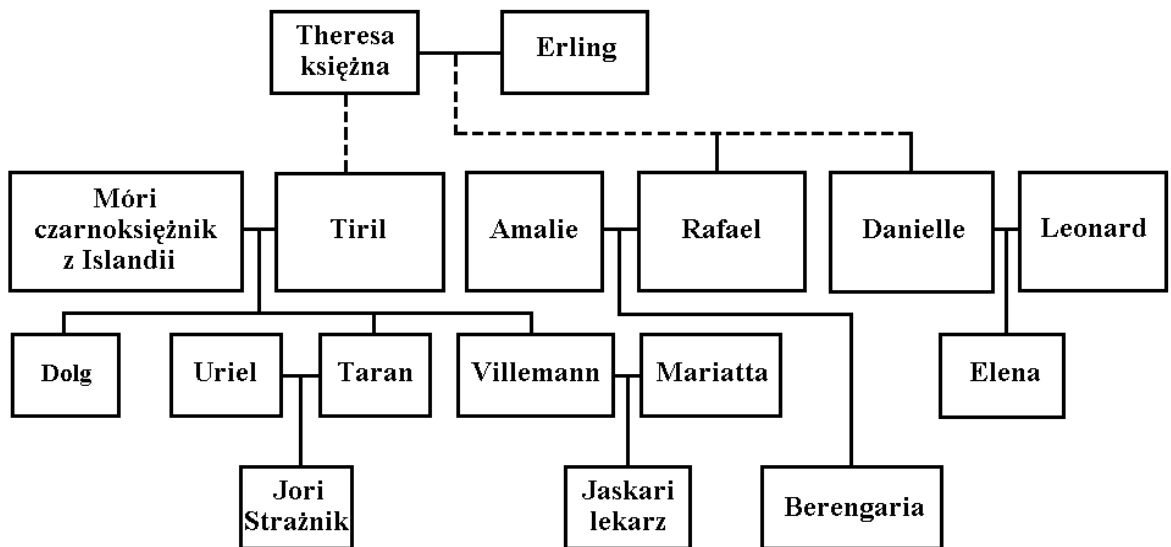
Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

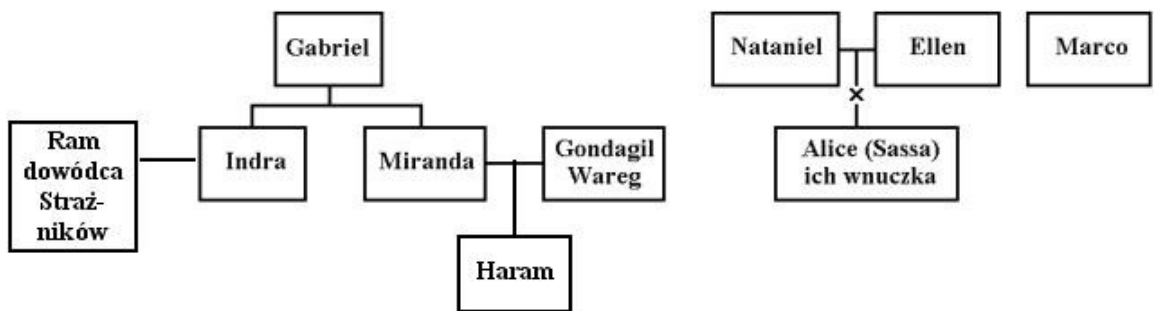
POL - NORDICA

Otwock

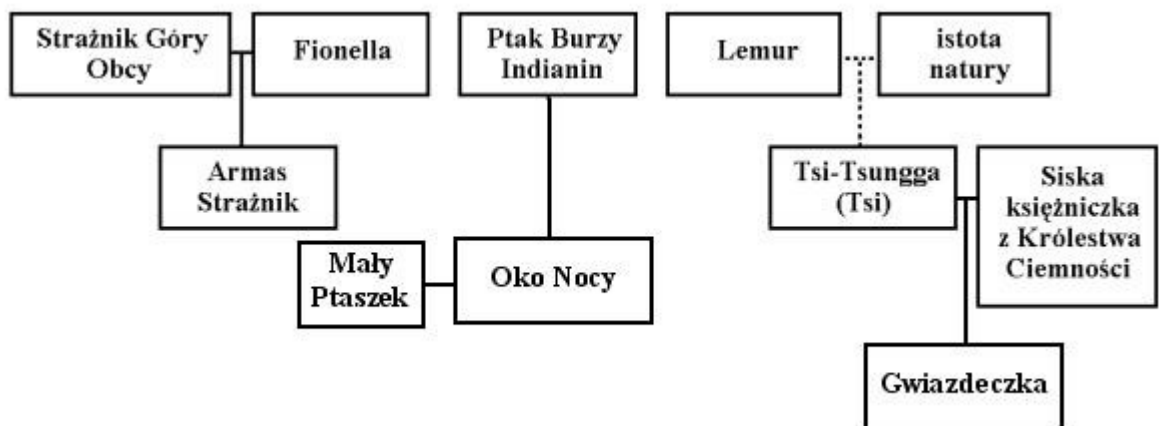
RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA



## LUDZIE LODU



## INNI



Ram, najwyższy dowódca Strażników

Inni Strażnicy: Rok, Tell, Kiro, Goram

Faron, potężny Obcy

Oriana i Thomas

Lilja, młoda dziewczyna

Paula i Helge, Wareg

Misa, Tam, Chor, Tich i mała Kata, Madragowie

Geri i Freki, dwa wilki

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie wywodzący się z rozmaitych epok, tajemniczy Obcy, Lemuryjczycy, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyją Atlantydzi, a w Królestwie Ciemności - znane i nieznanne plemiona.

Wnętrze Ziemi  
(jedna połowa)



## STRESZCZENIE

Królestwo Światła leży w samym centrum Ziemi. Oświetla je Święte Słońce, natomiast poza jego grafikami jeszcze do niedawna rozciągała się Ciemność, nieznana i przerażająca. Ostatnio jednak zdołano pokonać panujący tam odwieczny mrok.

Wielkim celem Obcych jest zaprowadzenie trwałego pokoju na Ziemi i uratowanie przed zniszczeniem planety Tellus. Żeby się to mogło udać, ludzie muszą się

gruntownie odmienić. Można to osiągnąć jedynie poprzez stworzenie specjalnego eliksiru, który wykorzeni zło z ludzkich umysłów.

Obcy, Lemuryjczycy i Madragowie oraz część zamieszkujących w Królestwie Światła ludzi zdobyli już wszystko, czego potrzeba do stworzenia eliksiru., Cudowny wywar jest gotowy do zanieśienia go mieszkańcom Ziemi. Najpierw jednak należało go wielką ostrożnością wypróbować na nieszczęsnych Notach, zamieszkujących Ciemności. Próby wypadły szczęśliwie, choć nie obyło się bez długich i zaciętych walk ze złymi panami Gór Czarnych i groźnym duchem Ciemności.

Mroczną krainę rozjaśniły Święte Słońca i w świetle odmienionych istot zapłonęło wreszcie światło, lecz stało się to dopiero wtedy, gdy przekonano się, że eliksir działa. Święte Słońce bowiem wzmacnia nie tylko dobroć u zwykłych dobrych ludzi. Może ono również pogłębić tkwiące w nich zło.

Właśnie dlatego należało działać bardzo ostrożnie.

Uczestnicy ekspedycji są już właściwie gotowi do wyruszenia na powierzchnię Ziemi, aby pomóc mieszkającym tam ludziom. Przedtem jednak należy jeszcze załatwić kilka spraw. Z Ciemności sprowadzono do Królestwa Światła niewidomego Miszę, który teraz czeka na zdjęcie bandaży po operacji. Trzeba też zburzyć mur okalający Królestwo Światła, by największe Święte Słońce rozświetliło całe wnętrze Ziemi.

Pewnego dnia zaś Marco otrzyma niezwykłą wiadomość...

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### OBCY

Kim albo czym są Obcy? Skąd przybyli?

I czego chcą?

1

Berengaria zgiętym palcem przesuwiała wzdłuż ozdobnej boazerii na ścianie szpitalnego korytarza. Towarzyszyło temu rytmiczne stukanie, szła bowiem prędko.

- Jak sądzisz, co się stanie? - spytała zamyślona. - Chodzi mi o to, w jaki sposób człowiek przeżywa światło, kolory, sam fakt widzenia, skoro był ślepy przez całe życie.

- Będziesz musiała spytać o to Miszę za jakiś czas - odparł Jaskari. - I przestań już wreszcie stukać. Moi pacjenci dostaną przez to rozstroju nerwowego.

Berengaria wyobraziła sobie, jak pacjenci w kolejnych salach podrywają się na łóżkach, wytrzeszczają oczy i wysuwają język przez rozdziawione usta.

Uśmiechnęła się lekko, przestała jednak przeciągać palcem po ścianie.

- Przecież sam Misza mówi, że nie pojmuje znaczenia słowa „widzieć” - podjął Jaskari. - Potrafi dotykiem wyczuć kształt rozmaitych przedmiotów, rozpoznaje mnóstwo smaków i zapachów, ma też doskonały słuch. Lecz nie jest w stanie wyobrazić sobie, że istnieje jeszcze jeden zmysł, i nie rozumie zupełnie, w czym rzecz.

- To bardzo ciekawe! Ale przecież nie wiemy nawet, czy on w ogóle cokolwiek zobaczy.

- No tak, mamy jednak nadzieję, że tak się stanie.

Wysoki jasnowłosy lekarz, umięśniony tak, że szprycujący się sterydami kulturysta mógłby mu pozazdrościć - ale mięśnie Jaskariego były naturalne - ukradkiem zerknął na dziewczynę.

- Wydaje mi się, że powinnaś zaczekać na zewnątrz.

Berengaria stanęła jak wryta.

- Och, sprawiasz mi okropny zawód! Obiecałeś przecież, że będę mogła być przy zdejmowaniu Miszy bandażu.

Jaskari patrzył na pełną uroku postać dziewczyny, na jej smukłe, sprężyste ciało i na świeżą cerę. No i ta radość życia, która wprost od niej biła...

- Wydaje mi się, że Misza powinien najpierw trochę się przyzwyczaić, zobaczyć innych ludzi. Już i tak zauroczył go twój wesoły, pełen entuzjazmu głos. Daj teraz szansę innym, dobrze? Nie chcesz chyba, żeby się w tobie bez pamięci zakochał?

- Misza? A dlaczego nie? To mogłoby bardzo pomóc mojemu załamanej ego. Bo przecież wygląda na to, że nikt inny mnie nie chce. No, ale szczerze mówiąc, wcale bym sobie tego nie życzyła. Mam po prostu wielką ochotę zobaczyć jego reakcję, przecież w pewnym sensie można go nazwać moim odkryciem, prawda? Moim i Marca.

Jaskariemu zrobiło się trochę żal dziewczyny, postanowił iść na kompromis.

Berengaria musiała schować bujne ciemne włosy pod czepkiem pielęgniarki, a twarz osłonić sterylną maską. Prosty, zielony szpitalny fartuch skutecznie ukrywał ponętne kształty.

Byłoby tylko nikt nie wziął mnie za pielęgniarkę i nie wcisnął mi do ręki strzykawki czy basenu, pomyślała podenerwowana Berengaria. Przecież ja nie mam żadnych kwalifikacji medycznych!

Zerknęła na swoje odbicie w lustrze. O rety, nawet rodzona matka by mnie teraz nie poznała, stwierdziła w duchu.

Weszli do pokoju chorego.

Czuję to. Zdejmują z mojej głowy kolejne warstwy bandażu.

Serce wali mi tak mocno, że to wręcz boli.

Znów przywiązali mi ręce i nogi, tym razem do krzesła, na którym siedzę. „Jesteś taki nieobliczalny, Misza, nie możesz usiedzieć spokojnie, bez przerwy tylko wymachujesz rękami”.

Mówili, że teraz stanie się coś niezwykłego, lecz bali się obiecywać za dużo, żebym się przypadkiem nie rozczarował.

A czym miałbym się rozczarować?

Och, nie mogę oddychać spokojnie. Muszę nabrać tchu. Cały się trzęsę.

Berengaria jest tutaj, słyszałem jej głos. Tak bardzo go lubię, dźwięczy w nim tyle radości życia. Ale ktoś ją uciszył. Rodzice też tu są i kilku lekarzy, wśród nich Jaskari. No i wszystkie te miłe pielęgniarki. Doskonale potrafię rozpoznawać głosy.

- Zaraz się przekonamy, Misza. Już niedługo skończymy.

To powiedział Jaskari, dobrze go już znam. Ten lekarz jest moim przyjacielem.

Jak tu jasno, skąd to się wzięło? Znam różnicę między ciemnością a jasnością, w moim pokoju w domu było ciemno, w pokoju rodziców jasno.

Ale tak jasno jak teraz nie było nigdy. Owszem, raz, wtedy gdy Marco zrobił coś, od czego rozbolały mnie oczy. Tak, bo mam teraz oczy, tak przynajmniej mówili.

Nie wiem, czy Marco tu jest, nie słyszałem jego głosu.

Na co oni czekają?

Na głowie został jeszcze jeden bandaż, czuję to. Przytrzymuje kompresy na moich nowych oczach. Tak mówiły pielęgniarki.

Chciałbym, żeby Marco tu był. To on dał mi ręce i nogi, mogę więc teraz chodzić i chwytać różne przedmioty. Wszyscy powtarzają też, że jestem wysoki i przystojny, ale ja nie wiem, co to znaczy. Przy Marcu czuję się bezpieczny, chciałbym trzymać go teraz za rękę, lecz boję się o to poprosić.

Zdjęli już ostatnią warstwę bandaża, kompresy sami przytrzymują, odsunąłbym te ich dłonie, ale nie mogę się ruszyć.

Dlaczego jest tak cicho?

Boję się. Czy nikt nie może wziąć mnie za rękę? Czy mogę o to prosić? O Marca?

Nie, to by było niemądre.

Och, użalam się nad sobą, a nie powinienem.

Jakaś dłoń ujmuje mnie za rękę, drobna dłoń. Kto to?



Tak już lepiej, bezpieczniej. Ja też muszę ją uścisnąć, byle nie za mocno.

- Teraz.

To ten człowiek, którego nazywają profesorem.

Zdejmują kompresy, tak ostrożnie.

Boję się, mammo!

Au... Przykleił się!

Już zauważyli, zdejmują delikatnie, odrobinę boli akurat w tym miejscu.

- Zawadził o szew, jeszcze momencik...

To jedna z pielęgniarek. Ta o ciemnym głosie, ma na imię Ester.

- Już się odczepił.

- Teraz jednocześnie. I ostrożnie!

Misza wydał z siebie zduszony krzyk, usiłując zasłonić oczy, ale ręce miał przywiązane. Odruchowo zacisnął powieki.

- Reaguje na światło - skonstatował ordynator, profesor. - Ale to przecież wiedzieliśmy już wcześniej.

Ach, ależ przecież nie chodziło jedynie o światło, przecież było coś jeszcze!

Coś... jakieś paskudne wełniste stwory poruszają się wokół mnie. Jakieś plamy, które są tak blisko, czyżby trolle? Te, o których matka opowiadała mi bajki?

- No i jak? Jak się czujesz, Misza? Spróbuj jeszcze raz otworzyć oczy, to nie jest niebezpieczne.

- Nie mam odwagi, ostre światło sprawiło mi taki ból.

Proszę wyłączyć monitor, siostró. Dobrze, teraz możesz jeszcze raz spróbować, Misza.

Profesor pochylił się nad chłopakiem, a Misza wystraszony zaczął głośno krzyczeć.

- Ależ, mój drogi, czyżbym doprawdy był aż tak przerażającą osobą? - mruknął profesor, uśmiechając się leciutko, i znów się wyprostował. - Misza, weź teraz za

rękę swoją matkę, poznajesz ją, prawda? Natasza, przysuń mu rękę przed oczy.

O, tak, właśnie tak, widzisz tę rękę, Misza?

Chłopak przestraszony cofnął się z całym krzesłem, lecz usiłował skupić wzrok na niezwykle kształcie rysującym mu się przed oczami.

- Coś tu jest - powiedział drżąco. - Coś jasnego. Ale to jedynie...

- Cień?

- Tak - odparł niepewnie. - Czy to właśnie oznacza „widzieć”?

- Trochę potrwa, zanim twoje oczy nauczą się patrzeć. Wzrok musi się ustabilizować, potem wszystko na pewno będzie dobrze.

Ale w głosie profesora brzmiała troska.

- No cóż, teraz cię opuścimy, zostanie z tobą tylko Jaskari, on się będzie tobą opiekował. Operacja się udała, Misza, ale raczej nie powinieneś jeszcze przeglądać się w lustrze.

- A co to takiego lustro?

- To taka rzecz, w której możesz obejrzeć samego siebie. Na razie jednak twoja twarz nie wygląda najlepiej, pokryta jest sińcami, no i brzegi ran też mogłyby być ładniejsze. Chodźmy już stąd, chłopiec potrzebuje spokoju.

- Mamo - powiedział Misza.

-Jestem tutaj.

Ale matka podobnie jak wszyscy i wszystko inne w pokoju była jedynie rozmazaną plamą.

Próbował sięgnąć do jej ręki, lecz wszystkie plamy zaczęły się oddalać, aż w końcu zniknęły.

Zapadła cisza.

- Teraz uwolnię cię z tych rzemieni - rozległ się głos Jaskariego. - Będziesz mógł wyrzeć przez okno.

Misza już chciał zaprotestować, oświadczyć, że zdolność widzenia wcale nie jest zabawna, ale pozwolił Jaskariemu robić to, co tamten chciał.

- Berengaria była tutaj, prawda? - spytał niby to obojętnie.

- Owszem, a skąd wiedziałeś?  
- Ona oddycha w bardzo szczególny sposób.  
- Naprawdę? Nigdy o tym nie myślałem.  
- Tak, z takim wyczekiwaniem i nadzieją, jak gdyby radowała się każdą chwilą życia.  
- Chyba rzeczywiście masz rację. A teraz weź mnie za rękę, podejźmy do okna. Widzisz łóżko, prawda?  
Misza nie był tego pewien.  
- Widzę okno, tak mi się przynajmniej wydaje - powiedział nieswoim głosem. - Ono jest jaśniejsze od reszty, prawda?  
- Światło i ciemność - mruknął Jaskari pod nosem. - Czyżby to już było wszystko? Widok, o którym Jaskari mówił z takim przejęciem, na Miszy nie wywarł wrażenia. On go po prostu nie widział. Dostrzegał jedynie mlecznobiałe światło, tu i ówdzie poprzecinane cieniami.  
Rozczarowany położył się spać, skulił się na łóżku. Czuł, że Jaskari okrywa go kocem, lecz nie miał siły, żeby mu za to podziękować.

2

Kiedy się przebudził, był w pokoju sam.  
Z początku zdumiało go, że twarz i głowa sprawiają wrażenie takich swobodnych, zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież zdjęto mu bandażę.  
Otworzył oczy.  
Wstrząs przeszył całe ciało.  
Okno! Widział okno i coś niezwykłego, wyrazistego i bardzo pięknego za nim. A po obu stronach okna wisiało coś tak cudownego, że ze wzruszenia w oczach zakręciły mu się łzy.  
To muszą być kolory, pomyślał. One tworzą wzór. Nie mógł się napatrzeć do syta, raz po raz mrugał bolącymi jeszcze oczyma.  
Ściany. One miały w sobie jakąś inną jasność, czyżby... inny kolor? A z sufitu zwieszała się rzecz, która musiała być lampą.

Misza nieco przestraszony podniósł ręce. Czy starczy mu odwagi, żeby się im przyjrzeć? Postanowił jednak, że musi to zrobić. Potem usiadł i powiódł wzrokiem po całym pokoju. W głowie trochę mu się zakręciło od wszystkich tych nowych wrażeń, ale...

Drzwi się otworzyły, do środka weszło jakieś duże stworzenie. To musi być człowiek, stwierdził Misza. Wiem przecież, jak poznać ludzi, wszystko się zgadza. Ale ten człowiek jest taki wielki i potężny, ma jasne ładne włosy, doprawdy, przyjemnie na niego patrzeć. Tak, na niego, bo jestem pewien, że to mężczyzna. Uśmiecha się do mnie, teraz będzie coś mówił. To Jaskari!

Jakiż on piękny!

- Jaskari... Ja... ja widzę - szepnął bez tchu, nie mogąc zapanować nad głosem. -  
Ja widzę!

Wybuchnął płaczem. Wcale tego nie chciał, lecz ściskanie w piersi stało się wprost nie do wytrzymania. Jaskari położył mu rękę na ramieniu, powiedział coś życzliwie i Misza wreszcie zdołał wziąć się w garść.

- Sprawileś nam wszystkim ogromną radość -stwierdził lekarz, gdy chłopak odzyskał wreszcie mowę. - Bardzo się już baliśmy, że się nam nie powiodło.

- Jaskari, musisz mi pomóc. Kolory... Matka opowiadała mi o czerwonym, niebieskim i żółtym, ale nie wiem, który jest który, a nie chciałbym wyjść na głupca, kiedy ktoś spyta.

- Spokojnie, spokojnie - z czułością roześmiał się Jaskari. - Wszystko w swoim czasie. Podejdz ze mną jeszcze raz do okna.

Tym razem Misza usłuchał go bez wahania. Nie wziął jednak pod uwagę wpływu zdolności widzenia na zmysł równowagi, zwłaszcza że przecież nogi również miał od niewielu dni. Zachwiał się i mało brakowało, a by się przewrócił, gdyby Jaskari go nie podtrzymał.

- Trochę mi się kręci w głowie - tłumaczył się zawstydzony Misza.

- To najzupełniej naturalne. Dobrze, a teraz wyjrzyj przez okno i opowiedz mi, co widzisz.

- Ojej! - westchnął Misza. - Ojej!

Przez dobrą chwilę gawędzili o wszystkim, co znajdowało się wokół szpitala, o drzewach, krzakach, domach, niebie i jeziorze. Misza przeszedł błyskawiczny kurs rozpoznawania barw, Jaskari zdumiał się tym, jak szybko chłopak wychwytuje i zapamiętuje nowe wyrażenia. To doprawdy bardzo inteligentny chłopiec, powinien był się kształcić! Ale chyba nie jest jeszcze na to za późno?

- Wiesz, ile masz lat, Misza?

- O, tak. Rodzice zawsze obchodzili moje urodziny. Mam siedemnaście lat.

Niedługo będę miał osiemnaście.

- No proszę, proszę.

Chłopak wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

- Profesor wspomniał o lustrze, czy mógłbym zobaczyć...

- Na razie nie - uśmiechnął się Jaskari. - Raczej bardzo byś się wystraszył.

Zaczekaj jeszcze kilka dni, aż siniaki, opuchlizna i strupy znikną. Ciągnie cię wokół oczu?

- Trochę.

- Staraj się ich nie trzeć i nie odrywaj strupów, odpadną same. Chciałbyś spotkać się teraz z rodzicami?

O, tak, Misza bardzo tego pragnął.

Jaskari przyprowadził ich, lecz wtedy chłopak przeżył szok.

Jacy oni mali i brzydzy, pomyślał. Czy to naprawdę matka i ojciec?

Rodzice jednak uśmiechnęli się do niego i z wyraźnym wzruszeniem powiedzieli, że słyszeli już, co się stało, a wtedy Misza zawstydzil się swoich myśli i mocno ich objął. Wszystkim trojgu oczy błyszczały od łez.

Zaraz przyszła jeszcze pielęgniarka, Misza wiedział, że nie może to być nikt inny, poznał ją bowiem po szeleście fartucha.

Kobieta? Oczywiście! I jakaż ona piękna, ojej!

Była to całkiem zwyczajna pani, ani ładna, ani brzydka, Miszy jednak jej uroda wydała się wprost baśniowa, nie bardzo przecież potrafił porównać ją z innymi.

Na jego korzyść przemawiał jednak fakt, że najbardziej zafascynowała go dobroć, jaką wyczytał w oczach siostry, i jej miły uśmiech. Podobnie zresztą sprawa się miała z rodzicami, niewysokimi pomarszczonymi ludźmi o smagłej, zniszczonej cerze i posiwiałych włosach. Przestraszyło go jedynie pierwsze wrażenie, później, gdy popatrzył im w oczy, kochał ich już tak samo jak zawsze, za ich dobroć.

Pytająco popatrzył na pielęgniarkę. Czy ta przepiękna istota mogła być Berengaria? Chyba tak, inne rozwiązanie nie jest możliwe, chociaż ten fartuch... Zanim jednak zdążył spytać, pielęgniarka powiedziała kilka życzliwych słów i teraz Misza rozpoznał ją po głosie. To nie była Ester, tylko ta druga, którą wyznaczono do opieki nad nim przez te dni.

Przyszędł też profesor, on również był bardzo piękny, choć nie tak przystojny jak Jaskari. Potem zjawili się inni lekarze, zajrzała także Ester. Okazało się, że ma bardzo ciemną skórę i włosy, Misza na jej widok aż podskoczył. Jaskari wyjaśnił mu, że Ester jest Murzynką, lecz Misza tego słowa najwyraźniej nie znał. Trochę się jej bał, chociaż czuł, że to nieładnie z jego strony.

Życie okazywało się znacznie bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażał w swojej ciemnej kryjówce, w której świat składał się zaledwie z dwóch pokoiów, jednego ciemnego, drugiego jasnego, a także z matki i ojca. A przede wszystkim ze strachu, że któryś z owych niebezpiecznych ludzi z wioski odkryje jego istnienie.

Jeszcze później przyszedł Marco.

Misza, tak jak stał, usiadł na łożku.

Och, Marco, ten to dopiero był ciemny! Lecz tak przy tym piękny, że od samego patrzenia dech zapierało w piersiach. Misza niewielu wprawdzie ludzi miał okazję spotkać, lecz mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że mało komu dane było oglądać człowieka podobnego do Marca. Z przejęcia odebrało mu mowę i nie był w stanie odpowiedzieć, gdy Marco spytał go o samopoczucie. I nagle gorąco zapragnął dowiedzieć się, jak też wygląda on sam.

Miał niebieskie oczy, tak mówił Jaskari, niebieskie tak, jak ten mały kwiatek na

wzorze zasłon. No i jasne włosy, jaśniejsze nawet niż Jaskariego. Regularne rysy, tak twierdził przyjaciel, choć akurat teraz dość trudno było je rozpoznać.

To bez znaczenia, że jego twarz szpecą siniaki i opuchlizna. Misza i tak postanowił zdobyć lusterko. Musi sprawdzić, czy jest równie przystojny jak Marco. Przecież wszyscy twierdzili, że teraz, odkąd ma ręce i nogi, on też jest przystojny. Sam widział, że wzrostem może się równać z Markiem, a ojciec sięga mu ledwie do piersi. Chciał się jednak przekonać o swej urodzie na własne oczy.

Dowiedział się, że już niedługo, za dzień albo dwa, będzie mógł opuścić szpital. Rodzice zatrzymali się w hotelu w stolicy, dostali pokój tak piękny, że matka bala się w nim ruszyć. Misza miał zamieszkać razem z nimi w oczekiwaniu na większy i lepiej wyposażony dom w krainie Timona.

A potem w jednej chwili wszyscy zaczęli wychodzić, nadeszła bowiem pora obiadu Miszy, przypuszczano też, że zechce wypocząć po tak silnych przeżyciach.

Ale on nie miał ochoty na jedzenie, nie chciał odpoczywać, pragnął, żeby ktoś wziął go za rękę i zabrał ze sobą do miasta, na pola. Chciał oglądać i przeżywać świat. I to teraz, natychmiast.

Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust i zaraz wszyscy, uściskawszy go, opuścili pokój.

Po ich wyjściu zrobiło się bardzo cicho. Słyszał rozmowy dobiegające z korytarza, głos jakiejś obcej pielęgniarki skarżącej się na tak licznych pacjentów przybyłych z Ciemności, których nie wiadomo z jakiego powodu nie wysłano do ośrodka kwarantanny.

Jakiś inny głos odparł, że kwarantanna i tak jest już przepelniona, a przyjętych do szpitala przecież umieszczono w izolatkach, wszystkich z wyjątkiem tego ślepego, który najwidoczniej był uprzywilejowany.

Powoli ich głosy cichły. „Ten ślepy”? Czyżby chodziło im o niego? Miszy zrobiło się trochę przykro, sam nie pojmował, dlaczego. Zanim trafił do szpitala, musiał przecież przejść przez bardzo gruntowne mycie, właściwie przez szorowanie i płukanie, lecz temu podlegali wszyscy, tak przynajmniej mu mówiono. Teraz nie

bardzo wiedział już, co jest prawdą.

Ciekawe, czy wolno mu wyjść, tak na własną rękę.

Właściwie już wstał, żeby to zrobić, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, gdy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Sądząc, że przyniesiono obiad, powiedział cicho „proszę wejść” i z powrotem usiadł.

Ale to wcale nie był obiad. Przez uchylone drzwi wślizgnęła się do środka młoda dziewczyna.

Miszy krew uderzyła do głowy. Berengaria! Jakże niesłychanie, jak przecudnie piękna! Poczuł, że serce zaczyna walić jak oszalałe, ciało ogarnęło przyjemne drżenie.

- Ach, to ty - szepnął z radością w głosie.

Dziewczyna zarumieniła się.

- Poznajesz mnie? - spytała odrobinę przestraszona.

Misza natychmiast zrozumiał swoją pomyłkę. Przecież to nie był wcale głos Berengarii, chociaż dziewczyna mówiła tym samym językiem co ona. To zupełnie inna osoba, chociaż ktoś, kogo on również zna.

Niezgrabiasz powiedziałaby teraz: „Och, myślałem, że jesteś Berengarią”, Misza jednak miał wrodzone poczucie taktu, kiwnął więc jedynie głową i poczuł, że on również się czerwieni, tak samo jak dziewczyna.

W pokoju zapadła cisza. Na długo.

Wreszcie Misza, spuszczać wzrok, spytał:

- Wtedy to byłaś ty, prawda?

Dziewczyna wyraźnie drgnęła, wreszcie odrzekła szeptem:

- Wybacz mi, bardzo tego potem żałowałam.

Misza gwałtownie uniósł głowę.

- Nie, nie, to... w niczym nie szkodziło. Ja...

Nie mógł się przyznać, że mu się to podobało, tak mówić na pewno nie wypada.

Dziewczyna zaczęła się niezgrabnie tłumaczyć:

- Zrozum, ja nie byłam wtedy sobą, pewna straszna czarownica rzuciła na mnie



urok i...

Misza popatrzył na nią zdziwiony. Czarownica? Przecież one żyją tylko w bajkach.

Co ta dziewczyna usiłuje mu wmówić?

- Muszę już iść - oznajmiła i odwróciła się.

- Ach, nie! - wykrzyknął bez namysłu.

Ona zaraz się zatrzymała. I znów zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Misza po długim namyśle spytał:

- Czy to ty masz na imię Elena?

- Tak - odszepnęła cicho.

Wydawała mu się nieskończenie piękna i... kusząca. Ale chyba nie mógł powiedzieć tego na głos. A może właśnie powinien?

Patrzył na jej drobne, delikatne dłonie, które wtedy trzymały... trzymały... Nie miał śmiałości, żeby skończyć tę myśl, bo zaraz znów spodnie zaczęłyby go cisnąć.

Odwrócił głowę. Doskonale pamiętał, jak weszła, twierdząc, że jest pielęgniarką, której zlecono masaż, i jak zaczęła zbliżać się do owego szczególnego miejsca na ciele. Od dotyku jej rąk tak dziwnie go łaskotało, tak nieznośnie, a potem ona rozzłościła się za to, że nie potrafił się pohamować. Mówiła takie nieprzyjemne słowa, później ktoś przechodził korytarzem i ona wyskoczyła przez okno.

Ojej! Znow dzieje się z nim to samo! Dobrze, że siedzi.

Pamiętał, że zdjęła wtedy majtki i już prawie wspięła się do niego na łóżko, kiedy rozległy się kroki i wszystko tak nagle się skończyło. Co takiego powiedziała zirytowana? „Czyżbym nigdy nie miała poczuć w sobie mężczyzny?”

Rzeczywiście, mówiła prawdę: wtedy była zupełnie inna. Teraz wydawała się taka spokojna i miła, trochę bezradna. Tamtym razem przebijała z niej agresja.

- Czy ta opowieść o czarownicy jest prawdziwa? - spytał zażenowany.

Elena zaraz się ożywiła.

- O, tak, musisz mi uwierzyć, ja nie jestem taka, jak byłam wtedy. Właściwie nigdy nie przeklinam, no, najwyżej czasem, i w ogóle nic umiem postępować z chłopcami. To ta wiedźma, Griselda, nienawidziła mnie i uczyniła mnie złą. Jestem

już teraz uzdrowiona, zły urok został pokonany.

Misza przełknął ślinę. Kiwał głową na znak, że jej wierzy, choć sam nie był wcale o tym przekonany.

- Eleno - rzekł nieśmiało. - Tak bardzo chciałbym zobaczyć świat. Czy ty mogłabyś mi go pokazać?

Wtedy dziewczyna się uśmiechnęła.

- To niebagatelna prośba! Ale może masz na myśli tutejszą okolicę, w pobliżu szpitala?

- Tak, właśnie tak - odparł z ulgą.

Dostrzegłszy pełne wahania spojrzenie, jakim obrzuciła jego twarz, zrozumiał natychmiast, że chyba poprosił o zbyt wiele.

- Przepraszam, mówili mi przecież, że wyglądam trochę dziwnie.

- Wcale nie o tym myślałam - odpowiedziała Elena jakoś za prędko. - Tylko miałeś chyba teraz jeść obiad, tak twierdzili w recepcji.

- No tak, i słyhać już to brzęczenie wózka. Wobec tego zapomnijmy o tym, o co cię prosiłem.

- O, nie, chętnie cię oprowadzę – zaprotestowała Elena z ożywieniem. - Przyjdę po ciebie za godzinę, czy tak będzie dobrze?

Misza nie spodziewał się, że tak bardzo się ucieszy. Z radości i podniecenia prawie nie mógł przełknąć jedzenia, a pielęgniarkom, które z nim żartowały, odpowiadał z wyraźnym roztargnieniem. Siedział, myśląc tylko o pięknej Elenie i ich wspólnej tajemnicy, wiercił się przy tym na krześle, bo całe jego ciało ogarnęło wzburzenie. Chyba nigdy jeszcze jedna godzina tak strasznie mu się nie dłużyła! Gdy pielęgniarki wreszcie sobie poszły, ułożył się na łóżku. Czuł się taki zmęczony, tak bardzo zmęczony, dopiero teraz uświadomił sobie, jak wiele właściwie przeżył w ciągu jednego dnia. Wspomnienia dzisiejszych wydarzeń zalały go niczym rzeka, wirowały w głowie.

Teraz zaczyna się życie, powtarzał w duchu, lecz nie był w stanie zebrać myśli.

Spróbował się skupić.

Chcę zaznać wszystkiego, moje ciało i dusza tęsknią za nowymi doświadczeniami, spragnione są życia jako takiego. Dotychczas żyłem jedynie w odizolowanym, okaleczonym świecie snów, w którym nie wiedziałem nic o tym, co istnieje poza ścianami chaty. Teraz wreszcie przyszła moja kolej, mam tyle pragnień...

Ale nie, wrażenia przemykały tak prędko, że zapominał o nich w tej samej sekundzie, gdy pojawiły się w jego myślach. Co też takiego sobie zaplanował? Już nie wiedział.

Elena...

Co oni zrobili? Coś emocjonującego i przerażającego zarazem. Tyle tylko zdołał wychwycić, bo wspomnienie zaraz znów uciekło. Na moment pojawiła się twarz Marca, wspaniałego Marca.

Berengaria? Nigdy jej nie widziałem.

O kim on myślał w tej chwili? Wspomnienie tej osoby zniknęło jak wszystko inne. Misza usiłował się rozluźnić, odprężyć, czekając na coś... na kogoś? Na Elenę? Tak, na Kicnę...

Zastała go śpiącego na łożku. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu z czułym uśmiechem na ustach. Nie miała serca go budzić.

A ja nic włożyłam bielizny, pomyślała, śmiejąc się w duchu z rezygnacją, lekko zawstydzona.

Obserwowanie Miszy sprawiało jej przyjemność. Pomimo szpecących śladów, jakie zostały na jego twarzy po trudnej operacji, dostrzegała sympatyczne rysy, niewinność i dziecięcą czystość chłopaka.

Mamy przed sobą jeszcze wiele pięknych chwil, pomyślała Elena i cicho wyszła z pokoju chorego.

3

Ci, którym powierzono zaaplikowanie eliksiru dobroci wszystkim mieszkańcom wnętrza Ziemi, mieli większe problemy z Małym Madrytem, miastem

nieprzystosowanych, aniżeli z całą Ciemnością. A przecież to miasto położone było w Królestwie Światła!

Oczywiście nie powinno się mierzyć wszystkich jedną i tą samą miarą. Większość mieszkańców Małego Madrytu posłusznie wypila cudowny wywar Madragów, znaleźli się jednak tacy, którzy za wszelką cenę chcieli się od tego wymigać. Sutenerzy, oszuści, spekulanci giełdowi, drobni kryminaliści... Oni nie życzyli sobie, by ich działalność stała się „grzeczna”. Nie chcieli, by ludzie, z którymi utrzymywali kontakty, zrywali je w imię przyzwoitości. Nic zamierzali rezygnować z jakże przyjemnego życia, które wiedli dotychczas.

Luksusowa prostytutka Zenda nie posiadała się z gniewu. Akurat teraz, gdy wreszcie zdołała się urządzić w swoim własnym domu, w mieście pojawili się jacyś świętoszkowaci durnie z Sagi z postanowieniem, że nawrócą wszystkich mieszkańców Małego Madrytu, używając do tego jakiejś święconej wody! Jak ona zdoła znaleźć klientów, gdy tak się stanie? Co będzie, jeśli wszyscy mężczyźni wstąpią nagle na ścieżkę cnoty i będą siedzieć w domu razem ze swymi śmiertelnie nudnymi żonami?

Cholera! Aż parskła ze złości, krążąc jak lew po klatce w swojej willi, którą dostała w podarunku od zauroczonego jej wdziękami członka rady miejskiej. Oczywiście dom w chwili, gdy go przejmowała, był strasznie nudny, drobnomieszczański, niezwykle porządny, idealny dla zwykłej szarej gospodyni domowej. Mieszkała w nim wcześniej jakaś rodzina, która się rozpadła, pewien agresywny mężczyzna, jego sztywna żona i ich córka. Lilja, chyba tak nazywała się ta dziewczyna. Cóż za idiotyczne imię! Mężczyzna, zdaje się, trafił do więzienia czy też w inny sposób wypadł z gry, żona z córką natomiast przeniosły się do Sagi. No cóż, krzyżyk na drogę!

Teraz dom wyglądał już znacznie lepiej. Zenda zadowolona rozejrzała się w koło. Doprawdy, urządziła go luksusowo! Pokoje od frontu w pięknych przytłumionych kolorach mogłyby oszukać każdego, a jednocześnie dawały gościom poczucie pełnego bezpieczeństwa. Natomiast sypialnia... Olala! Krwistoczerwony aksamit,

zwierciadło na suficie, wygodne miękkie meble, olbrzymie łóżko, błyszczące ozdoby i ciężki zapach perfum. A wszystko po to, by wzbudzić w mężczyznach szaleńcze pożądanie.

Zenda mówiła o sobie, że jest call girl. Brzmiało to o wiele bardziej elegancko aniżeli określenie, na jakie zasługiwała w rzeczywistości: chciwa, pazerna dziwka. Olbrzymie sumy, jakich żądała za swoje usługi, nie przenosiły jej automatycznie do wyższej klasy, choć ona sama tak właśnie uważała.

Nie zaliczała się już do najmłodszych, na razie jednak całkiem nieźle się trzymała, a o tym, że złapała parę mało przyjemnych chorób, nikt nie musiał wiedzieć. Nie wtajemniczała też swoich klientów w fakt, że karierę zaczynała na ulicy, to było już tak dawno temu, że ludzie na pewno o wszystkim zapomnieli.

Nie, nikt nie pozbawi jej tak skutecznego sposobu zarabiania pieniędzy, nie odbierze życiowego zadania, jak sama to nazywała. Dawła wszak tym nieszczęśnikom to, na co w domu nic mogli liczyć. Czyżby na to nie zasługiwali? Czy wobec tego nie spełniała dobrych uczynków?

Cholera!

Nie, nikt jej tego nie odbierze!

- Nie - oświadczyła Lilja. - Nie mam wcale ochoty wracać do naszego domu w Małym Madrycie. Nie chcę go więcej widzieć na oczy! Z tym domem łączy się zbyt wiele nieprzyjemnych, smutnych wspomnień.

- Ale ja jestem taka zajęta - westchnęła poirytowana matka. - Musisz mi zrobić tę przysługę, Liljo. Moja antyczna maszyna do szycia została na stryszku, tak mi żal, że o niej zapomniałam. To bardzo wartościowy sprzęt, zarówno ze względów uczuciowych, jak i czysto finansowych. Nie jest ciężka, bez kłopotu przeniesiesz ją jedną ręką.

- Ale przecież mieszkają tam teraz jacyś ludzie! Nie mogę...

- Wiem, wiem. Sprowadziła się tam pewna elegancka dama, Zenda Brown. W rozmowie okazała wiele uprzejmości, na pewno więc pozwoli ci zabrać maszynę. Zajmij się tym teraz, Liljo, i nie stwarzaj niepotrzebnych problemów! Możesz

polecieć gondolą tam i z powrotem, odchodzą przecież co kwadrans. No już, pospiesz się, ta maszyna należała jeszcze do mojej babki, a po mnie odziedziczysz ją ty, nie zapominaj o tym! Tylko włóż kurtkę, ubrałaś się stanowczo za cienko.

Lilja stłumiła westchnienie niechęci. Poprzysięgła sobie kiedyś, że już nigdy w życiu nie wróci do Małego Madrytu, ale najwidoczniej przysięgi nie zawsze można dotrzymać.

Na pustej ulicy panowała cisza, było wczesne popołudnie, większość ludzi nie wróciła zapewne jeszcze z pracy.

No, jest i dom. Na jego widok Lilja oblała się potem. Wszystko, co się tu wydarzyło... W kurtce zrobiło jej się za gorąco, zdjęła ją.

Od zewnątrz dom pomalowano. Ściany miały słodki różowy kolor, węgly i parapety odnowiono na biało, pod daszkiem werandy i nad oknami umieszczono też różne ozdoby, Cóż, jeśli komuś podoba się taki styl, niech będzie i tak.

Zdaniem Lilji jednak dom był zanadto przesłodzony, wyglądał jak domek dla lalek.

Matka telefonowała do tej Zendy Brown, ale nikt nie odbierał. Skąd więc miała przekonanie, że Lilja kogoś zastanie? Lilja dostała do ręki klucz, a na koniec matka jej przykazała: „Jeśli Zendy Brown nie będzie, to po prostu pójdiesz na górę i zabierzesz maszynę. Przecież to twój dawny dom”.

Na to jednak Lilja się nic zgodziła. Nigdy w życiu tak nie robi, to przecież naruszenie cudzej prywatności. Jeśli nie zastanie tej kobiety, matka będzie musiała iść tam sama.

Lilja stanęła na schodach. Długo zwlekała, zanim wreszcie zdecydowała się zadzwonić.

Założono nowy dzwonek, wygrywający wesołą melodyjkę... Lilja nie była pewna, czy dobrze pamięta, lecz wydawało jej się, że tekst tej piosenki jest bardzo frywolny.

Nikt nie otwierał. Zadzwoniła jeszcze raz i czekała. Za drzwiami rozległo się

szuranie kapci, a potem w szczelinie uchylonych drzwi pojawiła się zaspana i bardzo poirytowana twarz.

Kiedy drzwi otworzyły się na pełną szerokość, okazało się, że Zenda Brown jest w szlafroku czy też może raczej w niezwykle zalotnym peniuarze. Włosy miała rozczochrane i z jednej strony splaszczzone, powieki zapuchnięte, a w kącikach nad oczami przezroczyste worki, charakterystyczne dla ludzi nadużywających alkoholu lub tabletek albo pojawiające się po długim płaczu. Ta kobieta jednak nie wyglądała na osobę zasmuconą.

- Proszę mi wybaczyć, że przychodzę akurat w środku poobiedniej drzemki - zaczęła Lilja dyskretnie, choć była przekonana, że dla Zendy Brown dzień jeszcze się nie zaczął.

Przedstawiła się i wyjaśniła, z jaką sprawą przychodzi.

Nowa właścicielka willi popatrzyła na nią niezbyt przytomnie.

- Maszyna do szycia? Ach, ta maszyna? - zachrypiała niewyraźnie.

Tak brzmieć może głos jedynie po solidnym pijaństwie poprzedniej nocy. Lilja miała w tej kwestii spore doświadczenie, przeżyła przecież niejedną późną poranek ojca.

- No tak, gdzie ona się podziała? - Zenda Brown usiłowała obudzić i zmusić mózg do myślenia. - Pomyślałam sobie, że to jakiś stary rupieć, i zamierzałam ją wyrzucić, ale potem doszłam do wniosku... Jak to było? No, tak, ona chyba wciąż tu jest, tak przypuszczam. Zestawiłam ją chyba na podłogę, bo potrzebowałam tamtego miejsca. Miałam zamiar zadzwonić do was, ale...

Wyciągnęła z kieszeni papierosa i zapaliła go trzęsącymi się rękami.

- Może poszłabyś po nią sama? Chyba trafisz? Ja się dzisiaj nie najlepiej czuję, to było... – Zaciągnęła się dymem. - Dlatego właśnie leżałam w łóżku, kiedy przyszłaś.

Słowa były dość życzliwe, lecz w zachrypniętym głosie brzmiała złość. Zapewne najchętniej wrzasnęłaby: „Czego tu, u diabła, szukasz tak wcześnie”, pomyślała Lilja.

Ale może jednak jest niesprawiedliwa wobec tej udręczonej kobiety? Może Zenda Brown naprawdę jest chora, tak jak mówi?

Lilja podziękowała z nieśmiałym uśmiechem i weszła do środka. Odłożyła kurtkę na jakieś krzesło, tylko jej przeszkadzała.

Ojej! Jak tu wszystko się zmieniło! I jaki tu zapach! Czy też raczej niezwykle mocna woń perfum. Przedpokój przemalowany, salon także, położono nowe tapety. Pokój wygadałby całkiem stylowo, gdyby nie szczegóły: poduszki z nadrukami na ciemnym aksamicie, tu i ówdzie lśniąca jedwabne frędzle, posążki Murzynek dźwigających popielniczki i portrety płaczących dzieci. Jak się nazywa taki styl? Kicz?

Zobaczyła, że słuchawka telefonu jest odłożona.

Piętro było urządzone z jeszcze większą przesadą, jeśli idzie o ozdoby.

Pokonawszy schody, okryte różowym dywanem z wzorem w autorki, Lilja zajrzała na moment do sypialni, przypominającej komnatę zapomnianego haremu z filmu o szejku arabskim z lat dwudziestych. Tu zapach perfum był wprost odurzający, trudny do zniesienia. Czym prędzej pospieszyła na strych, żeby mieć czym oddychać.

Maszyna do szycia, stary, ręcznie napędzany singer, rzeczywiście stała na podłodze pod jakimiś półkami. Brakowało pokrywy, lecz poszukawszy chwilę, Lilja znalazła i ją. Niestety, nie dało się jej zamknąć, dziewczyna musiała więc wziąć zakurzoną maszynę po prostu pod pachę. Wiedziała, że długo tak nie wytrzyma, zaraz rozboli ją ręka i biodro, czym prędzej więc zeszła na dół.

W tym czasie pani czy też panna Brown zdążyła co nieco się podszycować, a przede wszystkim włożyć ciemne okulary. Wystarczyła odrobina makijażu i przeczesanie włosów, by wyglądała już znacznie lepiej. Była ognistą brunetką, w utrzymaniu niezłego wyglądu pomogło jej zapewne kilka operacji plastycznych w strategicznych miejscach. Biła od niej jednak jakaś duszna zmysłowość, dla Lilji jako kobiety wręcz odpychająca. Co natomiast mogli myśleć o Zendzie Brown mężczyźni, zależało zapewne od ich gustu. Niewątpliwie ta pani nie wzbudziłaby



zainteresowania w żadnym z chłopców z „jej” grupy. A już z całą pewnością nie w Goramie.

Lilję zakłuło w sercu. Ach, Goramie, Goramie, tak strasznie tęsknię za tobą! Jakże ja to wytrzymam, dobry Boże, odbierz mi tę tęsknotę, pozwól o nim zapomnieć! Podreptała na przystanek gondoli, taszcząc niewygodną i trudną do niesienia maszynę pod pachą, i wciąż mając w pamięci ostatnie wrogie spojrzenie Zendy Brown. Nowa właścicielka willi naprawdę nie była zachwycona tą wizytą. Lilja nie mogła pozbyć się wrażenia, że Zenda Brown w ogóle nie przepada za innymi kobietami.

4

Lilja, wróciwszy do domu tego popołudnia, usłyszała wołanie matki:

- Liljo! Ten Lemuryjczyk, wiesz... Strażnik Goram, czy jak też on się nazywa, dzwonił i pytał, czy jesteś w domu.

Serce dziewczyny wykonało w jej piersi tak gwałtowny skok, że mało brakowało, a upuściłaby na podłogę tę okropną maszynę.

- Naprawdę? I co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam zgodnie z prawdą, że cię nie ma. On na to, że zajrzy koło piątej, bo chce z tobą porozmawiać. Ale ja stwierdziłam, że to nie jest dobry pomysł, bo jeszcze ludzie zaczną gadać, pomyślą, że jesteśmy przestępcami, skoro muszą do nas przychodzić Strażnicy...

Ach, mamó, jakaś ty niemądra, pomyślała Lilja zrozpaczona.

Matka jednak na szczęście ciągnęła:

- Naturalnie o tym mu nie wspomniałam. Poprosiłam go, żeby spotkał się z tobą na rynku w mieście, obiecał, że będzie tam o piątej. Liljo, ty chyba jesteś ostrożna w stosunku do tych Lemuryjczyków? Niech nic przypadkiem nie przychodzi mu do głowy!

- Oczywiście, mamó - zapewniła Lilja lekko poirytowana. - Nasz związek jest najzupełniej platoniczny.

Przygnębiająco platoniczny, dodała w myśli z goryczą.

Ręce jej się trzęsły. Która może być godzina?

Stanowczo za późno. Zdenerwowana postawiła maszynę na kuchennej ladzie i pomknęła do swego pokoju, żeby się przebrać. Nie zważała więcej na urażone okrzyki matki.

Na wielkim rynku w Sadze Lilja znalazła się stanowczo zbyt wcześnie. Gdzie ma się spotkać z Goramem? Przy fontannie na środku? Czy przy restauracji? A może koło schodów wiodących do pałacu Marca? Szkoda, że matka była tak mało precyzyjna.

Lilja cieszyła się bardzo, że jej długie jasne loki lśnią świeżo umyte. Ubrała się w jasnoniebieski kostium spacerowy, idealnie pasujący do jej błękitnych oczu i doskonale leżący. Nie chciała zanadto się stroić, jeszcze mogłoby się wydawać, że za bardzo jej na nim zależy.

Ale przecież tak właśnie było.

Jaką on może mieć do niej sprawę? Ta myśl nie opuszczała jej nawet na chwilę, odkąd matka przekazała jej wiadomość. Może, może, może po prostu chce się z nią ot, tak sobie, spotkać? Tak byłoby najprzyjemniej.

Jej przyjaciel i rycerz, ascetyczny i szlachetny.

Och!

Czyżby zaczynał się wahać?

Nie, tak nie wolno jej myśleć. Obiecała wszak, że będzie go wspierać w dążeniu do szczytnego celu i spełnianiu dobrych uczynków, nie może więc nagle zacząć oczekiwać czegoś zupełnie innego.

Ale czego on może od niej chcieć?

Wielki zegar na ścianie ratusza pokazywał, że do wyznaczonej pory wciąż brakowało kilku minut..

A jeśli on nie przyjdzie?

Gdzie powinna stanąć, jak powinna stać? Wyprostowana czy też nonszalancko oparta o ścianę? Nie, to nie w jej stylu, Rozplotła dłonie, które nerwowo zaciskała.

Ach, włożyła nie te buty, do jasnoniebieskiego nie powinna była...

Och, on już, jest! Lilja zwilżyła wargi i usiłowała odzyskać kontrolę nad oddechem.

Nie, nie, pomyślała. Dlaczego przyszedłeś? Dlaczego znów podsycasz moje uczucia? Gdyby nie to, być może łatwiej przyszłoby mi o tobie zapomnieć.

Wiedziała jednak, że to zwyczajne kłamstwo. Jak mogłaby w ogóle zapomnieć kogoś takiego jak Goram?

Nie był wprawdzie najprzystojniejszym ze wszystkich lemuryjskich Strażników, na to jego twarz była zbyt charakterystyczna, ja, jednak pociągała z hipnotyczną wprost mocą, a to dlatego, że go kochała. Kochała tego ascetycznego, szlachetnego, idiotycznie cnotliwego Lemuryjczyka z Elity Strażników.

Goram nadszedł z poważną miną. Z tak poważną, że miał dla niej tylko jeden przelotny uśmiech.

Lilja w odpowiedzi uśmiechnęła się drżąco.

Obrzucił ją jeszcze spojrzeniem mówiącym „Ładnie dziś wyglądasz”, i zaraz potem, nie owijając niczego w bawełnę, oznajmił:

- Liljo, postanowiłem ci o tym powiedzieć osobiście, nie chciałem, żebyś sama próbowała się czegoś domyślać. Złożyłem podanie o przeniesienie i otrzymałem zgodę.

- O przeniesienie? - spytała, czując, jak serce zamiera jej, zdjęte chłodem.

- Tak. Daleko.

Chciała spytać, jak daleko, lecz głos już dłużej jej nie słuchał. Czowała, że jej twarz zeszywniała w maskę, której starała się nadać normalny z pozoru wygląd, lecz to się nie udawało.

- Już się więcej nie zobaczymy - dodał Goram cicho. - To jest więc nasze pożegnanie.

- Ale... dlaczego? - zdołała wreszcie wydusić, a w jej głosie zabrzmiała taka rozpacz, że Goramowi aż serce ścisnęło się w piersi.

- Znasz przecież odpowiedź, Liljo. Lepiej zrobić to teraz, zanim obojgu nam będzie zbyt trudno się z tym pogodzić.

Nic nie mogła poradzić na to, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Staję się dla ciebie ciężarem. Ale ja nie jestem z natury natrętna.

- Wiem o tym.

- A więc nie powinno być konieczne...

- Owszem - odparł cicho, zdecydowanie. - To jest konieczne.

Trudno było wytłumaczyć sobie tę odpowiedź, Lilja nie chciała zbyt dogłębnie jej analizować.

Na moment przycisnęła dłonie do oczu. Potem oświadczyła zdecydowanym tonem:

- Akceptuję twoją decyzję. Ale ty...

- Tak? - spytał, gdy dalej milczała.

Lilja z trudem dobywała słów.

- Odbierasz mi najpiękniejsze, co mam.

- Co to takiego?

- Nasza przyjaźń.

Przez chwilę na rynku zrobiło się tak cicho, jakby nie było tam nikogo poza nimi dwójkiem. Potem zegar ratuszowy wybił pięć głośnych uderzeń, a Lilja miała wrażenie, że drgają jej wszystkie nerwy.

- Nasza przyjaźń będzie trwała na wieki - oświadczył w końcu Goram.

Dziewczyna mogła mu jedynie kiwnąć głową, wiedziała, że głos jej nie posłucha. Zastanawiała się jednak, jak to możliwe, by przyjaźń, hodowana bez żadnej pożywki, mogła przetrwać.

Ku własnemu zawstydzeniu czuła, jak łzy toczą jej się po policzkach,

Odwróciła głowę i powiedziała niewyraźnie:

- Życzę ci wszystkiego dobrego, Goramie. Zegnaj, mój najlepszy przyjacielu.

Wydawało jej się, że kątem oka dostrzega, jak on wyciąga do niej rękę, zaraz jednak je cofnął. Oddałaby wszystko, byle tylko mogła rzucić mu się w ramiona i przytulić do niego, wiedziała jednak, czego się od niej wymaga. Goram przecież

nawet nie próbował wziąć jej za rękę na pożegnanie.

Przyjęła to za dobry znak.

Pobiegła przed siebie, oślepią łzami.

Marco siedział przy wielkim, czarnym, lśniącym gładkim biurku i czuł się dosyć nieswojo. Z pozycją najwyższego dygnitarza w Sadze łączyło się mnóstwo nudnej papierkowej roboty i to zupełnie mu nie odpowiadało.

Ubolewał w duchu nad tym, że kiedy ktoś okazuje się nadzwyczaj dobry w tym, co robi, szybko zostaje odsunięty od tego zajęcia. Na przykład pielęgniarka, która kocha zajmować się pacjentami, prędko zostaje przełożoną. Przez to traci kontakt z chorymi i więdnie jak pozbawiony wody kwiat. Podobnie rzecz się ma z większością zawodów. Znakomity kucharz, zdolny mechanik samochodowy, sprawny przewoźnik... Wszyscy oni zostawali szefami i wyznaczano ich do załatwiania rozmaitych spraw, do których wcale nie mieli zdolności, i w ten sposób marnował się ich talent.

A Marco lubił przygody. Lubiał, kiedy coś się działo.

Roztargniony wyjrzał przez okno. Zobaczył Gorama i Lilję, pochłoniętych najwyraźniej jakąś niezwykle ważną rozmową.

Nie powinieneś tego robić, Goramie, powinieneś postępować ostrożniej. Lilja to bardzo wrażliwa dziewczyna, która stanowczo za bardzo cię polubiła, mówił w duchu.

Do Marca dotarły pewne niejasne pogłoski o tym, że Goram poprosił o przeniesienie. Na razie jednak chyba się na to nie zanosilo.

No cóż, a jednak szybko się pożegnali. Dziewczyna uciekła z płaczem, a Strażnik stał, długo za nią patrząc...

Ojoj, najwidoczniej nie jest to wcale jednostronne zadurzenie!

Zaraz jednak uwagę Marca przykuło co innego. Przez rynek podążała nieduża grupka, trzy matki, które ostatnio stale trzymały się razem: Miranda z synkiem Haramem w wózek, a z nią Misa i Siska. Właśnie puściły rączki swoich

bystrych córeczek. Małe Madrażątko, Kata, i jej najlepsza przyjaciółka Gwiazdeczka puściły się biegiem, kierując się ku jego pałacowi.

Uśmiechnął się lekko i nacisnął przycisk na panelu. Brama, za ciężka dla tak małych dziewczynek, rozsunęła się sama, Marco przyzwyczał się już do tych wizyt. Były jakby tchnieniem świeżości w jednostajnej szarości codziennego dnia. Goram już [odszedł](#). Trzy młode kobiety, o ile oczywiście można nazwać liczącą, sobie wiele tysięcy lat Misę młodą, zatrzymały się pochłonięte rozmowa.. Marco wrócił do swojej nudnej pracy, jak gdyby niczego nie zauważył.

Ciche szepty, dreptanie po błyszczącej podłodze, chichoty przy drzwiach.

- Wejdźcie, Kato i Gwiazdeczko, wiem, że tam jesteście.

Nieco rozczarowane takim udaremnieniem próby sprawienia mu niespodzianki obie małe panienki wyjrzały zza drzwi. Im bardziej jednak zbliżały się do Marca, tym szybciej szły, a na koniec Gwiazdeczka nie wytrzymała i ruszyła biegiem, rzucając mu się w ramiona.

- Osiuń się, Wiazecko, ja też cę na lence! - prosiła Kata.

- Ja się nie nazywam Wiazecka, ja się nazywam Giazecka - powiedziała

Gwiazdeczka z ponurą miną, ale przesunęła się, robiąc miejsce przyjaciółce.

Marco zacisnął zęby, gdy ciężka jak ołów Kata wbiła mu kolano czy też raczej ostrą goleń w udo.

Z ograniczoną możliwością ruchu siedział, każdym ramieniem obejmując jedną dziewczynkę. Kata urosła już tak bardzo, że spod kędzierzawej, charakterystycznej dla wszystkich Madragów grzywki mogła już patrzeć mu prosto w oczy. Ciężaru Gwiazdeczki, malutkiej panienki przypominającej elfa, prawie nie czuł. Córka Siski była niczym płatek maku, miała tak delikatną skórę i prawie nic nie ważyła. Z podziwem patrzyła na swego ulubieńca.

Marco z trudem zachowywał powagę w obliczu takiego uwielbienia.

- Ciśniemy guzicek, Maku?

- Ciśniemy guzicek, Maku? - jak echo powtórzyła Kata.

- Nie, nie wolno wam naciskać na żadne guziki tych aparatów - oświadczył

zdecydowanie.

Gwiazdeczka przekrzywiła głowę z błagalną minką jak prawdziwa mała kobietka.

- Tyko jeden?

Marco zacisnął usta.

- Tyko jeden, Maku?

W ostatniej chwili zdążył zatrzymać przypominającą kopyto rączkę Katy, która, nie czekając na wynik tej rozmowy, już chciała uderzyć w cały panel sterowania.

- No dobrze, tylko jeden - westchnął i pokazał Gwiazdeczce który. - Ten, tylko ten.

Dziewczynka z zachwytem dotknęła wskazanego klawisza i na ekranie ukazała się twarz Tsi-Tsunggi.

- Sikunga! - pisnęła Gwiazdeczka uradowana. - Tata! Ceś, tata!

- Tsi, twoja córka mnie terroryzuje - zaśmiał się Marco.

- Och, jej! - przeraził się Tsi. - Zaraz po nią przyjdę.

- Nie, nie, nie trzeba - uśmiechnął się Marco i wyjaśnił przyczynę wezwania. -

Bardzo nam tu przyjemnie we trójkę. Trzymaj się, Tsi!

Marco prędko wyłączył ekran, bo Kata zaczynała się już niecierpliwić.

- Telaz ja, moje taty!

No tak, to było dość skomplikowane. Nikt poza samymi Madragami nie wiedział, kto tak naprawdę jest ojcem Katy. Oni posługiwali się swoimi bardzo zawiłymi tablicami dziedziczenia.

- Telaz ja! - Kata wrzasnęła tak, że Marcowi w uszach zatrzeszczały bębunki.

- Dobrze, dobrze, Kato, możesz nacisnąć na... na... Z lękiem [zastanowił się, ile klawiszy](#) zdoła naraz objąć duża rączka dziewczynki. Wreszcie wskazał na jeden, położony nieco bardziej z boku.

- Ten!

Kata machnęła ręką i opuściła ją wreszcie na panel sterowania z taką siłą, że wszystko zatrzeszczało. Ale wcelowała dobrze, sygnał alarmowy rozległ się w całym pałacu. Dziewczynki aż zapiszczały z radości.

- Dobrze, że dzisiaj jestem w domu sam - mruknął Marco. - Inaczej zbiegłby się

tutaj cały sztab, ciągnąc węże przeciwpożarowe.

- Weze zalowe - powtórzyła Gwiazdeczka, a zaraz po niej Kata jak wierne echo. Obie dziewczynki raz. po raz wypowiadały nowe słowa, śmiejąc się przy tym radośnie.

Na jednym z aparatów błysnęło światelko i Marco zaraz potem podniósł kartkę, która się wysunęła. Z wielką ulgą zestawiał obie dziewczynki na ziemię, Kata bowiem musiała ważyć co najmniej siedemdziesiąt kilo. Potem zmarszczył brwi. Na samej górze kartki wydrukowany był zwykły emblemat Świętego Słońca, lecz, o dziwo, zobaczył tam również jeszcze inny znak.

Szeroko otwierając oczy ze zdumienia, patrzył na dwa pryzmaty, oparte o siebie i wierzchołkami skierowane w górę.

Symbol Obcych!

- Pobawcie się teraz moimi miniaturowymi zwierzątkami - powiedział do dziewczynek i nie patrząc na nie, wskazał drugi koniec pokoju.

Słyszał ich kroki, lecz cała jego uwaga skoncentrowana była na kartce, którą trzymał w ręku.

Gdy już ją przeczytał, podniósł głowę i cicho szepnął do siebie:

- Co to może znaczyć?

Zalana łzami Lilja, wróciwszy do domu, na kuchennym stole znalazła wiadomość od matki.

Dzwoniła ta Zenda Brown, zostawiłaś u niej kurtkę. Jak można być taką nieporządną? Obiecałam, że przyjedziesz po nią wieczorem.

O, nie, nie pojedę tam jeszcze raz, pomyślała Lilja. Prawie nigdy nie noszę tej kurtki, a nie mam najmniejszej ochoty ponownie spotykać się z tą kobietą. Nie pojedę tam za nic w świecie, a już na pewno nie dzisiaj. Ta kurtka może poczekać.

W liściku matki był jeszcze dopisek: A poza tym kiedy masz zamiar wysadzić swój krzew róży? Niedługo uschnie.



Ach, całkiem zapomniała o tej róży, tyle miała innych spraw.

Po twarzy znów zaczęły toczyć jej się łzy. Goramie, Goramie, nie chcę dłużej żyć!

5

Zendę Brown czekała tego dnia wizyta jeszcze jednego nieproszonego gościa. I była ona znacznie poważniejsza aniżeli odwiedziny mało znaczącej, nieśmiałej dziewczyny jak Lilja, Zjawił się u niej Strażnik, w dodatku Lemuryjczyk. Zenda nienawdziła i Strażników, i Lemuryjczyków, sama nie wiedziała, którzy brzydzili ją bardziej.

A ten tutaj przyszedł w bardzo nieprzyjemnej sprawie.

Przedstawił się, powiedział, że ma na imię Sardor. Zendy wcale to nie obchodziło, z doświadczenia bowiem wiedziała, że Lemuryjczycy nie dają się uwieść. Patrzyli na nią tylko z pogardą zmieszaną ze współczuciem i chyba właśnie za to ich nienawdziła.

Ten tutaj chciał jej dać do wypicia łyk owego fatalnego wywaru.

A Zenda wcale nie zamierzała go wypijać.

- Nie mam teraz na to czasu oświadczyła krótko. - Za parę minut odwiedzi mnie mój dobry przyjaciel, lepiej więc będzie, jeśli pan sobie stąd pójdzie.

Strażnik popatrzył na nią z dziwną miną.

- Jeśli myślisz o fabrykancie butów, Wellsie, to chciałbym przekazać ci od niego pozdrowienia i powiedzieć, że on już więcej cię nic odwiedzi. Wypił wywar i pojął, jaką krzywdę wyrządził swojej żonie tymi wizytami u ciebie. Liczył na to, że go zrozumiesz, kiedy sama wypijesz eliksir. To samo mówili dyrektor i adwokat, którzy od czasu do czasu cię odwiedzali.

Zenda zapomniała języka w gębie. Jak oni mają czelność, jak mogą przekazywać taką wiadomość przez jakiegoś Strażnika? I iluż to klientów już zdążyła stracić? A ilu jeszcze utraci?

Widziała, jak jej z mozołem budowany świat powoli rozsypuje się w gruzy.

Coś trzeba zrobić. I to prędko!

Sardor stał odwrócony plecami, wziął właśnie do ręki kurtkę tej dziewczyny i

spytał:

- To nie jest ubranie w twoim stylu, do kogo należy?

Zenda, będąc osobą o gwałtownym usposobieniu, na moment pozwoliła, by uczucia przesłoniły jej rozsądek. Myślała jedynie o tym, co dzieje się tu i teraz, a takie słowo jak „konsekwencje” nie przyszło jej nawet na myśl. Widziała jedynie mężczyznę, który starał się zniszczyć jej życie.

Owszem, nawet zaświtała jej w głowie pewna myśl o tym, jak cała sprawa może się skończyć, lecz kierowała się w jedną tylko stronę. Sardor trzymał w ręku kurtkę Lilji, a to mogła być doskonała poszlaka. Zenda ujęła w dłoń nieduży, lecz ciężki posążek i uderzyła z całej siły.

Sardor upadł w przód, a jego krew pociekła na kurtkę, którą trzymał w rękach.

Zenda ledwie sekundę stała nieruchomo. Przez głowę lotem błyskawicy przeleciało jej kilka myśli: Lilja może zjawić się w każdej chwili. Jej, Zendy, przez całe popołudnie nie widział nikt.

Czym prędzej wsunęła do kieszeni kurtki dziewczyny swój naszyjnik. Potem ścierką wytarła posążek, żeby usunąć odciski swoich palców, i gorączkowo rozejrzała się dokoła. Co jeszcze musi zrobić? Co musi zrobić?

Drzwi wejściowe... Nie mogą być zamknięte na klucz, żeby Lilja mogła wejść do środka. Albo nie... Myśl, Zendo, myśl! Tego zamka nigdy nie zmieniono i możliwe, że poprzedni właściciele zatrzymali klucz, prawda? Bardzo inteligentnie, Zendo! Wymknęła się tylnym wyjściem, bacznie rozejrzała dokoła, żeby przekonać się, czy nikt jej nie zauważył, i czym prędzej ruszyła do ulubionego baru, by zapewnić sobie odpowiednie alibi,

Marco skontaktował się z Ramem i poprosił, by natychmiast do niego przyszedł, Potem odwrócił się do dziewczynek,

- Bardzo mi przykro, ale musicie teraz już iść do swoich mamus.

Przeciągłe, pełne rozczarowania „nieee” było jedyną odpowiedzią.

- Niestety, ktoś tu mnie teraz odwiedzi. Później będę musiał wyjechać.

-Ja też - poprosiła Gwiazdeczka, a za nią jak echo Kata:

- Ja też!

- O, nie, wy absolutnie nie będziecie mogły wybrać się razem ze mną, niestety. Wargi dziewczynek zaczęły się trząść jak do płaczu, a piękne krowie oczy Katy napełniły się łzami.

Madragów w Królestwie Światła bardzo kochano. Były to jedyne istoty, którym pozwolono mieć więcej niż jedno dziecko, ba, wręcz zachęcano ich do rozmnażania. Czwooro, teraz już pięcioro Madragów, było ostatnimi przedstawicielami swego gatunku na świecie. Mnóstwo lat temu, mniej więcej jednocześnie z pojawieniem się człowieka, pewien gatunek zwierząt kopytnych zaczął rozwijać się podobnie jak Homo sapiens. Stał na tylnych łapach, przednich zaś nauczył się używać jako rąk. Z czasem Madragowie przewyższyli ludzi pod względem zdolności i umiejętności technicznych, pomimo iż mieli tylko po trzy palce. Niestety, ich królestwo zginęło w wyniku wielkich trzęsień ziemi, jakie miały miejsce przed dziesiątkami tysięcy lat.

Czwooro ostatnich przedstawicieli tego gatunku, dziewczyna Misa i chłopcy Tich, Tam i Chor, uwięzieni zostali w twierdzy Sigiliona na pustyni Karakorum. Tam przez niezmiernie długi czas trwali w przypominającym śmierć letargu, lecz w osiemnastym wieku uratowała ich rodzina czarnoksiężnika Móriego. Później Madragowie towarzyszyli swym wybawcom do Królestwa Światła.

Marco popatrzył na Katę. Miał wiele czułości dla tego „małego” Madrażątka. Misa ubrała córeczkę w różową sukienkę z marszczeniami i falbankami, co ani trochę nie pasowało do wyglądu dziewczynki.

Gwiazdeczka, elfie dziecko, była jej zupełnym przeciwieństwem, lecz obie dziewczynki trzymały się razem jak ziarnka groszku z tego samego strąka. Obie też rosły i dojrzewały w przerażającym wręcz tempie. Marco wiedział, że właściwie w każdej chwili zaczęły już mówić wyraźnie, a tak bardzo pragnął, żeby jeszcze długo zostały czarującymi maluchami.

Miał jednak pełną świadomość, że to próżne życzenia. Za dwa lata Kala na pewno

będzie już dorosła, Gwiazdeczka prawdopodobnie również. O niej wiedzano niewiele, w jej żyłach wszak płynęła krew człowieka, Lemuryjczyka, Istoty ziemi i elfa. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak będzie przebiegał jej rozwój.

Obie dziewczynki jednak były naprawdę czarujące, Marco doskonale się czuł w ich towarzystwie.

Przywołał Siskę i Misę, które zaraz przyszły po swoje pociechy, ale na siłę musiały rozginać paluszki uczone nóg stylowego stołu Marca.

- Co się stało, Marco? - spytała Miranda, która zjawiała się razem z przyjaciółkami,

- Taką masz poważną minę.

- Owszem - odparł.

Postanowił poświęcić chwilę na wyjęcie z wózek bardzo nierozwiniętego w porównaniu z dziewczynkami Harama. Chłopczyk był wszak „jedynie” zwyczajnym ludzkim dzieckiem. Marco bardzo go pochwalił i Miranda zaraz rozpromieniła się uszczęśliwiona.

- Owszem, jestem poważny, otrzymałem bardzo dziwną wiadomość. Wkrótce i wy, wszystkie trzy, zostaniecie wezwane.

- Czy chodzi o dzieci? - wystraszyła się Siska.

- O, nie, wcale nie. Już niedługo się dowiecie o wszystkim, muszę tylko najpierw omówić to z Ramem.

Młode matki wyniosły swoje rozkrzyczane pociechy. Długo jeszcze Marco słyszał rozziewające wołanie: „Ja też jadę!”

Żałował, że nie może zabrać ich ze sobą.

Przyszedł Ram, a Marco bez słowa podał mu kartkę.

- Od Obcych? - zdumiał się Ram. Zaraz też zaczął czytać na głos. - „Szanowny Marco z Ludzi Lodu, książę Czarnych Sal”. Przynajmniej okazują dostateczny szacunek. „Naszym życzeniem jest, aby wasza wysokość zgromadził jutro około południa w swoim pałacu następujące osoby. Powinny ubrać się odświętnie, lecz lekko.

Z rodziny czarnoksiężnika:

Móri, nasz szacowny czarnoksiężnik Dolg, strażnik świętych kamieni, które powinien ze sobą zabrać

Taran

Uriel

Jori

Villemann

Jaskari

Berengaria

Elena.

Z rodziny Ludzi Lodu:

Gabriel

Indra

Miranda

Gondagil

Haram”.

- Naprawdę? Takie małe dziecko? - przerwał mu Marco.

- Ktoś najwidoczniej chce go zobaczyć - mruknął Ram i podjął:

- „Nataniel

Ellen

Alice (Sassa)

Jego wysokość książę Marco,

Madragowie:

Misa

Tam

Tich

Chor

Kata.

Strażnicy:

Ram

Rok

Tell

Kiro

Goram... „Ale Goram niestety nas teraz opuszcza.

- Chyba będzie musiał się wstrzymać - cierpko zauważył Marco, - Takiemu wezwaniu się nie odmawia.

- Zaraz przekażę mu wiadomość. Czytam dalej: „Pozostali:

Armas

Oko Nocy, wódz Indian

Tsi-Tsungga

Jej wysokość księżniczka Siska

Gwiazdeczka

Samuraj Yorimoto

Misza, Wareg

Lilja

Wilki Geri i Freki

Sol

Pozostałe duchy Ludzi Lodu

Duchy Móriego

Pięć duchów Shiry”.

Ram podniósł wzrok znad kartki.

- Mój ty świecie! Zupełnie nieźle. Jak zdążymy powiadomić wszystkich?

- Nie zauważyłem imion dzieci, kiedy czytałem ten list - Marco uśmiechał się, nie kryjąc zadowolenia. - Ależ się dziewczynki ucieszą!

- Przypuszczam, że ty również - roześmiał się Ram. - Ale nie bardzo rozumiem ten skład. Misza? I Lilja? Jak oni do tego pasują? Nie wymieniono natomiast Thomasa, Oriany, Helgego ani Pauli. Nie rozumiem tego wzoru.

- Ja też nie, ale ta czwórka, o której teraz wspomniałeś, troszkę się wycofała z naszego życia... Ciekaw jestem, kto się pojawi ze strony Obcych. No i czego oni

od nas chcą?

- Nie mogę odczytać tego podpisu - stwierdził Ram. - W każdym razie nie wydaje mi się, aby był to Faron.

- Raczej nie, ale on na pewno brał udział w wybieraniu tych osób. Wprawdzie rzadko zwracał się do mnie „wasza wysokość”, lecz myślę, że to raczej na pewno jego dzieło.

- Może jego i ojca Armasa, Strażnika Góry?

- Cóż, możemy tylko zgadywać. Ale tak strasznie jestem ciekawy, kto przyjdzie. I po co?

- Nie przypuszczam, żeby chodziło o kolejne medale - uśmiechnął się Ram.

- To prawda, sprawa musi dotyczyć czegoś zupełnie innego, ale czego? No cóż, musimy jak najprędzej przekazać zawiadomienia.

- Dobrze, zacznę od Gorama.

Ale Gorama nigdzie nic dało się znaleźć. Nic wyjechał jeszcze, po prostu nie było go w domu w kwaterach Strażników, nic odpowiadał też na żadne próby wezwania.

- Nie rozumiem tego. Ram był zdezorientowany. - Wygląda to tak, jakby zapadł się pod ziemię.

W rzeczywistości jednak Goram przebrał się, przygotował do opuszczenia posterunku w pośpiechu zapomniał przelożyć do kieszeni świeżego stroju maleńki aparacik będący jego telefonem.

Potem postanowił ostatni raz spojrzeć na Sage.

Dlaczego wybrał akurat to miasto, nawet sam sobie nie potrafiłby wyjaśnić.

Zaparkował gondolę w pewnej odległości od miasta i ruszył na piechotę w stronę punktu widokowego na wzgórzu. Próbował nie patrzeć na otaczającą go piękną zielenią, na leśne kwiaty nieśmiało wystawiające główki z cienia pod drzewami.

Maszerował szybkim krokiem, jak gdyby chciał uciec przed własnymi myślami, lecz cała jego dusza się buntowała. Zirytowany potrząsał głową, żeby uciszyć burzę uczuć, jaka rozpętała się w jego wnętrzu.

Goram zamierzał opuścić teraz to wszystko, przepiękne srebrzyste lasy, białe miasta i wioski, przyjaciół...

Sam dokonał tego wyboru. Rozmawiał z dziewięcioma pozostałymi Strażnikami z Elity i wraz z nimi ustalił, że to jedyne wyjście. Przysięga złożona Słońcu była święta i ze względu na dziewczynę musiał ukrócić to wszystko teraz, póki jeszcze nie posunęli się zbyt daleko.

A raczej, zanim cokolwiek w ogóle się zaczęło.

Zadanie, jakiego miał się teraz podjąć, będzie służyć ku jeszcze większej chwale Świętego Słońca, stanie się też jeszcze większą poniesioną przez niego ofiarą. Jego towarzysze wyglądali na zasmuconych.

Nieświadom tego, co robi, dotarł do punktu widokowego i tam się zatrzymał.

Drgnął cały, gdy zorientował się, że spogląda wprost na dom Lilji. Zobaczył też dziewczynę. Klęczała w ogrodzie i sadziła jakąś roślinkę. Jaką, tego już dostrzec nie mógł.

Kończąc pracę, ubiła ziemię wokół krzaczka, troskliwie, delikatnie, jakby miał on dla niej jakieś szczególne znaczenie, chwilę jeszcze posiedziała, potem zaś zasłoniła twarz rękami, najwyraźniej wybuchnęła płaczem.

Goram zacisnął zęby, odwrócił się na pięcie i biegiem pognął do gondoli.

6

Miszę i Jaskariego także trudno było złapać.

Okazało się, że wybrali się na wycieczkę. Jaskari zaprowadził Miszę do hotelowego apartamentu rodziców, który zdaniem chłopca wprost oszałamiał swoją wspaniałością. Potem zaś Misza poprosił o pokazanie mu rodzinnego domu w Ciemności.

- Dlaczego nie? - stwierdził Jaskari, który nie widział wcześniej małej chatki, i niewiele myśląc, zaprosił Miszę i jego rodziców na wyprawę gondolą.

Wszystkim bardzo spodobała się jego propozycja. Natasza wprawdzie przyznała, że trochę się obawia latania gondolą, brakowało jej ziemi pod stopami, Jaskari zapewnił ją jednak, że przynajmniej odkąd on sięga pamięcią, nie wydarzył się



żaden wypadek gondoli.

- Tylko czy Misza będzie umiał spojrzeć prosto w oczy warunkom, w jakich dorastał? - spytała jeszcze cicho.

- Misza to bardzo rozsądny miody człowiek - spokojnie odparł Jaskari, Ale muszę powiedzieć wam obojgu, tobie i Elisowi, że wszystkich nas zdumiewa niezwykła inteligencja tego chłopca, a to znaczy, że ma on również bardzo mądrych rodziców. Jego piękny, nieoczekiwanie bogaty język, jego wiedza...

- Elis był nauczycielem w naszej wiosce - odparła z dumą Natasza, a mąż z zapalem pokiwał głową. - Staraliśmy się nauczyć naszego syna wszystkiego, czego tylko się dało.

- Tak też sobie myślałem - uśmiechnął się ciepło Jaskari. - Naprawdę świetnie się spisaliście.

Przyjęli ten komplement z pokorą, lecz radość wprost z nich biła.

Misza stał przed swym rodzinnym domem i czuł, jak rozczarowanie wprost rozsadza mu piersi.

Naoglądał się już pięknych budowli w Sadze i w wielu innych miejscach Królestwa Światła, a teraz przybył tutaj. Spodziewał się czegoś zupełnie innego. Domy w wiosce Waregów wyglądały doprawdy bardzo biednie, a chata jego rodziców była najnędzniejsza ze wszystkich.

Taka maleńka, taka ciemna, właściwie prawie zrujnowana.

- Będziemy mieć teraz nowy dom - powiedział zakłopotany Elis.

Jaskari zaś dodał czym prędzej:

- Ze wszystkimi wygodami, równie jasny i przestronny jak domy w Królestwie Światła. Cała wioska zostanie odnowiona.

Misza mógł tylko kiwać głową.

Mocno trzymając się futryny, wciąż jeszcze bowiem nie był całkiem pewien swoich nóg, otworzył drzwi i przekroczył wysoki próg. Natychmiast otoczyły go zapachy, teraz jednak wydawały się ostre i wcale nie tak przyjemne jak przedtem.

A więc tak wyglądał jego dom. Wiele tu poznawał, lecz mimo to wydawało mu się, że wszystko się jakoś skurczyło. Niepewnie podszedł do wielkiego paleniska i odnalazł drzwi do swej kryjówki.

Jaskari pożyczył mu kieszonkową latarkę. Misza przez chwilę stał, patrząc na kompletnie ciemną komórkę, i starał się zwalczyć nieprzyjemne uczucie. Wreszcie odwrócił się, oczy mu błyszczały.

- Dziękuję wam, matko i ojcie, dziękuję za życie, które pozwoliliście mi zachować. I tobie, Jaskari, za przebudzenie. A przede wszystkim dziękuję Marcowi za to, że uczynił ze mnie takiego człowieka, jakim jestem teraz!

Jaskari wysadził ich pod hotelem, pomachał ręką na pożegnanie i poleciał dalej. Misza ledwie zdążył wejść do niezwykle, jego zdaniem, luksusowego apartamentu rodziców, kiedy otrzymał wiadomość.

Był nią przytłoczony.

- Co takiego? Ja mam się udać do pałacu księcia Marca? Ale w jaki sposób się tam dostanę?

- Ktoś po ciebie przyjdzie wyjaśniła matka, równie podniecona jak syn. Cóż to za zaszczyt, Misza, cóż za zaszczyt!

- Ach, ja kocham księcia Marca! - westchnął chłopak entuzjastycznie.

- Pst, Misza, tak mówić nie wolno - szepnęła matka.

- A to dlaczego? - zdziwił się..

Natasza się zakłopotowała.

- No... po prosili nie wypada.

Wszedł ojciec i przerwał im rozmowę.

- Pospiesz się, zacznij się przygotowywać, będą tu już za pół godziny,

Po Miszę przyszła Indra. Chłopak natychmiast poznał ją po głosie i zaraz zaczął się zastanawiać, czy wszystkie kobiety są równie piękne. Przecież dech zapierało mu w piersiach za każdym razem, gdy jakąś widział. Żadna jednak nie mogła się mierzyć z jego Eleną.

Łączyła ich wszak wspólna tajemnica...

Wystarczyło, by o tym pomyślał, a już czuł łaskotanie pod skórą.

Indra zerknęła na niego zdziwiona.

- Uśmiechnąłeś się teraz jak kot, który dopadł tłustej myszy. O czym sobie pomyślałeś, Misza?

Drgnął zdziwiony.

- Co takiego? Ja? Nie, nic. O niczym.

Matka martwiła się, czy Misza da radę iść sam i stać tak długo, Indra jednak zapewniła ją, że będzie go pilnować, jakby był niemowlęciem.

W pewnym sensie nie mijala się z prawdą, wszak dla Miszy cały świat był nowy jak dla noworodka.

Ojciec dopytywał się natomiast, jaki jest powód tej wizyty u Marca, lecz Indra nie potrafiła odpowiedzieć. Ram był bardzo oszczędny w słowach, sam chyba niewiele wiedział. Mówił tylko, że wszyscy mają się tam zebrać na rozkaz najwyższych władz.

Co ja właściwie chciałabym uczynić ze swoim życiem, zastanawiała się Berengaria, idąc w stronę rynku w Sadze. Wyszukowała się wcześniej, ale nie miała cierpliwości, żeby spokojnie siedzieć w domu i czekać na odpowiednią gondolę.

Czy nie najwyższa już pora zdecydować, co będę robić w przyszłości? Stwierdzić wreszcie, czego chcę od życia? Oprócz tego oczywiście, że pragnę je przeżyć w stu pięćdziesięciu procentach. Już tyle razy byłam dostatecznie blisko śmierci, że potrafię docenić życie. My, cała grupa Marca, żyjemy doprawdy niebezpiecznie. Lecz ile przy tym zabawy! I jakież to wszystko emocjonujące. Ach, jak ja kocham napięcie! Lubię czuć, że istnieję. Lubię przesuwać granice tak daleko, jak tylko się da... i jeszcze troszeczkę.

Ale cóż, skończyłam już szkołę i muszę teraz znaleźć jakiś odpowiedni dla siebie zawód. Indra go nie znalazła, twierdzi, że jedyną rzeczą, do jakiej się nadaje, są

śmiało eskapady. Z nią jest dokładnie tak samo jak z wyśmienicie wyszkolonymi żołnierzami, którzy powracają do domu z wojny. Nie potrafią odnaleźć się w szarej codzienności i często kończą na pijaństwie i bijatykach, wkraczają na drogę przestępstwa, nadają się bowiem jedynie do walki. Indra co prawda nie jest taka, ale też i nie pasuje do żmudnej pracy biurowej. Twierdzi, że wówczas wróci jej dawne lenistwo.

Ja pod wieloma względami jestem podobna do Indry, lecz jeszcze bardziej niespokojny ze mnie duch, nie umiem czekać, cały czas musi się coś koło mnie dziać.

Tak jak wtedy, kiedy wszyscy inni wyjechali w Góry Czarne, tylko mnie zostawili. To była moja największa porażka i najgorszy okres w całym życiu. Wykluczenie mnie z udziału w przygodach było już dostatecznym upokorzeniem, a na dodatek to siedzenie w domu i nicnierobienie...

Berengaria, schodząc w dół zbocza, poczuła na twarzy łagodny powiew i w piersiach wezbrał jej śmiech. Tak niezmiernie kochała życie, tak gorąco pragnęła je przeżywać, radować się nim, każdą cząsteczką ciała chłonać nowe wrażenia. Westchnęła głośno.

Gdybym tylko miała chłopaka, pomyślała. Ale Oko Nocy mnie porzucił. No cóż, właściwie wcale nie tak było, on po prostu nie miał innego wyboru, ale wiem, że bardzo kocha Małego Ptaszka.

Znacznie gorsza do zniesienia była pogarda Armasa. Co on właściwie ma przeciwko mnie? Co ja złego robię?

Misza jest słodki, ale na niego nie ośmielę się zarzucić sieci, zresztą Elena chyba zarezerwowała go dla siebie, a ja nie zamierzam wchodzić do jej ogródka. Nie poważę się na to jeszcze raz. Ileż to już razy obwiniła mnie o to, że zabierani jej chłopców? Może rzeczywiście trochę zbyt śmiało sobie z nimi flirtuję, ale przecież nigdy nie traktuję tego poważnie. A cała ta sprawa z Jaskarim... Naprawdę wcale nie próbowałam go poderwać, ale tak nam się dobrze rozmawia i bardzo się lubimy. Jesteśmy przyjaciółmi. Zresztą on już wtedy zrezygnował z Eleny. Ona

musi zrozumieć, że to nie miało nic wspólnego ze mną.

Och, o czym to ja myślałam? Nie wolno mi powracać do żadnych ponurych wspomnień, lepiej zastanowić się, co zrobić z życiem. Nie musze się wprawdzie aż tak bardzo spieszyć, obdarzono nas wszak tym przywilejem, że możemy żyć bardzo, bardzo długo, jest więc dość czasu, żeby kilka razy zmienić zdanie.

Berengarię przeszył przyjemny dreszczyk. Czuła, że jest podobna do Indry. Nie odpowiadała jej codzienność, do oddychania pełną piersią potrzebne jej było napięcie.

Tak jak teraz, kiedy została wezwana do pałacu Marca, nie mając pojęcia, co ją tam czeka. To właśnie jest ciekawe, coś dokładnie dla niej.

Spotkała jakichś młodych chłopców, którzy gwizdnęli na jej widok. Odwróciła się wyćwiczonym ruchem i posłała im rozbawione spojrzenie. Potem poszła dalej.

Wiedziała, że jest podziwiana. Niestety, na tym jedynie się kończyło. A tak bardzo chciała mieć kogo kochać. Jej wybrańcem, jeszcze od czasów dzieciństwa, był Oko Nocy, gdy ją „zdradził”, świat marzeń dziewczyny się zawalił, runął jak domek z kart na wietrze.

Nagłe zmiany humoru były charakterystyczną cechą Berengarii. Już w następnej chwili smutek ją opuścił i na samą myśl o przyszłym ukochanym poczuła ogarniającą ją radość. Przecież mogła wybierać spośród tak wielu. Indra i Sol wybrały swoich Strażników, obydwu Lemuryjczyków, a wyglądało na to, że i Lilja zakochała się w pełnym rezerwy Goramie. Berengaria jednak nie myślała o tym, by iść w ich ślady, jej wystarczyłby zwyczajny człowiek, chociaż wzrostem dorównywała niemal Lemuryjkom. Indra powiedziała kiedyś, że Berengaria ma wzrost modelki, co bardzo oburzyło Elenę, która nazwała ją tyczką w płocie. „Nie słuchaj Eleny”, przestrzegła Berengarię Indra, „ona stara się wyszukać w tobie jak najwięcej wad, dobrze o tym wiesz”.

Berengaria westchnęła, Indra na pewno miała co do tego rację. Przyjaźń Eleny trudno było utrzymać, zdawała się dostrzegać w swej kuzynce nieustające zagrożenie.

Biedna Elena, pomyślała Berengaria, ona jest zwyczajną miłą dziewczyną, która ani trochę nie pasuje do tej szalonej zgrai poszukiwaczy przygód. Nie znosi przecież Lemuryjczyków, uważa, że są nieprzyjemni i nienormalni, a barona wystraszyła się śmiertelnie.

Elena powinna zajmować się mężem w swoim własnym domu, piec ciasta i ciągle sprzątać, mieć zawsze świeżo wyprasowane zasłony i być najzwyklejszą gospodynią domową. Po prostu urodziła się w niewłaściwej rodzinie, w niewłaściwej grupie. To my jesteśmy szaleni, nie ona.

Ale, mój ty świecie, jakże nam przy tym wesoło!

Berengaria roześmiała się radośnie, tak głośno, że aż jacyś staruszkowie się za nią obejrzel. Dziewczyny jednak ani trochę to nic zawstydziło, ona nie przejmowała się takimi drobiazgami, jak zasady odpowiedniego zachowania. Dopóki człowiek jest pozytywnie nastawiony, to, jej zdaniem, nic nie szkodzi, że ściągnie na siebie trochę uwagi.

Westchnęła, wciąż szeroko uśmiechnięta. Ach, być kochaną przez mężczyznę... Móc się z nim kochać... Nie raz drażniono się z nią z tego powodu, że z nikim jeszcze nie spała.

Ona jednak najpierw chciała mieć całkowitą, niezachwianą pewność co do trafności swojego wyboru.

Wtedy odbije sobie za całe to długie czekanie!

7

Również inni zmierzali do pałacu Marca.

- I jak się czujesz w swoim nowym życiu, Misza? - spytała Indra, zręcznie, choć nie bez lęku, opuszczając gondolę w dół ku rynkowi. Zwykle mawiała, że jest matolem w sprawach technicznych i w tym twierdzeniu kryło się chyba ziarenko prawdy.

Misza westchnął:

- Tyle się dzieje, czasami aż trudno mi rozdzielić wydarzenia od siebie. A niekiedy muszę pozwolić moim oczom odpocząć, bo cały świat mi się kręci.

Indra zerknęła na sympatyczną twarz chłopaka.

- Rozumiem. To musiało być dla ciebie wstrząsające przeżycie, prawie jak trzęsienie ziemi. Ale skala barw na twojej twarzy zaczyna się powoli stabilizować, wokół oczu jest teraz bardziej żółtozielona.

- Tak lepiej?

- No cóż, żółty z zielonym to ładne połączenie kolorów, ale przede wszystkim oznacza etap końcowy. No i opuchlizna zaczyna ci schodzić. Przekonasz się, będzie z ciebie prawdziwy przystojniaczek, Misza.

- Tak myślisz? - spytał zawstydzony.

Indra zorientowała się, że chłopak jest zbyt naiwny, by wychwycić jakąkolwiek ironię, odrzekła więc z powagą:

- Oczywiście.

I naprawdę tak uważała.

Kochany chłopcze, jesteś taki wzruszający, że łzy same napływają mi do oczu.

- Dziewczyny będą za tobą ganiać... Och, mało brakowało, a obciąłabym głowę temu pomnikowi! I jacyś ludzie idą akurat po moim torze lotu, och, uważajcie, do kroćset! No tak, teraz lepiej. Widziałeś ten mój wspaniały skręt w prawo?

Ominęłam ich z zapasem dwóch centymetrów.

Misza roześmiał się drżąco, niepewnie.

Indra leciutko westchnęła. Była już teraz mężatką, ustabilizowaną i rozsądną, a przynajmniej powinna taka być. Wcale się jednak tak nie czuła. Owszem, wspólne życie z Ramem okazało się niemal cudem, każdy dzień był niczym drogocenny podarunek, ale rozsądek? Cóż, wiedziała, że trochę dorosła, chociaż właściwie nieznacznie. Ale wobec Miszy czuła się niemal jak matka, wprowadzająca w życie bezradne dziecko.

Grając zaś taką rolę, nie powinno się lądować niemal na głowach innych ludzi.

Dzięki Bogu, tam jest właściwy parking dla gondoli. I idzie Dolg razem z dwoma wilkami, jak miło ich znów zobaczyć. Dolg zawsze rozsiewa wokół siebie taki cudowny spokój.

Ładowanie połączone było z serią podskoków, jak gdyby osiadali na polu kartofli. Misza cokolwiek oszołomiony ruszył za Indrą przez rynek.

Musiała podtrzymywać go na schodach do pałacu, jego wzrok bowiem wciąż nie najlepiej radził sobie z oceną odległości i stopnie stanowiły pewien problem.

- Jedno jest pewne: jeśli chodzi o dziewczyny, twoim oczom nic nie dolega - zauważyła cierpko. - Nie wykręcaj sobie głowy na widok każdej kobiecej istoty na rynku!

- Ale one są takie śliczne - jęknął Misza.

- No cóż, niekoniecznie - mruknęła Indra. - Lecz może w oczach początkującego rzeczywiście tak to wygląda.

Przy portalu czekała na nich jakaś dziewczyna. Misza z początku jej nie zauważył, zajęty był bowiem patrzeniem Indrze w oczy i opowiadaniem o planach na przyszłość. Właściwie mówił nie o planach, lecz o swoim nastawieniu do życia.

- Tak wiele będę robił, Indro - mówił bez tchu. - Jestem taki żądny wszystkiego!

- Spragniony życia? - podsunęła Indra.

- I to jak! Najprzyjemniejsze są kolory, one są... niesamowite, niezwykle. I chociaż jeszcze zdarza mi się nazwać zielony niebieskim i fioletowy czerwonym, to na pewno się ich już niedługo nauczę. Sama się o tym przekonasz. Tak się cieszę, tak strasznie się cieszę, że będę mógł oglądać jeszcze więcej!

- Na pewno się jeszcze napatrzysz. A teraz spójrz, ktoś najwidoczniej na nas czeka.

Misza podniósł oczy i dostrzegł dziewczynę. Zatoczył się w tył.

- Ojej! - westchnął cicho. - Ojej!

- Tak, tak. - Indra pokiwała głową. - Tym razem naprawdę masz rację.

- Czy ona jest prawdziwa? - szepnął Misza. - Czy naprawdę istnieje coś tak pięknego?

- Najwyraźniej. Dziewczyna podeszła do nich.

- Cześć, Misza., moje znalezisko z lasów. Słyszałam, że odzyskałeś wzrok.

Przecież on nigdy nie widział, pomyślała Indra. Ale jaki jest sens w czepianiu się



szczegółów?

- Berengaria! Ty jesteś Berengaria! - zawołał Misza ze zdumieniem i radością, w głosie. - Och, łzy mi lecą, chociaż wcale nie jesieni smutny zapewnił prędko.

- To ze wzruszenia - wyjaśniła Indra tonem wyższości. - Łzy mogą płynąć z radości, ze wzruszenia, z gniewu, od cebuli i z, zimna...

Ale nikt nie słuchał jej wykładu. Miszę całkowicie pochłonęła obecność Berengarii, która przyzwyczaiła się już do takich hołdów składanych jej urodzie i przyjmowała je z wielkim spokojem.

- ...przy słuchaniu hymnu państwowego i z dumy - dokończyła Indra z uporem.

Berengaria i Misza przeszli przodem przez wrota. Wielki hall pełen był ludzi, lecz.

Misza z początku nawet nie zwrócił na to uwagi, tak bardzo był przejęty osobą swojej towarzyszki.

Za chwilę Berengaria przeprosiła go i zniknęła w innym pomieszczeniu. Misza stanął jak skamieniały i wyglądał, jakby ktoś właśnie wyrwał mu z ręki torebkę cukierków.

- Indro - powiedział pustym głosem. - Chyba się zakochałem.

- Nie, nie. Może jesteś nią zainteresowany, zafascynowany, na nic więcej na razie nie miałeś czasu. Lepiej jednak nie zwracaj sobie głowy Berengaria, to nie jest dziewczyna dla ciebie.

- Ale ona jest taka niezwykle piękna!

- Owszem, i przez to może cię głęboko zranić, musi bowiem walczyć ze swoimi humorami. Poszukaj sobie innej dziewczyny, Misza.

- Ty nic nie rozumiesz, Indro! Ja kocham głos Berengarii, sposób, w jaki oddycha, i tę jej radość życia!

- Głód życia - poprawiła go Indra. - To jedno was łączy, ale poza tym... już nic więcej. Ustuchaj mojej rady, Misza: znajdź sobie inną dziewczynę.

- Inną już mam.

Indra popatrzyła na niego rozbawiona i zaciekawiona.

- Ach, tak? A któż to taki?

- Elena.

Indra zaniemówiła. Elena?

Misza podjął z zapalem:

- Indro, czy to prawda, że istnieje czarownica o imieniu Grimelda?

- Griselda. Już nie istnieje, ale zdążyła wyrządzić wiele krzywd. Największe nieprzyjemności spotkały Jaskariego i Elenę, zło dosięgło ich nawet po śmierci tej więdźmy.

- To znaczy, że Elena mówiła prawdę - stwierdził Misza i rozmarzony zapatrzył się przed siebie. Wreszcie wziął się w garść. - Ale przecież ja nie mogę kochać jej teraz, kiedy już widziałem Berengarię. Ona jest od niej o wiele ładniejsza.

Indra czuła się jak prozaiczna moralistka, kiedy zaczęła go pouczać:

- Miłość nie ma nic wspólnego z tym, kto jest najładniejszy. Ty po prostu wpadłeś w tę samą pułapkę co tysiące debilnych mężczyzn: kochasz ideał, a nie konkretną osobę. A przecież ty nie jesteś debilem.

Po wyrazie jego twarzy poznała, że Misza nie zna tego słowa, czym prędzej więc mu je objaśniła. I rzeczywiście, Misza nie chciał, by nazywano go debilem, ale prosił Indrę o wybaczenie, wciąż bowiem nie posiadał zdolności osądu widzących.

- Co do tego masz rację - stwierdziła Indra ugodowo. - Zobacz, idzie Elena. I pamiętaj, teraz ani słowa o urodzie Berengarii, bo to akurat dla Eleny bardzo drażliwy temat.

- Dziękuję za ostrzeżenie - mruknął Misza. - Na pewno bym palnął jakieś głupstwo.

- Taka jest wada czystego serca - odrzekła Indra i na pożegnanie życzliwie poklepała go po plecach. - Niech dobre moce nad tobą czuwają, chłopcze. Będziesz nieocenionym uzupełnieniem naszej wspaniałej, pięknej, dobrej, inteligentnej, mądrej, bogatej i serdecznej supergrupy.

Popatrzył na nią z naiwnym pytaniem w oczach. Na Boga, muszę pamiętać, że on bierze na poważnie każdy dowcip, pomyślała.

Elena i Misza onieśmieleni przywitali się ze sobą. Elena stwierdziła, że Misza

bardzo jej się podoba, a on w nie całkiem elegancki sposób obrzucił spojrzeniem całą jej postać. Elena miała na sobie śliczną sukienkę w drobny wzorek z przewagą czerwonego, a Misza już wcześniej całym sercem pokochał ten kolor. Zorientował się jednak również, że i kształty dziewczyny działają na niego pociągająco, a jej łagodny, dość niepewny uśmiech bardzo mu się podoba. Na nic więcej nie mieli czasu, ponieważ przybyłych zawezwano na wielkie schody, zjawili się już bowiem wszyscy, którzy mieli się stawić. Mało brakowało, a Elena z Miszą zgubiliby się w tłumie. Misza z rozpaczą patrzył, jak dziewczyna się oddala, ona była bowiem dla niego bezpiecznym punktem w całym tym morzu ludzi. Czuli się wręcz jak tonący i miał ochotę zawołać do niej o pomoc. Kłopoty sprawiało mu też utrzymanie równowagi i w jednej chwili zatęsknił za domem, za swoją bezpieczną kryjówką, za piecem w małej cichej chacie. Nie przypuszczał wcześniej, że kiedykolwiek może się tak stać.

Gdy znów ujrzał Elenę w pobliżu, odniósł wrażenie, że naprawdę wrócił do domu. Przybył też Jaskari i dość wzburzony Goram.

Sprowadzono go z gondoli, która już miała zabrać go daleko stąd, nie zdążył nawet zmienić swego podróżnego stroju. Zdziwiona Lilja obserwowała go z kąta, w którym się schowała. W cóż on, na miłość boską, się ubrał?

Ale cudownie było znów go zobaczyć.

Nawet z tej odległości. Zrozumiała, że Goram nie przyszedł tu z własnej woli, postanowiła więc, że będzie się trzymać od niego z daleka. Właśnie takie zachowanie on będzie sobie cenił najbardziej. Niestety!

8

Elena wolnym krokiem podążała wraz z innymi w stronę wyjścia. Wezwanych było tak wielu, że nawet szerokie wrota pałacu nic zdołały przepuścić wszystkich naraz. Elena szła obok Miszy, żeby dać mu poczucie bezpieczeństwa i służyć wsparciem, lecz nie była to cała prawda. Po pierwsze, miał wielu chętnych do pomocy przyjaciół, a po drugie, Elena chciała zatrzymać go dla siebie.

Misza nie był Jaskarim ani Armasem czy też inną godną pożądaną zdobyczą,

lecz po prostu sympatycznym, miłym i bezbronnym młodym człowiekiem, na którego Elena postanowiła zagiąć parol. Nigdy nie wiadomo, do czego może to doprowadzić, przecież i tak miała już pewną tajemniczą przewagę w stosunku do innych dziewcząt.

Elena dostrzegła w tłumie wiele znajomych twarzy. No tak, właściwie znała tu wszystkich. Usłyszała nawet rozradowany głosik: „Pats, Tata, tam idzie Lam” i spokojną mrukliwą odpowiedź Katy: „Siedzę u taty na bajana”.

Powszechnie podejrzewano, że ojcem Katy jest Tam, brat Ticha, Chor bowiem był kuzynem Misy. Skoro chciano uniknąć niepotrzebnych kazirodczych związków, Chora na pewno nie wybrano na ojca dziewczynki. Wszyscy trzej Madragowie ubóstwiali Katę, lecz Tam rzeczywiście zajmował się nią najwięcej. Okazywał wzruszającą troskę o małe Madrażątko, które teraz mogło cieszyć się niezwykle widokiem z wysokości ramion potężnego Tama.

Coś szczeniastego, choć jednocześnie miękkiego otarło się o szyję Eleny.

Dziewczynie ciarki przeszły po plecach, to jeden z wilków, nie wiedziała który, ten z Gór Czarnych. Nie brała udziału w ekspedycji, nie wszystkich więc jej uczestników znała równie dobrze. Wilków na przykład trochę się bała.

Kata z wysokości swego punktu widokowego zawołała:

- Hej, Tolitoto, Tolitoto to tamulat - wyjaśniła swojemu „konikowi”.

- Co na miłość boską...? - zaczęła Elena.

Indra znajdująca się tuż obok wyjaśniła z uśmiechem:

- Kata powiedziała, że Yorimoto to samuraj.

- No tak, to przecież było słyhać wyraźnie - roześmiała się Elena.

Yorimoto również wzbudzał w niej pewne obawy, a to dlatego, że nie miała okazji bliżej go poznać. Nie bądź takim tchórzem, Eleno, upominała się surowo, musisz przecież wreszcie kiedyś z tym skończyć!

Gdzieś wśród tłumu mignęła jej Berengaria, spostrzegła też, że i wzrok Miszy kieruje się w jej stronę. Serce zasznurowało jej się w piersi. Och, byle znów nie było żadnych historii z Berengaria! Niech i mnie będzie wolno kogoś przy sobie

utrzymać!

Zaraz w następnej chwili pożałowała takich myśli. Kuzynka wyglądała na bardzo osamotnioną. Ona, radująca się każdą chwilą życia Berengaria, która zawsze dostawała wszystko, czego tylko zapragnęła? Ta pustka w jej oczach, skąd ona się wzięła? Jakież przerażające poczucie opuszczenia...

Elenę ogarnęła niemal ochota, by podejść do dziewczyny, uściskać ją i zapewnić, że przecież ma przyjaciół, a Elena jest właśnie jednym z nich. Nie zdołała się jednak precyzyjnie skierować w jej kierunku, a Berengaria nawet nie zerknęła w ich stronę, wzrok miała wbity w przestrzeń, patrzyła gdzieś daleko przed siebie, może zaglądała we własne myśli?

Tak było aż do chwili, gdy rozległ się okrzyk Gwiazdeczki „Hej, Bengalia!” Drgnęła wtedy i zaraz twarz jej się rozjaśniła.

Elena słyszała okrzyki zdumienia wszystkich, którzy już byli na schodach, a gdy sama wyszła...

- Ach, co to ma znaczyć? - jęknęła, ale Misza, rzecz jasna, nie potrafił jej niczego wyjaśnić.

Przed pałacem czekały trzy najzupełniej obce i niezwykle eleganckie gondole.

Długie, smukłe, połyskujące złotem.

Marco stanął tuż przy niej.

- Wydaje mi się, że mamy do nich wsiąść - rzekł bezdźwięcznie.

- To jasne, ale... Kto nimi przyleciał? I kto nimi kieruje?

- Nie wiem, Eleno.

Wydał polecenie, by wszyscy zajęli miejsca. Elena wiedziała, że duchy są wraz z nimi, one jednak nie potrzebowały żadnych siedzeń. Zadbano o to, by nie posadzono jej razem z wilkami, ale Miszę pociągnęła za sobą. Za niego była przecież odpowiedzialna.

W końcu wszyscy już usadowili się na swoich miejscach w „ogromnych dondolach”, jak będące wyraźnie pod wrażeniem dziewczynki nazywały pojazdy.

- Zaczekajcie! - zawołała Berengaria. - Armas jeszcze nie przyszedł.

Marco jej odpowiedział:

- Mamy nie czekać na Armasa, takie dostałem polecenie.

Zdumiało to wszystkich, którzy siedzieli w tej samej gondoli co on. Armas był wszak bardzo ważnym członkiem ich grupy.

Pojazd okazał się niezwykle luksusowy, wyściełany aksamitem w kolorze królewskiego błękitu ze wzorem przypominającym nieco lilie francuskie, które przy bliższym przyjrzeniu jednak okazały się symbolami Świętego Słońca. Wszystko zostało tu przygotowane tak, by zapewnić pasażerom jak największy komfort aż po najdrobniejsze szczegóły. Po twarzach podróżnych znać było, że doskonale by się bawili, gdyby nie nieustannie dręczące ich pytanie: Co się właściwie dzieje i co tak naprawdę ich czeka?

Elena żałowała, że Berengaria nie wybrała innej gondoli, nie podobał jej się bowiem nieskrywany podziw, jakim Misza darzył jej piękną kuzynkę. Było jednak już za późno, żeby się przesiąść, gdyż gondole po cichu ruszyły z miejsca, równie bezszelestnie i tajemniczo jak przybyły.

- Nikt nimi nie steruje! - wykrzyknęła Berengaria, siedząca obok Marca. -

Jesteśmy tutaj przecież sami! Czyżby przy drążkach siedział robot?

- Przypuszczam, że te gondole są same w sobie robotami - odrzekł nieco zdumiony książę. - Tsi-Tsungga, ty jesteś przecież ekspertem od gondoli, czy mógłbyś iść na przód i to sprawdzić?

Tsi natychmiast go usłuchał, umieściwszy wcześniej zachwyconą Gwiazdeczkę na kolanach Marca.

- Hej, Bengalia - rozpromieniła się dziewczynka. - Giazecka na kolanach Maka.

- Widzę, widzę - uśmiechnęła się Berengaria z nadzieją, że Kata tego nie zauważy i nie zechce usiąść na kolanach u niej. Byłoby troszeczkę za dużo tego szczęścia.

Nie zdążyła jeszcze pomyśleć o tym do końca, gdy tuż obok rozległ się nieśmiały głosik:

- Na kojana, Bengabanga?

Kata patrzyła spod grzywki tak błagalnym spojrzeniem, że Berengaria natychmiast się ugięła.

- Oczywiście, że możesz siedzieć ze mną. Właż!

Jednocześnie bowiem ujrzała z przodu twarz Misy, która odwróciła się i pytająco na nią patrzyła. Była taka dumna z córeczki, lecz jednocześnie w jej oczach znać było strach, że mała usłyszy odmowną odpowiedź. Berengaria posiała Misie uspokajający uśmiech.

- No cóż, pękła mi kość udowa - mruknęła do Marca, gdy Kata wspięła się jej wreszcie na kolana. - Ale czego się nic robi...

- Plenko lecimy, baldzo plenko - zachwycała się Kata.

I rzeczywiście, mknęli ze świstem na stosunkowo niewielkiej wysokości, a poruszali się tak szybko, że cała okolica zlewała się w zieloną plamę.

Tsi wrócił niezwykle podniecony.

- Tam nikogo nie ma. I nic. Nie ma nawet tablicy rozdzielczej. Ojej, schodzimy w dół, pod ziemię!

Miał rację, prędkość zmniejszyła się, gdy gondola obniżyła lot i wleciała między dwa nasypy w jakiejś nieznannej okolicy. Przed nimi widniała ściana. Za sprawą niewidzialnych sił otworzyła się i gondole wsunęły się do rozjaśnionego tunelu.

Wszyscy siedzieli pogrążeni w milczeniu, nawet Gwiazdeczka przestała szczebiotać.

Potem znów zaczęli się wznosić i wkrótce znaleźli się na świeżym powietrzu.

Pojazdy się zatrzymały.

Wszystkich dręczyło to samo pytanie; gdzie my jesteśmy?

Okolice była łagodna i przyjemna. Nie różniła się zbyt od najpiękniejszych miejsc w Królestwie Światła, lecz panowała tu inna atmosfera, inne światło, choć nikt zapewne nie zdołałby opisać tych różnic. Drzwi się otworzyły, zaczęli więc wysiadać. Wszyscy wyglądali na oszołomionych.

Od razu zdumiało ich powietrze. Przyjemne letnie ciepło, takie, jakie można przeżyć o poranku w południowych krajach, zanim słońce zacznie zbyt mocno

przypiekać. No i jeszcze zapachy, niesłychane ich bogactwo, jak gdyby znaleźli się w wielkim ogrodzie pełnym ziół, których woń mieszała się z egzotycznymi aromatami.

Śliczne domki rozmieszczono tak umiejętnie, że nie psuły wrażenia całości.

Najdziwniejsze jednak było to, że wszędzie dookoła chodziły wolno zwierzęta, i to takie, których większość z przybyłych nigdy nie widziała. Indra, Marco i jeszcze kilkoro innych pamiętali je z czasów na powierzchni Ziemi albo z książek przyrodniczych. Ujrzeni tu wiele takich gatunków, które w normalnych warunkach nie żyły obok siebie. Na przykład trawę szczypały dwa bengalskie tygrysy. No cóż, wielu z nich było świadkami, jak pod wpływem Marca krwiożercze drapieżniki zaczynały akceptować jako pożywienie trawę. Coś podobnego musiało zdarzyć się i tutaj, ale kto był tego sprawcą? Berengaria natychmiast spytała Marca, lecz on do niczego nie chciał się przyznać. Nigdy przecież tu nie był i nie widział tych zwierząt.

Najmłodsze dziewczynki znalazły małe jagnięta i za wszelką cenę próbowały je utulić, owieczki jednak prędko uciekły.

- Tylko bez niemądrych pomysłów, Freki - mruknęła Indra do olbrzymiego wilka.

- Za kogo ty mnie masz - odwarknął Freki.

Z najbliższej stojącego ślicznego domku wyszedł młody człowiek i witają ich z daleka, podniósł rękę.

- Armas? - wykrzyknęli z niedowierzaniem i ruszyli mu na spotkanie.

- Zaczekajcie, zaczekajcie! - zapaliła się Indra. - Ach, jakież to ciekawe! Jesteśmy w zewnętrznej części terytorium Obcych, prawda? Tu, gdzie ty mieszkasz?

- Błyskotliwa konkluzja, Indro - roześmiał się Armas. - Witajcie wszyscy!

- Dziękujemy - powiedział Marco. - Ale te zwierzęta? Wyjaśnij nam to, Armasic.

-Już niedługo dowiecie się więcej. Idą moi rodzice...

Strażnik Góry i jego żona Fionella, którą wszak dobrze znali, przywitali się z każdym z osobna. Kata w różowej sukieneczce dygnęła tak głęboko, że aż usiadła na ziemi, a Taran serdecznie uściskała swą dawną przyjaciółkę Fionellę.



- Ależ to wspaniałe! - wykrzyknęła Taran. - Znaleźliśmy się na terytorium Obcych.

- To zaledwie zewnętrzna część - podkreślił Strażnik Góry.

- No tak, ale nikomu nigdy dotychczas nie pozwalano tu przyjść. Dlaczego więc ze wszystkich mieszkańców Królestwa Światła wpuszczono właśnie nas?

- Trochę się mylisz. Ram był tu kilkakrotnie, on bowiem jest taki jak ja, w jego żyłach płynie krew Obcych. On jednak wybrał służbę w oddziałach Strażników. No, ale już niedługo otrzymacie wszystkie informacje, jakich tylko będziecie sobie życzyć. Ja chcę jedynie powiedzieć, że mamy w Królestwie Światła wiele innych wspaniałych i zasługujących na szacunek grup. Jest wszak doborowa elita intelektualistów, do której zaliczają się profesorowie, naukowcy i inne wybitne umysły, mamy też grupy składające się z przedstawicieli rozmaitych zawodów, rzemieślników, robotników, artystów i inżynierów, najlepszych, jakich tylko można znaleźć. Wy natomiast jesteście poszukiwaczami przygód, tymi, którzy dla Świętego Słońca potrafią zaryzykować wszystko. Właśnie dlatego jesteście tu teraz.

Hm, chyba raczej nie dla Świętego Słońca wypuszczali się na najbardziej ryzykowne ekspedycje i podejmowali najśmielsze wyzwania. Była to w dużej mierze kwestia własnej przyjemności i zadowolenia płynącego ze świadomości, że mogą się do czegoś przydać.

Elena trochę skuliła się w sobie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że z żądzą przygód jest mocno na bakier. A co z Miszą? No i z najmniejszymi dziećmi? Czy ich także można nazwać poszukiwaczami przygód?

Cóż, zapewne niedługo wszystko się wyjaśni.

Zaproszono ich do przepięknego ogrodu Strażnika Góry, gdzie podano orzeźwiające napoje. Nagle ponad płotem wystawiła głowę antylopa i zaczęła ogryzać listki rosnącej w ogrodzie akacji. Elena się wystraszyła, lecz Fionella zaraz ją uspokoiła, mówiąc, że miejsca starczy dla wszystkich, a liście wkrótce odrosną.

Po drugiej stronie ogrodu w zagłębieniu terenu było nieduże jezioro. Berengaria

dostrzegła dwa kormorany stojące na kamieniu i prostujące skrzydła. Na widok całej tej piękności, zwierząt swobodnie pasących się dokoła, niezwykłych kwiatów w ogrodzie znów ogarnęła ją nieopanowana radość, ów głód życia. Przeciągnęła się z zadowoleniem i roześmiała w czystym, niezmaconym poczuciu szczęścia. Przyjaciele, patrząc na nią, zarazili się jej radością.

Kołyszącym krokiem nadszedł słoń, a Kata zaraz zawołała trochę przestraszona:  
- Ojej! Welki peś!

W królestwie Armasa żyły nie tylko zwierzęta, byli w nim również ludzie. Kobiety tak piękne, że Elenę na sam ich widok przenikał dreszcz. I przystojni mężczyźni, którzy ciepło ich witali. Nie wszyscy byli równie doskonali, w żyłach niektórych płynęło zbyt wiele krwi Obcych, inni mieli zaś w sobie zbyt wiele ze zwykłych ludzi. Najlepiej wypadła kombinacja Obcy - Lemuryjczyk, wśród nich znajdowali się podobni do Rama, a on przecież doprawdy wyglądał nie najgorzej.

Elena nie mogła pojąć, jak to możliwe, by taka mieszanka była aż tak udana, gdyż jedyny prawdziwy Obcy, jakiego miała okazję spotkać, a mianowicie Faron, obdarzony był zaiste niezwykłą urodą. Był taki sztywny, nienaturalny, wręcz nieludzki, a przez to straszny.

Rozmowa w ogrodzie toczyła się pozornie beztrosko, gospodarze nie udzielali im zbyt wielu wyjaśnień, zapewne jednak wielu z gości lęk wciąż ścisnął w brzuchu. Zaproszono ich tu wszak jako poszukiwaczy przygód, czego tym razem od nich oczekują?

Lilja siedziała milcząca w pobliżu Berengarii i pozostałych dziewcząt. Bała się spojrzeć w stronę Gorama, wyczuwała jednak, że Strażnik stoi niedaleko.

A ja tak się cieszyłam na to nowe życie, myślałam. Tymczasem ot tak, po prostu, zakochałam się w niewłaściwym człowieku. Gorzej już nie mogłam trafić. To najwspanialsza osoba, jaką można sobie wyobrazić, a nie mam żadnych szans, żeby z nim być!

Owo cudowne życie stało się martwe i zimne, jakby szron pokrył zmrożoną ziemię...

Berengaria widziała, że Lilja jest nieszczęśliwa, podeszła więc i usiadła przy młodej dziewczynie. Otoczyła ją ramieniem.

- Smucisz się w taki wielki dzień? - spytała życzliwie.

Lilja zawsze czuła silną więź, łączącą ją z Berengarią, tą radosną duszą, którą niekiedy tak głęboko można było zranić. Wiedziała, że Berengaria zrozumie.

- Kochać kogoś... Czy możliwe, by to oznaczało rezygnację?

- Jedno nie musi oznaczać drugiego - odparła Berengaria, starając się przybrać wygląd mądrej i światowej osoby, ale sama wszak w miłości miała niezbyt duże doświadczenie. - Prawdą jest jednak, że nieraz trzeba rezygnować z wielu rzeczy. Ja na przykład musiałam zrezygnować z Oka Nocy przez jakieś niemądre reguły plemienne. Ale to oczywiste, że oni mieli rację. Jestem zbyt niecierpliwa i za bardzo chcę być wolna, żebym mogła dostosować się do wszystkich indiańskich obyczajów. Tak więc z historią z Okiem Nocy jakoś sobie poradziłam, chociaż moje poczucie osobistej dumy bardzo wówczas na tym ucierpiało. Ale co ty właściwie masz na myśli?

- A jeśli oboje rezygnują?

Pytanie na moment wprowadziło Berengarię w osłupienie.

- Chodzi ci o to, że oboje są związani z kimś innym?

- Nie z żadną osobą. Ale jeśli jedna strona związana jest obietnicą?

Berengaria zastanowiła się.

Och, oczywiście, chodzi o Gorama. Przecież od dawna czytała to w oczach Lilji.

Ale on...?

Ukradkiem zerknęła w jego stronę. Przystojny Lemuryjczyk stał teraz demonstracyjnie zapatrzony w jezioro, jak gdyby za nic na świecie nie chciał spoglądać na Lilję.

- A jakąż to przysięgą on jest związany?

- Tego powiedzieć ci nie mogę, dowiedziałam się o niej w zaufaniu.

- W takim razie sądzę, że powinnaś się uważać za wybraną, skoro zechciał ci się zwierzyć.

Lilja wzięła się w garść.

- Wybacz mi, mówię zagadkami, na które ty nie możesz przecież dać mi żadnej odpowiedzi. I tak dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać.

- Z największą chęcią bym ci pomogła. Ale przynajmniej jednego możesz być pewna: twoje uczucia są odwzajemnione.

Lilja drgnęła.

- Skąd o tym wiesz?

- Nawet ślepy by to zobaczył.

- Och, dziękuję, gorąco ci dziękuję za te słowa! On nas teraz opuszcza.

- Naprawdę? Jaka szkoda! Ale sama widzisz, traktuje cię poważnie. A dokąd się wybiera?

- Nie wiem - żałośnie odparła Lilja. - Ale to brzmiało tak... definitywnie.

- No, no, tylko bez płaczu, bo inni zaraz się zainteresują. Chodź, popatrzymy na zwierzęta, uważam, że to bardzo ciekawe.

Lilja bardzo chętnie z nią poszła, dołączyły do nich zaraz dwie najmniejsze dziewczynki, biegły przodem, trochę niepokojąc zwierzęta niezmordowanymi próbami objęcia ich i przytulenia.

A Misza siedział i myślał o małej ubogiej chatce w wiosce Waregów i serce sznurowało mu się w piersi na widok wszystkich tych wspaniałości, które go teraz otaczały. Zapragnął zbudować swoim rodzicom dom taki jak Armasa.

Pytanie tylko, czy Elisowi i Nataszy spodobałby się taki pałac i czy czuliby się w nim jak w domu.

Misza i Elena mieli stolik tylko dla siebie. Dziewczynę bawiło uczenie go odpowiedniego zachowania wobec damy, jak powinien pytać, czy ma ochotę na ciastko (owszem, miała), jak proponować jej coś do picia. Misza był chętnym do nauki i pojętym uczniem.

Elena widziała, że chłopak dobrze się przy niej czuje, i niby to przypadkiem przysunęła nogę do jego kolana.

Miszy dech zaparło w piersiach, był doprawdy bardzo pobudliwy, przez tyle lat

przecież żył w samotności.

Teraz czuł się trochę nieswojo. Indra przykazała mu, żeby nie wspominał o Berengarii, ale on miał taką silną potrzebę mówienia, podzielenia się z kimś tak wieloma wrażeniami, całym tym mnóstwem uczuć.

- Wydaje mi się, że wiem, co to znaczy kochać - powiedział ostrożnie, nie śmiąc nawet zerknąć w stronę Berengarii. - Wiem, co znaczy kochać kogoś aż do bólu i tęsknić, pragnąć.

Misza uczynił w tym momencie coś, co nie było zbyt ładne z jego strony: potraktował jedną dziewczynę za substytut innej, sam jednak nie zdawał sobie z tego sprawy, w dodatku nic umiał poruszać się po zawitych ścieżkach konwenansów. Szepnął na poły naiwnie, na poły z poczuciem winy:

- Eleno, czy moglibyśmy gdzieś na jakiś czas zostać sami?

Elenę przeniknął dreszcz.

- Tak - odszepnęła. - Ale nie tutaj. Dopiero gdy wrócimy z powrotem do Królestwa Światła.

- To dobrze.

Miszy zamglily się oczy.

- Czy będziesz mogła zrobić to jeszcze raz?

- Dotknąć twojego kolana?

- Nie, nie, wiesz, co mam na myśli.

Elena czuła, że się czerwieni. Zresztą zawsze stawała w pąsach z najbliższych powodów.

Co odpowiedzieć na takie pytanie, zwłaszcza gdy jest się tak szczęśliwym i podnieconym, że ledwie można oddychać? Misza jej pragnął! Nareszcie jakiś chłopak miał wobec niej poważne zamiary. Posłała triumfujące spojrzenie Berengarii, lecz kuzynka nie patrzyła na nich. Żartowała z Sassą, Lilją i innymi dziewczętami.

Elena nie zdążyła odpowiedzieć Miszy, bo właśnie Strażnik Góry wstał. Starczyło jej czasu jedynie na to, by przez moment uścisnąć dłoń chłopaka. Potem oboje

musieli wysłuchać, co ma im do powiedzenia ojciec Armasa.

- Jeśli wszyscy już nabrali sił, to możemy wyruszyć w dalszą drogę.

- W dalszą drogę? - zdumiał się Dolg. - Sądziłem, że teraz już wrócimy do domu.

- Nie, nie - uśmiechnął się Strażnik Góry. - Teraz udacie się do wewnętrznej części królestwa Obcych, do samego jądra.

Ta wiadomość niemal ich ogłuszyła.

9

Tym razem towarzyszył im Armas. Ruszył w stronę gondoli wraz z przyjaciółmi z dzieciństwa, Jaskarim i Jorim. Przyłączył się do nich również Marco.

- Chciałbym tutaj pracować - westchnął Jaskari na widok opiekunów zwierząt z koszykami pełnymi przysmaków i zdrowej paszy. - Zawsze bardziej chciałem zostać weterynarzem niż lekarzem.

- Ja także chętnie bym tu pracował - oświadczył Jori, wielki przyjaciel zwierząt.

Armas milczał, uśmiechnął się tylko.

Marco rozejrzał się dokoła.

- Wcześniej były tu ogrodzenia - rzucił zamyślony. - Dlaczego? Co się stało?

- Na wszystkie pytania otrzymacie odpowiedź już niedługo. Nie zapomnijcie, by je zadawać, skoro macie taką okazję. To będzie naprawdę wielki moment w waszym życiu.

- Ty tam byłeś? - spytał zaskoczony Jori. - Byłeś u nich?

Armas przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, wreszcie uśmiechnął się jakby przepraszająco, odrobinę zawstydzony.

- Eee... Nie - przyznał. - To będzie wielka chwila również w moim życiu.

- Świetnie - ucieszył się Jori. - Zawsze mieliśmy w stosunku do ciebie pewien kompleks.

- Naprawdę? - zdumiał się Armas. - A przecież ja tak często wam zazdrościłem! Niekiedy bywa tu bardzo samotnie.

- Z wszystkimi tymi pięknymi dziewczętami, od których wprost się tu roi? Nic dziwnego, że zdaniem twojego ojca nasze dziewczyny nie dorastają im do pięt.

- O, ojciec mierzy jeszcze wyżej - stwierdził Armas nie bez goryczy. - Chciałby, żebym poślubił prawdziwą kobietę z rodu Obcych.

- Czy to znaczy, że ty się z nimi stykasz? - spytał Marco.

- Zdarza się niekiedy, że Obcy tu zagląдают. Dziewczęta również. Ale moim zdaniem one są zbyt... zbyt obce.

- To prawda - przyznał Jaskari. - Widzieliśmy przecież Faroną.

- No właśnie - dokończył Armas.

Zajęli miejsca w gondolach, które zaraz poderwały się z ziemi i poszybowały naprzód.

Okolica była dość rozległa, a ten, kto sterował gondolami, nadał im prędkość umożliwiającą pasażerom dokładne przyjrzenie się wszystkiemu.

Wszędzie były zwierzęta, spokojne, zdrowe. Domy tworzyły osady, dzielnice willowe, lecz nigdzie nie widać było żadnego miasta. Między osadami królowała przyroda, zielone łąki pełne kwiecica, drzewa w bujnych gajach, tu i ówdzie niezwykle lasy wysokich, prostych, podobnych do sosen drzew, które jednak zamiast igieł miały liście. Kiedy sunęli wśród tych lasów, ogarnęło ich nagle wrażenie, jakby znaleźli się w katedrze, jak gdyby drzewa rosły tu od eonów lat i śpiewały mroczną, melancholijną pieśń niczym chór mnichów, pieśń o minionych czasach i dawno ukrytych tajemnicach. Nagle jednak dookoła zrobiło się jaśniej i drogę przegrodziła przezroczysta biała ściana.

Ona również się rozsunęła, przepuszczając gondole.

I jeszcze jedna ściana! W niej także było tajemnicze przejście, przez które się przesunęli.

Jeszcze jedna? A cóż to za zabezpieczenia? Tym razem jednak gondola zatrzymała się między dwiema ścianami i wszyscy musieli wysiąść.

Dość niepewni stanęli przy pojazdach. Gondagil trzymał na rękach małego Harama, chłopczyk jasnymi zdziwionymi oczkami wpatrywał się w niemal oślepiająco białe otoczenie.

Misza podniósł wzrok.

- Sufit opada - stwierdził przerażony.
  - A ściany się przybliżają - dodała równie wystraszona Sassa.
- Nagle ze ścian i z sufitu buchnęła biała para.
- Ratunku, zagazują nas! - zawołała Elena.
  - Uspokój się! - krzyknął Móri. - Nie rób paniki! To wcale nie jest gaz.
  - Dezynfekcja - spokojnie powiedział Ram. - Zachowajcie spokój, nic nam nic grozi.

Wszyscy wiedzieli, że Elena jest najsłabszym ogniwem w całym ich gronie przyjaciół. Zawsze tak było i pozostali mieli na to wzgląd, nie każdy wszak musi być twardzielem.

Otulenie w mgłę o delikatnym zapachu nie należało do przyjemności.

Gwiazdeczka zaczęła demonstracyjnie kaszleć, a Kata zaraz poszła w jej ślady.

W końcu dziewczynki usiłowały zagłuszyć jedna drugą tym kasłaniem.

Drzwi gondoli otworzyły się znów na znak, że mogą z powrotem wsiąść.

- No, widzę, że zamiłowanie do sterylnej czystości dotarło aż tutaj - stwierdził Marco, odnajdując swoje miejsce.

Rzeczywiście, mgła snuła się gęsta również we wnętrzu gondoli, lecz jakby w niczym nie przeszkadzała.

Na poły przezroczysty mur przed nimi otworzył się i wsunęli się do środka.

Teraz byli już we wnętrzu Królestwa Obcych.

Z początku wszyscy milczeli, jakby nie bardzo rozumiejąc, co widzą.

- Ojej! - westchnął tylko Dolg.

Otaczał ich olśniewający biały świat. Wszędzie jak okiem sięgnąć, wznosiła się wieża za wieżą, sklepienie za sklepieniem, niczym lśniący biały gotycki katedra, przy której budowie fantazja poniosła architekta. Piękne białe budynki ciągnęły się cały czas w górę, przybierając coraz bardziej fantastyczne formy.

- Niezłe - pokiwała głową Indra.

Gondole zatrzymały się na niewielkim placu przed delikatnym mostkiem.

Usłyszeli głos Shiry:



- To mi przypomina ów wijący się most w drodze przez grotę.
- Ten, który nagle się urwał? Cóż, to dopiero za zachętą! - powiedziała Indra.
- Ale ten wygląda na bardziej stabilny - uspokoiła ją Shira.

Marco wszedł jako pierwszy na biały most, który wydawał się znikać w jednej z wież z przodu. Pozostali podreptali za nim długim rzędem i wkrótce się przekonali, że mostek wcale nie był taki kruchy, na jaki wyglądał. Co znajdowało się w dole, trudno było odgadnąć, przypuszczali jednak, że musi tam być jakaś woda. W tej krainie panowało takie niezwykle, migotliwe światło, że właściwie trudno było coś zobaczyć. Wszystko przypominało poranną mgłę, lśniąca kryształki lodu czy też białe opary w rozległym białym pomieszczeniu. Nie bardzo udawało im się opisać wrażenia tak dokładnie, jak by tego chcieli.

Przeszli przez most i otworzyły się przed nimi jakieś wysokie wrota. Znaleźli się w pierwszej sali.

Wszędzie ta sama zdumiewająca biel, tu jednak rozpraszały ją nieco pastelowe barwy wyposażenia, mebli i okien. A jedną z bocznych ścian w całości pokrywało przepiękne malowidło.

- Ach! - westchnął Misza. - Jakież to wszystko cudne! Nic ładniejszego nie widziałem w całym życiu!

- Zobacz sama - mruknęła Indra, lekko szturchając Elenę w bok. - On na Berengarię patrzy również jak na dzieło sztuki, zresztą trudno jej tego odmówić, chyba sama przyznasz.

- Tak, tak - odmruknęła Elena. - Widzę, widzę. Przygląda się temu obrazowi dokładnie z tym samym wyrazem twarzy, z jakim patrzy na nią. Ten sam barani podziw. Wiesz, to przyniosło mi kolosalną ulgę. Chodź tutaj, Misza! Jeśli zdołasz się teraz oderwać od tego obrazu, to zaraz się przekonasz, że coś zaczyna się dziać. Najwyższy już na to czas.

Drzwi po drugiej stronie pomieszczenia otworzyły się i wyszła z nich grupka czterech Obcych, najprawdziwszych Obcych takich jak Faron, którego wszyscy mieli już przecież okazję widzieć. Obcy byli wysocy, cali w bieli, a ich ornaty, bo

inaczej nie dało się nazwać tego stroju, ozdobiły emblematy Świętego Słońca i własny symbol Obcych. Wszyscy mieli czarne włosy i te niezwykle rysy twarzy, przypominające właściwie zespolone płytki. Badawczo przyglądali się nowo przybyłym.

- Kogoś tu brakuje - odezwał się jeden takim samym głuchym, pustym głosem, jakim mówił Faron. - Czy duchy zechcą być tak łaskawe i się ukazać?

Ojej, pierwsze powitanie i od razu krytyka, chociaż zawołowana. Niedobrze!

Duchy powoli wyłoniły się z nicości. Zdumienie Miszy i Lilji było bezgraniczne, lecz Gwiazdeczka nagle pojawienie się licznej gromady przyjęła spokojnie.

- Stłachy - powiedziała z podziwem. - Oglomne paskudne gloźne stłachy.

- Ależ, Gwiazdeczko - złała ją zawstydzona Siska. - To wcale nie są strachy!

Ukazała się wielka gromada. Tengel Dobry wystąpił naprzód i przemówił do Obcych w imieniu wszystkich duchów, prosząc o wybaczenie za to, że nie ukazały się wcześniej, nie wiedziały po prostu, co będzie większą uprzejmością, niektóre z nich mogły przecież budzić przerażenie.

Rzeczywiście tak było. Lilja i Misza z niedowierzaniem patrzyli na olbrzymiego Cienia, Nidhogga, Nauczyciela, Ducha Zgasłych Nadziei, na panie wody i powietrza, na Pustkę i Hraundrangi-Móriego. Były tu także cztery duchy Shiry, jak również Shama, śmierć, na którego widok niejednemu ciarki przechodziły po plecach. Mało kto widział go wcześniej.

Ukazały się też duchy Ludzi Lodu, lecz one wyglądały zwyczajniej. Tengel Dobry, Sol - choć ona była widoczna przez cały czas, Ulvhedin, Heike, Villemo, Shira z Marem i wielu, wielu innych.

Cień pokłonił się przed Obcymi.

- Jesteśmy głęboko wzruszeni i zaszczyceni faktem, że zaproszono nas tutaj, Wielki Mistrzu. Ja osobiście mam nadzieję, że będę mógł znów spotkać mych krewniaków, jeśli to tylko oczywiście jest możliwe.

- O, tak, lecz dopiero w powrotnej drodze. Oni mieszkają na zewnątrz.

- Wielkie dzięki.

Dołączyło jeszcze dwóch Obcych.

- Faron, to Faron! - rozległy się uradowane głosy.

A Faron uśmiechnął się swoim surowym, sztywnym uśmiechem i dobrodusznie pozwolił, by obstąpili go dawni towarzysze podróży.

Marco czym prędzej przestrzegł go przed Gwiazdeczką. Dziewczynka potrafiła wymówić jego imię, lecz robiła to w bardzo nieodpowiedni sposób, przez co mogła wyrzucić bardzo złe wrażenie.

Faron podniósł głowę i z wesołym zainteresowaniem popatrzył na Gwiazdeczkę, siedzącą na rękach u swego ojca i wpatrującą się w niego rozpromienionymi oczkami.

- Jakże to maleństwo urosło! - rzekł zdumiony. - Ale też i w jej żyłach płynie krew elfów, to widać już na pierwszy rzut oka.

Wyciągnął ręce do dziewczynki, a Gwiazdeczka ufnie pozwoliła się podnieść.

- Ty jesteś Faja? - spytała swoim cienkim, jasnym głosikiem. - Nie, tak niedobrze, Fajon.

Faron wybuchnął śmiechem, którym zaraz zarazili się wszyscy, również jego szacowni pobratymcy.

- Prawie dobrze, Gwiazdeczko. Rzeczywiście jestem Faron. A gdzie dwójka pozostałych dzieci? Jak one się miewają?

Gondagil czym prędzej wysunął się przed innych z Haramem, do którego Faron powiedział kilka miłych słów, ale w odpowiedzi otrzymał jedynie bezzębny uśmiech. Potem zaś podeszła Misa z Kata, która znów dygnęła aż do podłogi i dopiero Dolg, który dyskretnie wyciągnął do niej rękę, pomógł jej się podnieść.

Dziewuszka wpatrywała się w Farona szeroko otwartymi, pełnymi powagi oczyma.

- Kata też już umie mówić - oznajmiła Misa z dumą. - One obie bardzo się przyjaźnią.

Faron nie ryzykował, że ktoś jeszcze raz nazwie go nieodpowiednim słowem, kiwnął więc tylko głową Kacie i pochwalił jej śliczną, choć najzupełniej nie na miejscu lososioworóżową sukienkę.

Kata zaczęła skubać rąbek spódniczki i teraz wyglądała doprawdy czarująco w całej swej zażenowanej niezgrabności.

- Miła nać - powiedziała bez tchu.

- Co takiego? - Faron pytająco popatrzył na Misę.

Matka przetłumaczyła:

- Miło pana poznać. Mówi jeszcze trochę niewyraźnie.

Faron zwichrzył Kacie gęste kręcone włosy, wyglądało na to, że doskonale się przy tym bawi.

- I ciebie miło poznać, Kato!

Pozostali Obcy ze zdumieniem obserwowali, jak wielką popularnością cieszy się Faron.

- Zaczynamy rozumieć, że coś nam przeszło koło nosa - stwierdził jeden zamyślony. - Ale nam nie jest łatwo...

Wielu zastanawiało się, co właściwie zamierzał powiedzieć i dlaczego tak trudno im kontaktować się z ludźmi z Królestwa Światła. Od dawna wielką zagadką dręczącą wszystkich mieszkańców Królestwa Światła był dystans, jaki utrzymywali wobec nich Obcy, jak gdyby uważali, że stoją wysoko ponad wszystkimi innymi istotami zamieszkującymi wewnątrz Ziemi. A przecież kontakty z Faronem przebiegały tak bezproblemowo.

- Może teraz zechcecie wejść razem z nami do naszego królestwa? - zaproponował jeden z Obcych.

- Czy już w nim nie jesteśmy? - wyrwało się Tsi-Tsundze.

- Jeszcze nie, to dopiero przedsięwzięcie. A przy okazji chciałem spytać... Czy te chmury mgły nie są dla was za bardzo dokuczliwe?

- Oprócz zbędnych demonstracji ze strony najmniejszych, to powietrze w niczym nam nie przeszkadza - stwierdziła Siska. - To trochę takie wrażenie, jakbyśmy byli w olbrzymiej pralni.

- A więc doskonale, wchodzimy.

Berengaria znów poczuła się trochę zostawiona na boku, tak jak poprzednio, gdy

był z nimi Faron. On jej nie znal. Nie pozwolono jej wziąć udziału w jego wielkiej wyprawie w Góry Czarne, nie zabrali wtedy także Jaskarięgo ani Eleny. Elena sama nie chciała jechać, lecz w duszach Jaskarięgo i Berengarii fakt, że ich odrzucono, pozostawił głębokie rany. Teraz znów je rozdrapano.

Wielkie drzwi prowadzące do wnętrza królestwa Obcych otworzyły się, a gdy weszli, zaraz zamknęły się za nimi.

Tutaj chmury były jeszcze gęściejsze, mlecznobiała mgła jakby skondensowana. Indra na wszelki wypadek mocno chwyciła Rama za poję płaszcz, żeby nie stracić z nim kontaktu.

Było tu wielu Obcych. Pomogli gościom naciągnąć na głowy coś w rodzaju obciskającego kaptura, wystawały spod niego jedynie uszy, oczy, nos i usta.

- Kondomy - szepnęła Indra do Rama. - Słyszałeś chyba o Indianinie, który spytał: „Tatusiu, dlaczego mamy tyle dziwnych imion w naszym pleminiu?” „Zaraz ci powiem, synku. Gdy Wędrujący Jeleń przyszedł na świat, w pobliżu wędrował jeleń, a gdy splodzony został Ognisty Deszcz, trwała straszliwa burza. Czy chciałbyś wiedzieć coś więcej, Dziurawa Gumo? A ja w tej gumie nie czuję się całkiem bezpiecznie.

Ram uśmiechnął się.

- Ciesz się, że Oko Nocy cię teraz nie słyszał! Ale muszę przyznać, że i ja jestem zdziwiony. Co to wszystko może znaczyć?

Dostali fartuchy ochronne i dodatkowo jeszcze cienkie gumowe rękawiczki. Nie było to zbyt przyjemne, większość jednak jakoś się z tym pogodziła. Natomiast mały Haram głośno protestował w przeciwieństwie do obu dziewczynek, które skakały w koło, figlując w swoich nowych obcisłych kostiumach.

- Kto ty jesteś? - spytała Indra jakąś przypominającą kokon istotę.

- Jestem Oko Nocy i świetnie słyszałem, co przed chwilą mówiłaś, ale muszę ci powiedzieć, że się mylisz. Mniejszości i pierwotne ludy wcale nie są tak strasznie przewrażliwione i potrafią się śmiać same z siebie. Mnie też by ubawiła ta twoja historyjka, gdybym nie słyszał jej już wcześniej. Ale wszystko tutaj wydaje się takie

tajemnicze. Dziwne, że usta zostawili nam swobodne.

- To prawda, niczego nie pojmuję. Jeśli oni chcą nas teraz poznać, to przecież nie będą mogli stwierdzić, kto jest kto, ani nie zobaczą, jak wyglądamy. Jakoś to wszystko poplątane!

- Rzeczywiście - z najbliższej mumii wydobył się głos Berengarii. - Chętnie przedstawiłabym się Faronowi, którego wszyscy z wyjątkiem mnie tak dobrze znają, ale skąd on będzie wiedział, jaka jest Berengaria, kiedy tak wyglądam?

- Och, tyle goryczy w twoich słowach? - zdumiała się Indra.

- Chyba nic w tym dziwnego. A tobie podobałoby się, gdyby zostawiono cię w domu, podczas gdy wszyscy inni wyruszyli razem z nim w Góry Czarne? Indra zaniemówiła, ale Ram znalazł odpowiedź.

- Widać miał swoje powody.

Nie było to przemyślane stwierdzenie. Zobaczyli, jak oczy Berengarii wypełniają się łzami, i Ram czym prędzej poprosił o wybaczenie, nic złego przecież nie miał na myśli.

- Możesz tak sobie mówić - stwierdziła Berengaria, lecz teraz przynajmniej się uśmiechała.

Przyniosło im to wielką ulgę.

- I tak nic mądrego nie wymyślisz. No, ale muszę przyznać, że głupio się czuję w tym przebraniu, w tej skórze wężorza.

Jakiś Obcy usłyszał ich i wtrącił się:

- To tylko zabezpieczenie. Nie wiemy, jak długo musicie być w nie ubrani, właśnie o tym także chcemy się przekonać.

Podziękowali uprzejmie za wyjaśnienie i nawet nie protestowali, kiedy Obcy zaczęli wszystkich wciskać w kąty.

Nagle cały róg pokoju odgrodziła przezroczysta ściana, mniej więcej taka jak w kabinie prysznicowej, i doświadczyli czegoś, czego nie umieli zrozumieć. Jedynie Miranda przeżyła wcześniej coś podobnego. Zostali przeniesieni, nie ruszając się z miejsca. Ich ciała zostały rozszczerzone na molekuly i połączone na powrót

dopiero wtedy, gdy znaleźli się w jakiejś sali wysoko ponad halą wejściową. Nie było to nieprzyjemne uczucie, lecz, trzeba przyznać, bardzo dziwne.

- Ale gdzie my teraz jesteśmy?

To Tsi wypowiedział na głos pytanie, które w duchu zadali sobie wszyscy.

Tu nie było już mgły, a jedynie fantastyczne, niezwykle piękno, bez względu na to, w którą stronę się spojrzano. Można mówić o Obcych, co się chce, lecz ich poczuciu estetyki nie dawało się nic zarzucić. Różnili się przy tym od tyranów z Nowej Atlantydy, którzy urządzili swoją krainę z symetrią co do milimetra. Tutaj sporo do powiedzenia miał pierwiastek artystyczny, każdy najdrobniejszy nawet detal był niezwykle wyszukany, choć symetrii w nim nie było. Otoczenie stanowiło więc odpoczynek dla oczu i rozkosz dla duszy.

Podstawowym kolorem, jaki tu obowiązywał, wciąż była biel, lecz wykorzystano także inne barwy, zarówno pastelowe, jak i ostre. Berengaria westchnęła z uniesieniem, usłyszała też głębokie, przeciągłe westchnienie innych. Wszystko tutaj było takie piękne, że wprost bolało w piersiach. Takie wspaniałości wprost pragnie się pokazać swoim przyjaciołom. Na szczęście oni również je widzieli. Szkoda tylko, że rodzice i babcia Theresa nie mogli tego zobaczyć, . zwłaszcza ojciec, delikatny poeta Rafael. Przede wszystkim jednak uwagę przybyłych zwrócili gospodarze. Ci, którzy znajdowali się w tej sali, nie mieli wcale takich sztywnych dziwacznych twarzy, wyglądali niemal jak ludzie, a raczej jak Lemuryjczycy. Berengarii przypomniła się prastara saga opowiadająca o tym, jak to Obcy pojawili się w świecie na powierzchni Ziemi przed wieloma tysiącami lat i połączyli się z prymitywnym, lecz stosunkowo inteligentnym plemieniem, będącym pośrednim gatunkiem między małpami a ludźmi. Efektem ich związków byli Lemuryjczycy. Nowa rasa znacznie przewyższała ówczesne naczelne zarówno pod względem inteligencji i urody, jak i charakteru. Rasa ta na Ziemi wyginęła, tu jednak istniała nadal.

Tu również byli jej przodkowie, Obcy.

- Ale przystojniacy - stwierdził Tsi-Tsungga, może nie elegancko, lecz szczerze. -

Człowiek czuje się przy nich jak śmieć.

I rzeczywiście, ci Obcy byli naprawdę piękni. Znajdowali się wśród nich zarówno mężczyźni, jak i kobiety, o wzroście co najmniej dwu i pół metra, mieli wielkie, całkowicie czarne oczy, które przekazali w spadku Lemuryjczykom i wszystkim, w których żyłach płynęła lemuryjska krew, na przykład Dolgowi. Ale oczy Tsi iskrzyły zielenią oczu elfów. Obcy mieli długie czarne włosy i cery tak świeże jak rosa o poranku. Uśmiechali się przyjaźnie do oniemiałych gości i zaprosili ich do ogromnego okrągłego audytorium. Tam przybysze zajęli miejsca w rzędach ławek, na wyszukanych miękkich fotelach obciążonych jasnobłękitnym puszystym welurem, doskonale harmonizującym z kremowymi, równie puszystymi dywanami na podłodze.

Kata mało nie ukręciła sobie głowy, żeby zajrzeć w kopułę na sklepieniu, ozdobioną drobnym połyskliwym wzorem.

- To gwiazdy - wyjaśniła Misa. Córeczka popatrzyła na nią zdumiona.

- Jak Wiazecka?

- Tak, Gwiazdeczka właśnie od nich wzięła swoje imię. Dlatego, że jej oczy błyszczą jak gwiazdki.

Mała Gwiazdeczka słuchała tego z wielkim zadowoleniem, ona też odchyliła głowę i podziwiała pięknie zdobione sklepienie.

Jakaś kobieta z rodu Obcych wyjaśniła życzliwie:

- Umieściliśmy je tam, by przypominały nam o gwiazdzistym niebie ponad światem na zewnątrz.

- Tak, tak - pokiwała głową Misa. - Doskonale to rozumiem.

Potem w sali zapadła cisza.

Większość nowo przybyłych przeczuwała, że już niedługo otrzymają wyjaśnienie bardzo wielu zagadek, które od dawna nie dawały im spokoju.

10

W Małym Madrycie, mieście nieprzystosowanych, luksusowa prostytutka Zenda wróciła do domu, spędziwszy tę noc u przyjaciółki, oczywiście po części na



zabawie z mężczyznami. Nocleg poza domem był rzeczą jak najbardziej naturalną, często tak robiła, nikt więc nie mógł postawić znaku zapytania przy tak sformułowanym alibi.

Bała się wracać do domu. Ponieważ noc bardzo się przeciągnęła, spóźnił się też poranek i Zenda dopiero około południa była gotowa, by opuścić dom przyjaciółki. Czy powinna kogoś z sobą zabrać? Nie, to mogłoby wydawać się dziwne. Będzie musiała zebrać całą odwagę i zmobilizować cały swój talent aktorski, by przyjąć na siebie ten wstrząs.

Sąsiadka z domu po drugiej stronie ulicy była u siebie. Grabiła liście w ogrodzie. Doskonale, Zenda zadbała o to, by kobieta ją zobaczyła. Powitała ją wesołym „Dzień dobry, jaki miły ranek, to znaczy południe, wczorajszy wieczór troszkę mi się przeciągnął”. Chichotała przy tym przepraszająco. Tak, tak, sąsiadka widziała ją i kręciła głową.

Zenda weszła do swego domu. Udał jej się bardzo naturalny okrzyk przerażenia, zaraz wybiegła na ulicę, wołając histerycznie, że na podłodze w jej przedpokoju leży martwy Strażnik. Co robić? Ktoś go zabił, u niej w domu!

Wezwano innych Strażników. Zendzie pozwolono odpocząć chwilę u sąsiadki, nie miała sił wracać do domu, dopóki on tam był.

Żądała stanowczo, by go stamtąd usunąć, inaczej ona tego nie wytrzyma.

Wreszcie nadjechał ambulans i zabrał ciało, na szczęście.

A zaraz potem zjawił się wysoko postawiony Strażnik, żeby przesłuchać Zendę.

Liczyła się z tym i miała przygotowaną obronę.

A jak wiadomo, najlepszą formą obrony jest atak:

- Co to za jeden? Dlaczego wszedł do mojego domu? Nic z tego nie rozumiem!

Strażnik odpowiedział:

- Jego imię brzmi Sardor, roznosił po domach eliksir Madragów. Nie było cię, gdy się zjawił?

- Ach, nie, oczywiście, że nie. Byłam...

Nie, nie, uważaj, nie wolno ci mówić za dużo, Zendo! Nie mów, że siedziałaś w

tym barze, bo przecież nie wiesz nawet, kiedy on przyszedł!

- Nie było mnie w domu od wczorajszego popołudnia, nie mam więc pojęcia, co się stało.

Nagle twarz jej się rozjaśniła. Długo już ćwiczyła tę minę.

- Ach, chwileczkę! Spodziewałam się wczoraj pewnej wizyty, całkiem o tym zapomniałam. Jakaż ja jestem bezmyślna! Biedna dziewczyna, przyszła tu na próżno.

- Jaka dziewczyna?

Zenda beztrąsko machnęła ręką.

- Ach, to poprzednia lokatorka, mieszkała w tym domu przede mną. Była już raz wcześniej wczoraj, żeby coś stąd zabrać, zdaje się, że maszynę do szycia, a kiedy wyszła, zorientowałam się, że zostawiła kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła. Zadzwoiłam do jej matki, która przyrzekła, że córka przyjedzie po nią po południu, ale potem całkiem o tym zapomniałam. Okropna ze mnie gapa!

Doskonale, nie mogę wyjść na zanedo bystrą, zawsze dobrze jest przyznać się do słabości, to budzi zaufanie.

Strażnik popatrzył na nią i zawahał się przez moment.

- Jakiego koloru była ta kurtka?

- Ojej, tego nie pamiętam. Może niebieska, w dwóch różnych odcieniach? Tak, chyba tak.

- Jak nazywa się ta dziewczyna?

Zenda długo szukała w pamięci, choć przecież odpowiedź znała doskonale.

- Czy ci poprzedni właściciele nie noszą przypadkiem nazwiska Anderson? A na imię miała... jakoś tak niezwykle. Lilja, tak, właśnie tak.

Zadrżała.

Strażnik natychmiast to zauważył i zainteresował się powodem.

- Nie, to nic takiego.

- W sprawie takiej jak ta ważne są wszystkie szczegóły.

- No cóż, nie lubię źle mówić o ludziach, ale... A więc ta dziewczyna... Pamiętam,

że poczułam się nieswojo, kiedy okazała bardzo wielkie zainteresowanie moim diamentowym naszyjnikiem, który zdjęłam i później schowałam do szkatułki.

- W przedpokoju?

- Tak, przechowuję tam sporo wartościowych przedmiotów. My tutaj, w mieście, ufamy sobie nawzajem. Mieszkają tu przecież sami uczciwi ludzie.

Mina Strażnika wskazywała na to, że ma własne zdanie na temat miasta nieprzystosowanych. Wyjął z kieszeni jakiś naszyjnik.

- Czy to ten?

Zenda szeroko otworzyła oczy.

- Ależ tak, gdzie go znaleźliście? Przeszukiwaliście moje szuflady?

- Nie, nie, leżał zupełnie gdzie indziej. Czy możemy teraz prosić o bardzo dokładne zeznanie? Przedstawienie wszystkiego, co robiłaś wczoraj w dzień, potem w nocy aż do dzisiaj.

- Moje zeznanie? Moje? Nie myśli pan chyba...

- Ja nic nie myślę. Muszę po prostu dotrzeć do wszystkich faktów, jakie mają związek z tą sprawą.

Zenda popatrzyła na niego z kwaśną miną, ale odśpiewała jak z nut wyuczoną lekcję o tym, jak to siedziała w barze od wczesnego popołudnia, a potem wraz z przyjaciółką poszła do niej do domu i przebywała tam aż do teraz. Mnóstwo osób mogło to poświadczyć.

Strażnik pokiwał głową. Zendzie pobrano odciski palców i przykazano nie opuszczać miasta, na wypadek gdyby trzeba było dopytać się o jeszcze jakieś szczegóły.

Wreszcie Strażnik ku jej niezmiernej uldze opuścił dom. O ile Zenda dobrze zrozumiała, to zamierzał udać się do młodej Lilji. Doskonale, ta dziewczyna wyglądała na taką grzeczną hipokrytkę. Niech sobie trochę pocierpi.

A więc znaleźli naszyjnik w kieszeni kurtki dziewczyny. Fantastycznie! Wszystko odbywało się dokładnie według planów Zendy.

Strażnik odszukał dom Lilji w Sadze, zastał w nim jedynie matkę.

Niestety, nie wiedziała, czy Lilja po południu wybrała się do Małego Madrytu, ona sama bowiem całe popołudnie i wieczór spędziła poza domem. Była jednak przekonana, że córka poszła po kurtkę, Lilja należała do bardzo obowiązkowych.

A tak w ogóle, to o co chodzi, czy coś się stało?

Strażnik nie odpowiedział wprost, pragnął się tylko dowiedzieć, gdzie jest teraz Lilja. W odpowiedzi usłyszał, że została wezwana do pałacu księcia Marca bez bliższych informacji, w jakim celu.

Strażnik natomiast słyszał już o wszystkich, którzy się tam zgromadzili, i o przepięknych eleganckich gondolach, które ich stamtąd zabrały. Przypuszczano, że zostali zaproszeni do należącej do Obcych części królestwa.

A więc dziewczyna wybrała się razem z nimi. Rzeczywiście, słyszał już wcześniej jej imię. Kojarzył je z jednym ze Strażników z Elity, z Goramem.

Opuścił dom bardzo zamyślony.

Zenda natomiast uważała, że jeśli chodzi o jej osobę, sprawa została już definitywnie załatwiona.

Pozostawał zaledwie jeden szczegół, o którym nikt jej nie wspomniał, a który na pewno wyprowadziłby ją z głębokiego przekonania, że zdołała się wymigać.

11

Grupa poszukiwaczy przygód z Królestwa Światła oniemiała wpatrywała się w swych nadziemsko pięknych gospodarzy.

Wreszcie Móri odzyskał mowę:

- A więc wy jesteście Obcy! Lecz kimże wobec tego jest Faron i wszyscy ci, którzy nas tutaj powitali? Przecież oni ani trochę nie są do was podobni! O wiele mniej niż my.

Ten, który, jak się zorientowali, im przewodził, uśmiechnął się.

- Zaczekajcie, zaraz usłyszycie wyjaśnienie z ust samego Farona!

Za ich plecami otworzyły się drzwi i weszło przez nie więcej tych doskonałych istot. Jeden z nowo przybyłych z pięknym, szerokim uśmiechem podszedł do

Marca i zajął miejsce obok niego.

- Miło was znów zobaczyć.

Zapadła grobowa cisza.

- Faron? - przerwał ją wreszcie niedowierzający głos Marca.

- Owszem, to ja.

- Ratunku! - mruknęła Indra. - I to ciebie uderzyłam, tak że mało nie wpadłeś w błoto w tamtym jeziorze!

- Rzeczywiście, tyle że Freki był tak życzliwy, że mnie uratował. Dziękuję ci, Freki

- zwrócił się do wilka, który, o dziwo, nie był spowity w żaden ochronny fartuch.

- Wiesz, Faronie, nie mogę się na ciebie napatrzeć - wyznała Indra. - Przecież ty jesteś młody i taki przystojny, że brzuch boli. Ale... Rama i tak nie pobijesz, pod tym względem jestem stronnicza!

Kiedy wszyscy już przetrwali zaskoczenie, Marco poprosił:

- Czy możemy teraz usłyszeć wyjaśnienie?

- Oczywiście - odparł ten, który przez cały czas zabierał głos. - Moje imię brzmi Erion. Należę do najstarszych wśród tych, których nazywacie Obcymi. Na marginesie chciałbym wspomnieć, że na początku, dawno temu, właśnie takie miano nadaliśmy wam. - Popatrzył na nich i uśmiechnął się, zanim podjął: - Jak widzicie, jesteśmy podobni do was, ludzi, lecz nie całkiem. Ma to swoje wyjaśnienie, które dzisiaj poznacie. Ale przejdźmy najpierw do rozwiązania pierwszej zagadki. Przebywamy tutaj, w odosobnieniu, ponieważ możemy oddychać waszym powietrzem, lecz nasza skóra go nie znosi. Dlatego właśnie Faron i wszyscy inni muszą osłaniać ją czymś w rodzaju maski, gdy wychodzą poza te wysoko położone sale.

- A więc udział w ekspedycji był wielkim poświęceniem ze strony Farona? - spytał Marco. - I, jak przypuszczam, kolosalnym wysiłkiem.

- Jest w tym trochę racji - odparł Faron. - Śmiertelnie się bałem wówczas, gdy musieliśmy przepłynąć przez jezioro i Indra mnie uderzyła. Gdyby moja twarz znalazła się pod wodą, wszystko mogło się naprawdę źle skończyć.

- W dodatku pod taką wodą - mruknęła Indra. -Ogromnie mi przykro z tego powodu, Faronie, ale, do kroćset, strasznie jesteście przystojni!

Obcy wybuchnęli śmiechem. Goście chwilowo byli zbyt oszołomieni, by zadawać inteligentne pytania, a przecież mieli ich tak dużo. Otwierały się przed nimi perspektywy, od których aż kręciło się w głowie.

Wreszcie rozległ się łagodny głos Dolga:

- A ten wasz metaliczny głos?

Odpowiedział Erion. Można było wnioskować, że rangą jest mniej więcej równy Faronowi.

- Głos jest naturalny. Tak mówimy zawsze, struny głosowe nie potrzebują żadnej ochrony.

- Dziwne, że nic złego nie dzieje się z waszymi śluzówkami - zastanawiał się Uriel.

- Po prostu tak już jest. Nieodporna jest tylko skóra.

Indra, która zbyt często zabierała głos, powiedziała gniewnie:

- My nie czujemy się najlepiej i szczególnie interesująco w tych paskudnych opakowaniach. Jak długo musimy je nosić?

- Tutaj króluje nasze powietrze, oddychanie nim nie sprawia wam żadnych kłopotów, lecz nie wiemy, jak może ono działać na waszą skórę.

- A czy nie można tego sprawdzić?

- Owszem, sądziliśmy jednak, że macie bardziej istotne pytania.

- Tak, ale nie wszystko naraz. Zgadzam się być królikiem doświadczalnym.

- Skoro tego chcesz...

Erion nacisnął jakiś guzik i do sali weszły dwie biało ubrane kobiety. Szepnął im coś po cichu, skinęły głowami, wyszły i zaraz wróciły z niedużym stolikiem z aparatami.

Poprosiły, by Indra stanęła na środku audytorium, usłuchała natychmiast, niczego się nie bojąc. Może dlatego, że nie wiedziała, co ją czeka?

Kobiety zsunęły jej lewą rękawiczkę i podciągnęły rękaw fartucha. Baczenie przyglądały się jej dłoni, mierząc przy tym coś jakimś aparatem, przyłożonym do

skóry dziewczyny. W sali panowała cisza. Kata i Haram zasnęli, ale Gwiazdeczka bystrymi oczkami śledziła wszystko, co się dzieje, pomna surowego upomnienia Tsi, że ma być cicho.

- Au! - cicho jęknęła Indra. - Och, nie!

Siedzący najbliżej dostrzegli, jak jej skóra pokrywa się drobnymi pęcherzykami. Z prędkością błyskawicy Dolg i Marco przypadli do niej.

- Ja spróbuję pierwszy - oświadczył książę. - Jeśli mi się nie powiedzie, to wyjmiesz szafir.

- Dobrze - zgodził się Dolg.

Obcy ze zdumieniem patrzyli, jak Marco zdejmuje rękawiczkę i nakrywa dłonią pęcherze na ręce Indry. Przytrzymał ją tak przez kilka sekund, wreszcie odjął. Pęcherze zniknęły.

Po momencie pełnej zdumienia ciszy Faron rzeki spokojnie:

- Opowiadałem wam przecież, że książę Marco jest wyjątkowy. To osoba o wiele cenniejsza, niż jesteśmy w stanie zrozumieć.

Indra czym prędzej naciągnęła rękawiczkę, za jakiegokolwiek dalsze eksperymenty podziękowała.

Faron podjął:

- A kamienie Dolga również są niesamowite, lecz to przecież już wiecie.

Jego pobratymcy zgodnie pokiwali głowami.

- Ale teraz już wiemy, że wy nie znosicie naszego powietrza - powiedział Erion. - Tak samo jak my nie tolerujemy waszego.

- Szkoda - zmartwiła się Obca.

Nataniel zapragnął się wtrącić

- No, ale wszyscy ci Obcy, którzy mieszkają w zewnętrznej części, jak na przykład Strażnik Góry, oni tolerują to powietrze?

- Tak. Prędko się okazało, że dobrze jest, gdy łączymy się w pary z Lemuryjczykami. U dzieci zrodzonych z takich związków dominowały właściwości skóry Lemuryjczyków, tak więc potomkowie Obcych i Lemuryjczyków mogli bez

przeszkód poruszać się po Królestwie Światła.

- Ale związki Obcych z ludźmi nie są czymś zwyczajnym?

- Nie. Od czasu tamtych pierwszych prób podejmowane były również później, przeprowadzane są nawet teraz i chociaż wszystko układało się dobrze, to rzeczywiście nie są częste. Różnica wzrostu między innymi...

Wszyscy zwrócili uwagę na Marca, najwyraźniej zatopionego w myślach, lecz gdy Faron spytał, co go trapi, książę tylko pokręcił głową.

- Nie teraz, jeszcze nie. Chciałem spytać o zwierzęta. W zewnętrznej części waszego królestwa jest ich całe mnóstwo, przywodzi mi to na myśl coś w rodzaju arki Noego.

- Bardzo słuszna uwaga, książę Marco - uśmiechnął się Erion. - Musimy wam teraz powiedzieć całą prawdę, dlatego właśnie zostaliście tu wezwani.

Wśród gości zrobiło się bardzo cicho. Berengaria siedziała zasłuchana w tę wielką ciszę. Z zewnątrz nie docierał tu żaden dźwięk, znajdowali się w nierzeczywistym, jasnym i pięknym, lecz, ach, jakże odizolowanym świecie! Powiodła wzrokiem po osobliwych twarzach Obcych, którzy wydawali jej się niezwykle urodziwi, po minie Eleny jednak, nie kryjącej obrzydzenia, zorientowała się, że być może nie wszystkim ludziom muszą się oni podobać. Należeli do innej rasy, a nawet do innego gatunku, od ludzi różniło ich tak wiele i tak mało zarazem.

Berengarii podobali się bardzo.

Erion wziął głęboki oddech.

- Sytuacja w świecie na powierzchni Ziemi jest katastrofalna. Oczywiście jako pierwszy zaczął ulegać zagładzie świat zwierząt. Wygląda na to, że przeżyć zdoła jedynie część owadów oraz niektóre bakterie i wirusy, lecz niestety nie większe zwierzęta. Dlatego sprowadziliśmy ich tutaj tyle, ile tylko się dało.

- Och, dziękujemy wam za to - mruknęli Jori z Mirandą chórem.

Pozostali pokiwali głowami, w ten sposób dołączając się do podziękowań. Jaskari wstrzymał się z pytaniem, czy będzie mu wolno pracować wśród tych zwierząt, może spróbuje później, kiedy już będą wiedzieć więcej.



Mnóstwo rzeczy pozostawało jeszcze niewiadomą.

Na przykład, w jaki sposób doszło do tego, że drapieżniki zmieniły się w trawożerców, i jak to możliwe, by wszystkie gatunki żyły ze sobą w takiej przyjaźni.

Dolg zadał to pytanie.

- Hm. - W oczach Eriona zapaliły się iskierki. -Wydaje mi się, że na to pytanie powinien odpowiedzieć Faron.

Ich stary przyjaciel, który wcale nie był taki stary, rzekł z lekkim uśmiechem:

- Zauważyliście być może, że były tam kiedyś ogrodzenia? Rzeczywiście usunięto je stosunkowo niedawno, bo ja w Górach Czarnych nauczyłem się co nieco od mego przyjaciela Marca, a mianowicie, w jaki sposób zmienić podstawy życia ludzi i zwierząt.

- Widziałeś, co robiłem? - spytał zdumiony Marco.

- Widziałem, słyszałem i przeżywałem. Serdecznie dziękuję za tę naukę.

- Całkiem nieźle - wtrącił się Móri.

- Ale twierdzicie, że sytuacja w świecie na powierzchni Ziemi jest katastrofalna.

Powiedzcie nam na ten temat coś więcej.

- Dobrze - zgodził się Erion. - Pomimo iż ludziom w drugiej połowie dwudziestego stulecia otworzyły się oczy na to, co robią, musieli się zmagać z niezwykle potężnymi siłami...

- Chodziło o zyski, prawda? - domyślił się Villemann.

- Właśnie. Interesy ekonomiczne były niezwykle silne i w końcu to one zwyciężyły. Organizacjom pragnącym ratować środowisko, zwierzęta i przyrodę zakazywano działalności, kolejno jednej po drugiej. Każdy, kto zaczynał przemawiać w obronie Matki Ziemi, stawał się podejrzany. Otrzymywał duże grzywny, długie kary więzienia. Ci natomiast, którzy niszczyli środowisko, pozostawali wolni, oni bowiem służyli interesom poszczególnych narodów.

- Owszem, wiem - rzekł Marco cierpko. On przecież jako jeden z ostatnich opuścił świat na powierzchni Ziemi.

- Cóż, robiło się coraz gorzej - podjął Erion. - Próbowaliśmy działać stąd, lecz mieliśmy ograniczone możliwości. Wreszcie w większości krajów pozostała jedna jedyna siła: mafia.

- Fe! - wzdrygnęła się Ellen.

- Tak, lecz teraz nawet mafiosi przyznają, że zapędzili się w kozi róg.

- W jaki sposób to zrozumieli? - spytał Gabriel.

Erion skierował na niego piękne czarne oczy, Gabrielowi przyszły na myśl oczy żyrafy, piękniejszych chyba nie ma na świecie.

- Wprawdzie większość naukowców zamordowano, oni bowiem głosili nieprzyjemne prawdy dla mafii, kilku jednak zostało na naszej udręczonej Ziemi, a ci ostrzegają przed przesunięciem biegunów.

- Ojej! - westchnął Madrag Chor. - Czy to może być prawda?

- Niestety tak. Władze rządzące światem nie chciały słuchać geologów i innych naukowców, zaniedbali więc całą ekologię, całą meteorologię, ignorując też wszystkie sygnały wysyłane przez sam glob. W rezultacie lód na biegunie południowym topnieje, podczas gdy masa lodu na biegunie północnym wzrasta. Ziemia się przechyla, moi przyjaciele, przesuwa się oś ziemską.

- Czy kiedyś już tak się nie stało? - spytał Ram po chwili milczenia.

- Owszem, lecz nie w czasach ludzkości.

- A jaka jest przyczyna, że dzieje się to znów?

- Rabunkowa gospodarka zasobów naturalnych. Bezwzględność, ogromne zaniedbania.

- A jakie będą konsekwencje przesunięcia się biegunów?

- Katastrofalne dla wszystkich położonych niżej j obszarów. Zniknie Anglia, Dania, Holandia i Belgia z wyjątkiem Ardenów, a także Skania, Halland i wiele przybrzeżnych obszarów w Szwecji. Poza tym spore części Francji, no i inne narażone na podobne niebezpieczeństwo rejony świata. Niektóre części Ziemi natomiast się podniosą, całkowicie zmieni się klimat i w okolicach, w których ludzie przywykli do chodzenia boso i w lekkim ubraniu, będą teraz zamarzać na

śmierć. Cały świat stanie na głowie.

- Czy my możemy coś zrobić? - spytał Marco, gdy wszyscy usiłowali przetrwać tę straszną prawdę.

- Właśnie dlatego was tu teraz wezwaliśmy. Niedługo dla świata na powierzchni Ziemi wybijie ostatnia godzina.

Indra ośmieliła się spytać o to, o czym wszyscy myśleli:

- A co ze światem wewnętrznym? Wybaczcie, jeśli myślę zbyt egoistycznie.

Erion uśmiechnął się.

- Wszyscy jesteśmy egoistami w równym stopniu. Cóż, my również to odczuwamy. Dlatego właśnie musimy teraz zlikwidować mur otaczający Królestwo Światła. Nie możemy ryzykować, że rozpadnie się na kawałki i zabije wiele istot w naszej krainie.

Wtrącił się Faron:

- Ale mury wokół świata Obcych pozostaną. One są niezwykle trwałe, a my nie możemy wyjść na powietrze, jak już teraz wiecie. Zwierzęta w ten sposób również będą chronione.

Zapadła ciężka, nieprzyjemna chwila ciszy.

Wreszcie Marco spytał:

- A więc... co zrobimy?

- Właśnie o tym będziemy teraz rozmawiać. Liczyliśmy na was. Rozmawialiśmy już z elitą badaczy z Królestwa Światła i otrzymaliśmy od nich rady. Czeka was inne zadanie. Wszyscy jesteście wyjątkowi, lecz przede wszystkim stawiamy teraz na wybranych...

Zdumiało ich to określenie.

- W jakim sensie wybranych? - spytał Strażnik Kiro.

- Na tych, którzy niegdyś nimi byli. Nataniel został wyznaczony do ocalenia rodu Ludzi Lodu i świata od Tengela Złego. Oko Nocy do odnalezienia jasnej wody, podobnie jak niegdyś Shira. Zadaniem Dolga było odszukanie Świętego Słońca, które pozostało w świecie na powierzchni Ziemi, a także szafiru i farangila,

naszych najcenniejszych skarbów. No, a na koniec ta dwójka szlachetnego urodzenia, księżniczka Siska, którą jej wioska wybrała do przyniesienia tam światła, i księżę Marco.

- Ale ja nie byłem wybranym - zaprotestował.

- Ależ, oczywiście, byłeś - uśmiechnął się Erion spokojnie. - Twój ojciec wybrał cię na swego zastępcę na Ziemi.

- Nie wydaje mi się, bym należycie wywiązał się z tego zadania - mruknął Marco.

- Może nie uczyniłeś tego tak, jak on sobie tego życzył, i nie wróciłeś mu władzy, nikt jednak nie mógłby lepiej dbać i szanować swego dziedzictwa aniżeli ty, księżę Marco.

- Dziękuję za te słowa, a na dowód mej wdzięczności przedstawię wam myśl, jaka przyszła mi do głowy jakiś czas temu, lecz nie wypowiedziałem jej na głos.

Widzieliście, że moje dłonie uleczyły rany Indry...

Tym razem przerwał mu rozemocjonowany Misza:

- Ach, Marco potrafi o wiele więcej! Dał mi przecież ręce i nogi!

Marco kiwnął głową.

- Pomyślałem więc, że gdybyście nie mieli nic przeciwko temu, chętnie wzmocniłbym waszą odporność na szkodliwe działanie powietrza, tak abyście wy, Obcy, mogli swobodnie poruszać się w dowolnie wybranym miejscu na Ziemi, my zaś moglibyśmy zrzucić te upokarzające powłoki.

Erion wyprostował się.

- Czy on to potrafi, Faronie?

- Ani trochę by mnie to nie zdziwiło. Widziałem, jak dokonywał wprost niewiarygodnych rzeczy.

Wśród Obcych rozległo się stłumione westchnienie.

- Zatem uczynić to, księżę Marco - rzekł Erion uroczystym głosem. - Nie spodziewamy się żadnych cudów, lecz przynajmniej spróbuj!

- Z wielką chęcią.

- A więc dobrze! Sprowadźcie tu wszystkich Obcych! Wszystkich, również tych,

którzy stoją najwyżej!

12

Marco i Faron, czekając, rozmawiali. Berengaria siadła po drugiej stronie Marca.

Książę zaśmiał się nieco zażenowany:

- Ogromnie trudno się przyzwyczaić do tego, że nie jesteś dostojnym panem w średnim wieku o wielkim autorytecie, Faronie. Jesteś wszak równie młody jak my wszyscy.

- Pozory mylą - odrzekł Faron z uśmiechem. - Byłem świadkiem końca niejednego milenium.

- Co takiego? Czyżbyś miał dwa tysiące lat?

- Możliwe, gdyby liczyć wiek tak, jak to robią na Ziemi. Tu przecież stulecia mijają prędko, jak wiecie.

Berengaria zdawała sobie sprawę, że bezwstydnie się na niego gapi, lecz nie mogła się napatrzeć na tę fascynującą twarz.

Faron na pewno zauważył jej nieskrywany podziw.

- Wiem, że ty jesteś Berengaria - uśmiechnął się życzliwie. - Widziałem cię kilkakrotnie, chociaż nie brałaś udziału w ekspedycji w Góry Czarne.

- To brzmi trochę strasznie - Berengaria zrobiła teatralny grymas. - Czyżbyście pełnili funkcję Wielkiego Brata czuwającego nad nami, nad każdym naszym najdrobniejszym ruchem?

- Och, nie, nie, mamy swoje ekrany, możemy więc śledzić, co się dzieje w Królestwie Światła, lecz nigdy nie jesteśmy niedyskretni - zapewnił pośpiesznie Faron. - Takie postępowanie byłoby poniżej naszej godności.

Berengaria nie była całkiem zadowolona, lecz niestety nie mogła zadać następnego pytania, gdyż rozmowę zakłóciło im pewne drobne intermezzo. Kata się obudziła i dziewczynki przez chwilę szeptały coś między sobą. Nagle wybuchnęły głośnym, piskliwym chichotem.

- Lam, Lam! - zawołała rozbawiona Kata do Rama. - Wiazecka już mówi Lam!

- Wiem o tym, mała Kato - rzekł dobrodusznie Ram, wyrwany z rozmowy z

Erionem.

Misa na próżno starała się uciszyć córeczkę.

- Nie, nie Lam, ona umie mówić Lam - upierała się Kata. - Posłuchaj!

- Słucham - odparł cierpliwie Ram.

A Gwiazdeczka, upewniwszy się, czy na pewno wszyscy na nią patrzą, powiedziała powoli, z rozkoszą i bardzo wyraźnie:

- Rrrrram!

Doczekała się głośnych wyrazów uznania ze strony wszystkich zebranych i bardzo zadowolona z siebie dalej coś ćwierkała.

Ale Marco westchnął.

- A więc ten piękny czas wkrótce już się skończy. Wasze córki, Sisko i Miso, rozwijają się stanowczo za prędko. Już niedługo pójną do szkoły, a później wszystko potoczy się błyskawicznie. Jaka szkoda!

Miał w tym sporo racji.

- Ale rozmawialiśmy o wyprawie - przypomniał Faron.

Niestety do audytorium zaczęli już napływać Obcy, Marco więc przeprosił rozmówców i czym prędzej zszedł na dół.

- No właśnie, dlaczego mnie nie pozwolono wziąć udziału w ekspedycji? - spytała Berengaria urażonym tonem. - To była największa porażka w moim życiu.

Faron popatrzył na nią ze współczuciem.

- Rozumiem, ale mieliśmy swoje powody. Dziewczyna zerknęła na niego.

- To znaczy, że znałeś mnie już wtedy?

- Oczywiście. Bacznie przyglądamy się stąd wam wszystkim.

- No dobrze, ale dlaczego nie pozwolono mi pojechać?

Faron westchnął.

- Z całą pewnością świetnie wiesz, że za bardzo namieszałaś w chłopięcych sercach.

- Bzdury - mruknęła Berengaria. - Oko Nocy mnie rzucił, a Armas nie znosi mojego widoku.

- Być może byli jeszcze jacyś inni... Berengaria na moment oniemiała. Inni? Jaskari? Jori? Marco? Nie, nie mogło chodzić o Marca. Berengaria spróbowała przejrzeć w pamięci listę uczestników wyprawy, lecz wszystkich nie umiała sobie przypomnieć.

Nie mogła już dłużej o tym myśleć, bo nagle Obcy podnieśli się z miejsc, a goście automatycznie poszli za ich przykładem.

Do audytorium weszła wysoka para, towarzyszył jej niewielki orszak. Tu w istocie można było mówić o podeszłym wieku. Ci dwoje wprawdzie nie byli starcami, wyglądali jednak na jakieś pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat, a więc wyraźnie różnili się od innych mieszkańców Królestwa Światła. Skoro więc Faron ze swym młodzieńczym wyglądem przeżył już dwa tysiące ludzkich lat, to ileż mogli mieć oni?

Jasne było, że cieszą się ogromnym szacunkiem, powitano ich jak monarchów i zapewne właśnie nimi byli.

Omiotli salę wzrokiem, a potem zwrócili się bezpośrednio do Marca. Powitali go jak równego sobie.

- Szlachetny księżę, słyszeliśmy, że możesz wyzwolić nas z tego więzienia.

- Chciałbym przynajmniej spróbować.

- Niezwykle to sobie cenimy. Chwilowo jednak nam w niczym to nie przeszkadza, może zaczniesz więc od uwolnienia siebie i swoich przyjaciół z tych nietwarzowych kokonów?

- Całe szczęście - mruknęła Indra, a Berengaria najzupełniej się z nią zgadzała. Marco uśmiechnął się, powiedział „z całego serca”, a potem przystąpił do działania. Trwało to długo, przykładał ręce do każdego z grupy gości i szeptał kilka słów, a potem uleczony mógł wreszcie zdjąć z siebie obcisły strój.

Podczas gdy Marco zajęty był pracą, odezwała się Siska, która także cieszyła się szacunkiem Obcych.

- Czy wolno mi będzie zadać pytanie?

- Naturalnie, księżniczko - odparł Erion.

- Rozumiemy, dlaczego spotkał nas zaszczyt i zostaliśmy zaproszeni tutaj jako poszukiwacze przygód, ale jest tu też kilka osób, których obecności tak naprawdę nie możemy zrozumieć.

Erion pokiwał głową.

- Wiem, wiem, chodzi ci o tych troje dzieci.

- Oczywiście, a także o Miszę. No i o Elenę, która przygód nienawidzi. Wiemy natomiast, że Lilja jest niezwykle cennym nabytkiem dla naszej grupy.

- Owszem, to prawda.

Misza zaprotestował:

- Ja także chętnie zostałem jej członkiem, gdyby tylko było mi wolno.

- Och, nie, Misza - szepnęła Elena. - Tylko nie to!

Erion popatrzył na chłopca z powagą.

- Twój czas nadejdzie, Misza. Na razie musisz skupić się na tym, by twoje ciało stało się silne, mocne i dobrze wyćwiczone. Powinieneś nadrobić wiele lat. No cóż, zaprosiliśmy cię tutaj, aby nasz król i królowa na własne oczy mogli się przekonać, jakiego cudu dokonał książę Marco. Właściwie jesteś więc po to, by przetestować zdolności Marca, ale możesz mi wierzyć, Faron, Ram i Móri już cię polecili jako przyszłego członka tej grupy.

Misza rozjaśnił się, a wszyscy członkowie awanturniczej gromadki aż zaklaskali w ręce, słysząc taką konkluzję. Wszyscy poza Elena, dziewczynie oczy pociemniały z rozpaczy.

Było to tak wyraźne, że aż Erion powiedział:

- A co z tobą, Eleno? Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, że rezygnujesz ze wszystkich wyjazdów i uciążliwych podróży po to, by zostać w domu z Miszą i pomóc mu dogonić innych w tych dziedzinach, z których był zmuszony zrezygnować w dzieciństwie?

Owszem, mogła, a Misza także wyglądał na zadowolonego. Posłał jedynie pełne winy spojrzenie Berengarii.

- Jeśli zaś chodzi o dzieci - podjął Erion, śmiejąc się lekko - docierały do nas o



nich różne słuchy i chcieliśmy się im bliżej przyjrzeć. To czarujący malcy, cała trójka.

Miranda doskonale wiedziała, że Obcych interesują przede wszystkim dwie dziewczyneczki, a Harama zaproszono jedynie po to, by nie wyróżniać dzieci, ale w niczym jej to nie dotknęło. Chłopiec usłyszał tyle pięknych słów o sobie, zresztą Miranda wiedziała, że nie tylko jej matczyne oczy widzą, że chłopczyk jest niezwykły. Po prostu miał taką przytłaczająco miażdżącą konkurencję w osobach tych dwóch małych łobuziaczek.

Gwiazdeczka zresztą zasnęła teraz, a Kata, widząc to, wdrapała się na szerokie kolana taty Tama i ona także znów zapadła w drzemkę. Dla niejednego ucha była to niewątpliwie ulga.

Marco dotarł już do Berengarii i Faron pomógł mu zdjąć z niej strój. Dziewczyna zauważyła, że zamrugał mocno, kiedy grzywa ciemnych niesfornych włosów została uwolniona spod kaptura, lecz co myślał na ich temat, nie mogła się zorientować.

Podszedł do niej Jaskari.

- Cudownie znów poczuć swobodę - westchnął. - Czy wiesz, że z każdym dniem robisz się coraz piękniejsza, Berengario? Twoją urodę widać w pełni dopiero teraz, gdy dojrzałaś. No i mam nadzieję, że przestałaś już rosnąć, chyba nie zamierzasz być wyższa ode mnie?

- Raczej nie - odparła prędko.

Wiedziała, że w ostatnich latach mocno wystrzeżiła w górę, i bardzo ją to martwiło. Ostatnio jednak miała wrażenie, że to się jakby zatrzymało, na szczęście.

Podziękowała Jaskariemu za komplementy z pewnym roztargnieniem, bo myślami błądziła daleko.

A więc to z powodu Jaskariego musiała zostać w domu? Ale, nie, przecież Jaskari nie brał udziału w wyprawie w Góry Czarne. Może więc właśnie on chciał, żeby została?

Nie, nie mogła w tym znaleźć żadnego sensu. Obróciła się, żeby spytać Farona,

kogo miał na myśli, wspominając zamieszanie w chłopięcych sercach, lecz on dołączył już do trzonu grupy.

Berengaria czuła się porzucona. Doskonale wiedziała, że jest zbyt drażliwa i że trudno jej zachować wesołą minę, gdy ktoś odwraca się do niej plecami. Wsunęła więc rękę pod pachę Jaskariemu i razem z nim podeszła bliżej centrum wydarzeń. Usiedli na wolnych miejscach na dole audytorium, dość daleko od Farona, który najwidoczniej nie chciał z nimi więcej rozmawiać. Pewnie znów nagadałam głupstw, pomyślała Berengaria, nie pamiętając ani słowa z tego, co mówiła. Marco kontynuował swoje zabiegi przy gościach z Królestwa Światła. Duchami się nie zajmował, wiedział, że one i tak sobie poradzą. Jedynie Sol potrzebowała pomocy.

Erion oznajmił:

- Ponieważ ta sala doskonale nadaje się do prowadzenia rozmów, zostaniemy tutaj i będziemy kontynuować nasze wyjaśnienia i dyskusje o dalszych planach. Niedługo przyniosą nam coś do jedzenia, mam nadzieję, że nie odmówicie. Mieli wielką ochotę coś przekąsić. Marco skończył już zabiegi i wraz z przyjaciółmi zrobił sobie przerwę na posiłek. Każdy fotel wyposażony był w mały stolik, wysuwany z jednej poręczy. Poczęstunek smakował wyśmienicie i Berengaria zaraz odzyskała swą zwykłą ochotę do życia. Jakież to zabawne, myślała, i jakie emocjonujące!

Radość życia sprawiła, że przestała się pilnować, i wykrzyknęła jasnym głosem:

- A teraz chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej! Chociaż nikt nigdy nie powiedział tego otwarcie, to przecież nie jesteśmy na tyle głupi, byśmy nie rozumieli, że przybyliście z jakiegoś miejsca poza Ziemią. Sprawcie więc nam tę radość i opowiedzcie wreszcie o sobie! Z jakiego systemu słonecznego pochodzicie?

Zapadła kompletna cisza. Obcy patrzyli po sobie, a Jaskari gniewnie szturchnął Berengarię w bok.

Pojęła, że chyba zachowała się zanadto bezpośrednio.

Ten mój niewyparzony język, pomyślała. Doprawdy, tym razem dopiero się popisałam!

Lecz jego wysokość we własnej osobie wstał i popatrzył na nią z wielką życzliwością.

Cała sala wstrzymała oddech.

- Myśleliśmy już, że nigdy o to nie spytacie -uśmiechnął się. - Cóż, moja kochana, mylisz się. Nie przybyliśmy wcale z żadnego obcego systemu słonecznego, na to jesteśmy zbyt podobni do was. Erionie, czy zechcesz objaśnić gościom nasze pochodzenie?

Nie rozległ się żaden dźwięk, gdy Erion wstawał.

13

Pełną napięcia ciszę przerwał Nataniel:

- Chwileczkę! Chcecie powiedzieć, że pochodzicie z jakiejś innej planety w naszym systemie słonecznym? Na przykład z Marsa? Wybaczcie, ale w to nie uwierzę. To niemożliwe, wszyscy dobrze o tym wiemy. Ale może... może pochodzicie z naszego globu? Lecz w takim razie skąd?

- Spokojnie - poprosił Erion. - Wyjaśnienie usłyszycie już zaraz.

Nataniel siadł, wciąż niezwykle wzburzony.

Erion zaczął mówić:

- Nie, nie pochodzimy z tej planety, z Tellusa, ani też nie z Marsa czy Jowisza, czy z żadnej innej znanej planety. Lecz jest jeszcze jedna, o jej istnieniu ludzkość nic nie wie.

Wtrącił się Gabriel:

- W takim razie jest umieszczona na tak odległych obrzeżach systemu słonecznego, że niemożliwe, aby istniało na niej życie.

- Nie jest wcale położona za Plutonem, jeśli to masz na myśli. Nasza planeta znajduje się w tej samej odległości od Słońca co ta, ale wciąż pozostaje nie odkryta.

Inteligentne i mniej inteligentne umysły zaczęły myśleć, aż trzeszczało.

- Blisko nas? Dlaczego więc jej nie widzimy? - pytał Móri.
- Dlatego, że ona krąży po tej samej orbicie co Ziemia. Tyle że po drugiej stronie Słońca.
- A więc dlatego jeszcze jej nie odkryto? Słońce zawsze przesłania na nią widok?
- Zawsze.

Po chwili przerwy odezwał się Nataniel:

- Ależ ja już kiedyś o tym słyszałem! Czytałem w dzieciństwie historię science fiction o bliźniaczej planecie Ziemi.

- Zapewne masz rację, ktoś widocznie wiedział o niej, a raczej domyślił się jej istnienia.

- A więc to prawda? - dopytywała się Sassa.

- Taka sama jak to, że Królestwo Światła istnieje i że tu teraz siedzimy.

Elena sprawiała wrażenie, że w to również powątpiewa.

Marco pokiwał głową.

- Rozumiemy już teraz, w jaki sposób się tu dostaliście. Dzieląca obie planety odległość powinna być możliwa do przebycia dla inteligentnej rasy. Ale dlaczego jesteście tutaj?

- Dlatego, że przed tysiącami lat w naszą planetę uderzyła kometa. Częściowo ją zniszczyła, do tego stopnia, że musieliśmy szukać innej planety nadającej się do zamieszkania. Owszem, byliśmy na Marsie, Jowiszu i na ich księżycach, dotarliśmy w pobliże Wenus, lecz przebywanie na niej było śmiertelnie niebezpieczne. Potem zaś, przypadkiem, odkryliśmy ten glob. Wiedzieliśmy o was równie mało jak wy o nas.

- To znaczy, że na waszej planecie nikt już nie mieszka? A tak w ogóle, to jak ona się nazywa?

Erion roześmiał się.

- Podobnie jak wy nazywacie swoją planetę Ziemią, tak my nazwaliśmy naszą.

Rzadko chyba nazywacie swój glob Tellusem.

- Chyba nawet nie wszyscy ludzie słyszeli tę nazwę - przyznał Marco.

- No właśnie. Skoro więc mieszkaliśmy tutaj, musieliśmy nadać naszej planecie jakąś inną nazwę. Nigdy jednak nic z tego nie wyszło. Pierwsi, którzy tu przybyli, mówili o tamtej planecie po prostu „w domu” i tak powstała nazwa, właśnie „W Domu”.

- A więc tak ona brzmi? W Domu?

- No, nie całkiem. Teraz planeta nazywa się po prostu Dom.

- Dość zabawnie, ale i ładnie.

Erion znów obrócił się do Marca.

- Ty miałeś jeszcze jakieś pytanie. Czy nikt już tam nie mieszka? Owszem. Jak już mówiłem, nasza planeta została w części zniszczona. Przez wszystkie te lata staraliśmy się ją odbudować, naprawić zniszczone tereny, lecz to niestety trwa. Oczywiście, pomyślała Berengaria, dziesiątki tysięcy lat.

Ciekawa była, czy Obcy, którzy siedzieli tu teraz razem z nimi, przybyli na Ziemię już wtedy. Wkrótce uzyskała odpowiedź.

- Zaczekajcie chwilę, pozwólcie, że przytoczę pewne fakty z kronik czarnoksiężnika - poprosił Móri. - Wy, wysoko rozwinięta cywilizacja, przybyliście tutaj, na Ziemię, na której życie dopiero się rozwijało. Zastaliście wiele gatunków zwierząt, również naczelne, które przekształcały się w ludzi, oczywiście bardzo prymitywnych. Wybraliście najbardziej inteligentne wśród nich plemię i w ten sposób pojawili się Lemuryjczycy.

- Wszystko się zgadza - przyznał Erion.

- A potem? Co się stało później?

- Stwierdziliśmy, że nie możemy żyć na tej Ziemi, nasza skóra nie tolerowała waszej atmosfery. Było to straszne rozczarowanie, no bo gdzie mieliśmy się podziąć? Niemal całkiem już się poddaliśmy, gdy ktoś przypadkiem odkrył zejście do wnętrza Ziemi. I tu właśnie mogliśmy zbudować sobie schronienie.

- Wielu z was musiało za tę budowę zapłacić strasznymi zniszczeniami skóry?

- Rzeczywiście tak było, prawdę powiedziawszy, wszyscy ci, którzy przybyli tu jako pierwsi, już nie żyją, obrażenia okazały się zbyt dotkliwe.

Tak więc wszystko już wiem, pomyślała Berengaria. Ci obecni tutaj nie są aż tacy starzy.

- Wy więc jesteście ich potomkami?

- Tak. Oni wzniesli dla nas tę budowlę. Jesteśmy im za to do zgonnie wdzięczni.

Wiele osób pragnęło zadać pytanie. Pierwsza odezwała się Indra:

- Zaczynam rozumieć, co robicie z przynajmniej niektórymi nieprzyjemnymi osobnikami. Takimi na przykład jak Talornin i Lenore.

- Masz rację - przyznał cierpko Erion. - Nie byli szczególnie zadowoleni z przeniesienia na drugą planetę.

- Na Dom. Jaki los ich tam czekał?

Erion chwilę zwlekał z odpowiedzią, pytająco popatrzył na swego króla, władca skinął głową.

- No cóż, może nazwiemy Dom planetą pracy - rzekł Erion. - Jak już mówiłem, staramy się ją odbudować. Mieliśmy niezmiernie wielkie zasoby, wiele z nich jednak sprowadziliśmy tutaj, gdy znaleźliśmy to miejsce schronienia. Przebywanie tam jest więc bardzo trudne. Na pewno nie odpowiada Lenore i temu jej dekadentkiemu stylowi życia.

Lilja nagle coś sobie uzmysłowiła. Obróciła się w tył i posłała przerażone spojrzenie Goramowi.

Strażnik zaś albo dostrzegł jej prędki ruch, albo też stał i patrzył na nią, w każdym razie ich spojrzenia się spotkały. Przecząco pokręcił głową.

No, w każdym razie nie tam się wybierał, pomyślała dziewczyna z ulgą.

Przynajmniej nie aż tak daleko.

- Chcecie powiedzieć, że mieszkanie tu, na Ziemi, to znaczy w Ziemi, jest dla was przywilejem? - spytała Sol. Siedziała oczywiście razem z Kirem, w roli żony czuła się doskonale. Wydawała się też o wiele spokojniejsza i szczęśliwsza.

- Oczywiście, że to przywilej - odparł Erion. - Lecz tylko niewielu z nas mieszka tu na stałe, większość musi jednak zrobić swoje na naszej ojczystej planecie. Ale wszyscy Obcy przebywali tu przez długi czas, również ci, których już tu nie ma.

- Czy ty zakończyłeś już swoją służbę, Faronie? - spytała Indra.
- Tak, skończyłem. Lecz kiedy nasza planeta stanie się równie przyjemna jak ta, być może tam wrócę.
- Przyjemna jak ta, mówisz? - rzekł Ram zamyślony. - Lecz jeśli nasza Ziemia zostanie zniszczona...? Istnieje przecież takie niebezpieczeństwo, o ile dobrze rozumiem.
- Cóż, wtedy będziemy musieli inaczej na to spojrzeć.  
Villemanna ogarnął zapal.
- A czy w takim razie nie byłoby możliwe przeniesienie mieszkańców Ziemi na Dom?
- Rozważaliśmy już ten pomysł - uśmiechnął się Erion.  
Na twarzach wszystkich pozostałych Obcych pojawiły się uśmiechy.  
Jori natychmiast zadał pytanie:
- Ale w jaki sposób się tam dostaniemy? Nie, nie chodzi mi o ludzi żyjących na powierzchni Ziemi, rozumiem, że możliwe jest dotarcie do tej drugiej planety statkiem kosmicznym, gdybyśmy poruszali się w stronę przeciwną do toru Ziemi, ale my... w jaki sposób się wydostaniemy stąd? Musicie przecież mieć jakieś połączenie z tym waszym Domem. W jaki sposób odbywa się start? I skąd?
- Ja wiem! - zawołała z zapalem Berengaria i wszyscy Obcy popatrzyli na nią. - Byłam razem z babcią Theresa i Tellem na powierzchni Ziemi, wydostaliśmy się na jezioro w Austrii. No tak, ty też tam byłaś, Sol.
- Dawna czarownica skinęła głową.
- Owszem, to prawda.
- Ale Erion odparł:
- Nie, to była tylko jedna z wielu dróg na powierzchnię Ziemi. Nasza wielka baza startowa wcale nie leży tam.
- Zapadła chwila milczenia.
- Czy możemy ją zobaczyć? - spytał Gondagil.
- Za jakiś czas. Jeszcze nie teraz, nie dzisiaj.

- Ale gdzie ona ma wylot na Ziemi? - dociekała Indra.

Ona wszak знаła zewnętrzny świat lepiej aniżeli wielu tu obecnych.

- Przy jednym z biegunów. Nie powiem ci, przy którym.

Ale Indra myślała swoje. Należąca do Obcych część Królestwa Światła położona była na północy. Biegun północny nazywano lodowatym oceanem otoczonym lądem, południowy natomiast lądem otoczonym lodowatym oceanem.

Łatwo było się domyślić, gdzie mają miejsce starty.

Sol zadała inne, również bardzo istotne pytanie:

- Dlaczego akurat Farona wybrano na naszego towarzysza podczas wyprawy w Góry Czarne?

- Ponieważ jedynie on jest wśród nas kawalerem - uśmiechnął się Erion. - Nie ma rodziny, która bolałaby nad jego stratą, gdyby coś złego go spotkało. Teraz jednak istnieje niebezpieczeństwo, że zły los czeka całą Ziemię.

Misza wykrzyknął porywczo:

- Nie chcę, żeby Ziemia uległa zagładzie właśnie teraz! Przecież ja dopiero zaczynam żyć! Nie chcę umierać!

- Ja też nie! - wykrzyknęła Berengaria tak samo z głębi serca. - Mój czas dopiero się zaczyna. Za mocno kocham życie, żeby chcieć tak prędko umrzeć, to po prostu niemożliwe!

Nikt nie próbował uciszyć ich przerażonych okrzyków.

Erion wyprostował się.

- Teraz, książę Marco, jeśli skończyłeś już zabiegi wśród swoich przyjaciół, spróbuj zająć się nami. Może uda ci się umożliwić nam swobodne poruszanie się po Królestwie Światła i po zewnętrznymi światłami? W sąsiedniej sali czekają liczne gromady, przede wszystkim nasze dzieci i młodzież.

Marco uśmiechnął się życzliwie.

- Uczynię, co w mojej mocy, ale... - zawahał się. - Czy na powierzchni Ziemi będziecie bezpieczni?

- Masz rację. Ludzie, zwłaszcza wojskowi, lubią traktować nas jak wrogów.



Rozpacz nas ogarnia za każdym razem, gdy uruchamia się całą maszynę wojenną, jak tylko podejmujemy próby nawiązania kontaktu. Ach, gdybyż oficerowie tak bardzo nie lubili strzelać i wyzbyli się swych neurotycznych podejrzeń! Ich zachowanie sprawia, że zawsze musimy się tam poruszać z największą ostrożnością.

- Ale wy możecie podbić Ziemię - odezwała się dość agresywnie Elena.

- Oczywiście, że możemy. Dlaczego jednak mielibyśmy to robić? Mamy przyjazne zamiary, dlatego właśnie uczestniczyliśmy również w przygotowaniach tego eliksiru, który odmieni ludzkie umysły i nastawi je życzliwiej do świata.

Ale dziewczyna się nie poddawała.

- I ludzie staną się dostatecznie głupi, by się wam poddać?

- Ależ, Eleno! - upomniał ją Móri. - Babci Theresie ani trochę by się to nie spodobało.

Elena zrozumiała, że posunęła się za daleko, ale to było takie trudne, czuła się osamotniona. Wszyscy tutaj mówili jakby innym językiem niż ona.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - To była jedynie hipoteza.

- Mam nadzieję - cierpko powiedział Móri. Był odpowiedzialny za obecnych tu członków rodziny czarnoksiężnika, wśród nich za Elenę.

Rzeczywiście, Berengaria miała rację: Elena była jak uczennica, która trafiła do niewłaściwej klasy. Myślała jak większość ludzi i zupełnie inaczej niż jej przyjaciele.

Teraz jednak również Berengaria wstydziła się za swoją kuzynkę, uważała, że Obcy, bardzo mili, nie zasłużyli na taką podejrzliwość.

Przyglądała się im siedzącym albo stojącym na dole pośrodku audytorium i czuła, jak ogarnia ją wielki spokój.

Pozwoliła sobie na chwilę egoizmu. Bez względu na to, co stanie się z Ziemią, ona miała potężnych sprzymierzeńców. Od dawna czuła się bezpieczna, miała wszak Marca, Móriego, Dolga, Strażników i wszystkie duchy, lecz teraz dołączyli do nich jeszcze Obcy.

To przyjemne uczucie i jakież emocjonujące!

Czuła, że jest świetnie uzbrojona, by stawić czoło niepokojącej przyszłości.

Nagle w jednym rzędzie zapanowało dziwne poruszenie, wzburzone głosy

Madragów mieszały się z pokrzykiwaniem Mirandy, Gondagila, Tsi i Siski.

Okazało się, że Kata i Gwiazdeczka znalazły należącą do Kira pelerynę Strażnika,

przewieszoną przez oparcie krzesła, i ubrały w nią małego Harama. Zawiązały mu

ją pod brodą tak, że wyglądał jak stara babcia, a na dodatek z dobrego serca

próbowały go zmusić do wypicia sherry z kieliszka Gondagila.

Nie mogły pojąć, dlaczego dorośli tak krzyczą.

## CZĘŚĆ DRUGA

### MURY OPADAJĄ

14

Z powrotem w domu.

Każdy otrzymał grubą kopertę zawierającą instrukcje i wyjaśnienia na temat zadania, jakie mu przydzielono. Tak bowiem, jak powiedział Erion, omawianie wszystkich punktów dotyczących każdej poszczególnej osoby na ogólnej sali, w audytorium, przeciągnęłoby się na wiele dni. Wybrani mieli zatem dokładnie przejrzeć wszystkie instrukcje, a gdyby znaleźli w nich coś niejasnego, powinni zwrócić się do Farona lub bezpośrednio do Eriona, który wyruszył wraz z nimi do Królestwa Światła po tym, jak Marco sprawił, że skóra Obcych mogła już bezpiecznie stykać się z powietrzem.

W domu Indra długo obracała w palcach kopertę, zanim wreszcie ośmieliła się ją otworzyć.

- Słyszałeś, co mówili Obcy? Podobno mają rozdzielić naszą grupę. Całkowicie.

Wyznaczono nam tak różne zadania, że być może już nigdy się nie zobaczymy.

- W każdym razie dużo czasu może upłynąć do powtórnego spotkania - przyznał Ram. - Ale ty i ja będziemy pracować razem, taki jest wymóg.

- Na nic innego bym się nie zgodziła. Ale już się rozproszyliśmy. Cień został u swych krewniaków, a Jaskariemu ku jego wielkiej radości pozwolono natychmiast rozpocząć pracę przy zwierzętach.

- Tylko na jakiś czas - przypomniał jej Ram. - Świat na powierzchni Ziemi również go potrzebuje.

- Jaskari jest przydatny do bardzo wielu rzeczy - przyznała Indra i poprawiła poduszki na sofie, żeby wygodnie im się siedziało. Sprzątanie i układanie co do milimetra nie obchodziło jej ani trochę. Najważniejsza była wygodą. - Elena i Misza zostaną tu, w Królestwie Światła, a i Madragowie nie powinni się pokazywać w świecie na powierzchni Ziemi. Na pewno więc się rozdzielimy. Ale co takiego przytrafiło się Lilji? Nie pozwolili jej wrócić do domu. Przyszli po nią

dwaj Strażnicy.

- Nie wiem, Indro, spróbuję się dowiedzieć. Czy otworzymy teraz nasze koperty? Zrobili tak. Cisza zapadła w jasnym, pięknym salonie, który oboje tak bardzo lubili. Był to najlepszy okres w życiu Indry. Rama również, zapewniał ją o tym wielokrotnie.

- Wyruszamy na powierzchnię Ziemi - powiedziała Indra bez tchu. - Mam cię wspomagać w pracy, w próbach zaprowadzenia ponownego ładu na Ziemi i zapewnieniu ludziom godnego życia.

- Tak. Całe szczęście, że ty i ja będziemy razem.

- To rozsądnie pomyślane ze strony Obcych, ale strasznie będę za wszystkimi tęskniła.

- Ja także - przyznał Ram. - Widzę, że Obcy wysłali już grupę badaczy, ludzi, którzy podejmą próby zapobieżenia katastrofom geologicznym. Obawiam się jednak, że jest już na to za późno.

- Czy u ciebie jest napisane coś konkretnego o naszej pracy? Na czym ma ona polegać?

- Jeszcze nie zdążyłem wszystkiego przeczytać.

- Och, pomyśl tylko, Ramie, z powrotem na powierzchnię Ziemi! Po tylu, tylu latach! Cała aż się trzęsę!

Rzeczywiście, Lilję zabrano do głównej kwatery Strażników. Wszystko potoczyło się tak prędko, że nie miała nawet czasu na to, by znów pożegnać się z Goramem. Słyszała jednak, że wybierał się prosto do stacji, z której miał wyruszyć. Bez względu na to, jaki był cel jego podróży.

Kiro z Tellem rozmawiali między sobą, że oto miał teraz ostatnią szansę, by wystartować. Lilja nastawiała uszu, lecz nie dowiedziała się tego, co interesowało ją najbardziej: dokąd miał wyjechać. Tell mówił tylko, że później nie wyruszy tam już żadna gondola.

Co znaczy owo „tam”? Gdzie to jest?

Wkrótce jednak musiała się skoncentrować na swych własnych kłopotach.

Ileż pytań zadawali jej Strażnicy w głównej kwaterze!

- Czy byłaś u Zendy Brown poprzedniego dnia?

- Owszem, byłam.

- A kiedy?

- Wczesnym popołudniem.

- Raz czy dwa razy?

- Tylko raz, powinnam tam pójść po raz drugi, po kurtkę, którą zostawiłam, ale nic z tego nie wyszło. Prawdę powiedziawszy, całkiem o niej zapomniałam.

- Chyba sporo zapominasz?

- Rzeczywiście, szczególnie w ostatnich dniach, ale tyle było...

Nie myśl teraz o Goramie, zachowaj przytomność umysłu, oni na pewno nie lubią łąz.

Ci Strażnicy nie byli Lemuryjczykami, lecz zwykłymi ludźmi.

- Nie byłaś więc tam wieczorem?

- Nie, siedziałam w domu.

Strażnik drażzył dalej:

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Nie, moja matka wyszła.

- Co robiłaś? Oglądałaś może jakiś program w telewizji?

- Nie... nie robiłam nic szczególnego. No, owszem, przesadziłam krzew róży.

- Czy widział cię ktoś z sąsiadów? Może na przykład z okna?

- To było w ogrodzie na tyłach, tam w pobliżu nie ma żadnego budynku.

- O ile dobrze zrozumiałem, to twoja ciotka, bracia i siostra cioteczna mieszkają w tym samym domu. Czy oni nie mogli...?

- Silas i jego rodzina? Wyjechali.

Strażnik westchnął. Czy ta dziewczyna musi wszystko tak strasznie sobie utrudniać?

Zenda Brown również była w kwaterze głównej, wezwano ją na długie

przesłuchanie, lecz siedziała spokojna, gdyż nikt w barze nie podważył jej alibi. Owszem, wszyscy widzieli, że Zenda była tam poprzedniego wieczoru, od samego początku. Nie, żadnej konkretnej godziny nikt nie mógł podać, ale siedziała bardzo, bardzo długo. I wyszła dopiero jak zamykali, razem z przyjaciółką i paroma dżentelmenami.

Określenie „dżentelmeni” Strażnicy przyjęli ze szczyptą sceptycyzmu.

W każdym razie przyjaciółka mogła potwierdzić, że Zenda spędziła całą noc w jej mieszkaniu.

Przypadkiem Lilja i Zenda spotkały się w korytarzu głównej kwatery Strażników.

- To ona! - zawołała Zenda dramatycznie już z daleka, polakierowanym na czerwono paznokciem wskazując na Lilję gestem oskarżenia. - Dobrze widziałam, jak łakomie spoglądała na moje diamenty! I ona mieszkała w tym domu, na pewno miała klucz. Jakże by inaczej mogła dostać się do środka? Oprócz mnie klucz ma jedynie ona!

Strażnicy już wypytali Lilję o klucz, dziewczyna naiwnie pokazała aparacik otwierający drzwi do jej dawnego domu. Po prostu zapomniała go wyrzucić. No cóż, znów o czymś zapomniała.

Zenda triumfalnie pokiwała głową, nie zdając sobie sprawy z tego, że szczerowość Lilji tak naprawdę przemawia na korzyść dziewczyny. Gdyby w istocie była winna, najprawdopodobniej po wszystkim wyrzuciłaby klucz, no i zadbała o to, by zapewnić sobie porządne alibi na ten wieczór.

Zenda wszystko starannie obmyśliła i teraz postanowiła „pomóc” Strażnikom.

- Posłuchajcie, jak to było. Przyszła do mojego domu po kurtkę, a wcześniej tego dnia widziała, jak odkładam diamenty do szuflady. Bierze więc naszyjnik., ale drzwi zostawiła otwarte, w tej samej chwili pojawia się Strażnik Widzi, jak dziewczyna wsuwa naszyjnik do kieszeni kurtki, wrywa jej więc okrycie z ręki, a Lilja łapie najbliższy ciężki przedmiot i uderza w panice.

Podobną sytuację Strażnicy wyobrazili sobie już dużo wcześniej, ale ta panika...

Jak to możliwe, by ogarnięta paniką dziewczyna celowo została dłużej na miejscu

zbrodni i starannie wytarła figurkę?

Poza tym wiedzieli doskonale, że diamenty w naszyjniku nie są prawdziwe.

Kobieta starała się, by ta kradzież wyglądała na o wiele poważniejsze przestępstwo.

- Najważniejszy jest moment popełnienia zbrodni - przypomniała Zenda stanowczym tonem. - Jakiś lekarz chyba badał ofiarę? Musicie znać dokładny czas!

Mogła to spokojnie powiedzieć, nikt przecież nie widział, jak wychodziła tylnym wyjściem, przemykając się do położonego w pobliżu baru. Siadła tam w wydzielonej zamkniętej części i gdy podeszła kelnerka, umyślnie poskarżyła się, że tak długo musiała czekać. A ponieważ powtarzała to wielokrotnie, wszyscy sądzili, że spędziła tam cały dzień.

- Musicie znać dokładny czas popełnienia tej zbrodni - powtórzyła.

- Niestety go nie znamy - krótko odparł Strażnik.

- Ale jak to możliwe?

- Są pewne powody.

- Hm - chrząknęła Zenda dwuznacznie.

Lilja musiała pozostać w areszcie przynajmniej do czasu, dopóki Strażnicy nie dowiedzą się czegoś więcej. Owszem, wszyscy okazywali jej życzliwość i dobrze ją traktowali, z uwagą słuchając zapewnień, że nigdy w życiu nikogo by nie zabiła i na pewno nie jest złodziejką.

To, że traktowano ją z takim szacunkiem, miało zapewne związek z jej osobowością, lecz również z faktem, iż była pod opieką najznamienitszego klanu w całym Królestwie i wraz z nimi dostąpiła zaszczytu wejścia do świata Obcych. Ale drzwi do domu Zendy były przecież zamknięte, a Lilja miała do nich klucz. No i poza wszystkim Sardor leżał na jej kurtce. Były to dwie prawdy, których nie dało się nie zauważyć. Lilja gorąco prosiła, by przynajmniej nie powiadamił o niczym matki. Strażnicy obiecali, że tego nie zrobią.

Siedziała więc zamknięta. Na razie przestali ją męczyć. Mieli jednak dostateczne

podstawy, by sądzić, że przestępstwo zostanie wyjaśnione.

Zenda tymczasem uśmiechała się zadowolona z siebie. Wszystko poszło dokładnie tak, jak sobie tego życzyła.

Goram kolejny raz był gotów do opuszczenia Królestwa Światła.

Wokół niego huczały ciężkie maszyny. Cała podłoga w wielkiej hali się trzęsła.

- Naprawdę tego chcesz? - spytał go zmartwiony kolega Strażnik, przekrzykując hałas.

- Muszę - krótko odparł Goram.

- Wiem, wiem, święta przysięga Strażników z Elity. Ale mnie się to wydaje takie niepotrzebne.

Stali w bazie, z której startowały specjalnie uformowane na kształt rury gondole, podobne do tej, jaką księżna Theresa wraz z towarzyszami wyruszyła na powierzchnię Ziemi. Nie było to jednak to samo miejsce, lecz o wiele większa baza, o wiele bardziej przerażająca. Czuli, jak cała hala wibruje.

- To moja ostatnia szansa - stwierdził Goram. -A tu zostać nie mogę.

- Więcej tu nie wrócisz, wiesz chyba. To ostateczne.

- Wiem, ale w ten sposób najlepiej będę służył Świętemu Słońcu. Daj mi teraz płomień.

Kolega zwlekał.

- Wiem, że on cię dobrze poprowadzi, ale... Tak wspaniale nam tu było, Goramie.

Dlaczego?

Strażnik dobrze wiedział, co łączy Gorama z Lilją. Nie potrafił pojąć, dlaczego ich związek miał być zakazany. On sam był szczęśliwie żonaty i uważał tę historię dwojga młodych za wielce tragiczną. I kompletnie niepotrzebną. Czemu służyć miała ta przysięga?

On jednak nie był Strażnikiem z Elity. Wiedział jedynie, że to niezwykle wymagające powołanie i że Strażnicy z tej grupy często podejmują się niewykonalnych zadań.



Z wahaniem zaciskał rękę na pojemniku ze świętym płomieniem.

Czterej Strażnicy, odpowiedzialni za wystrzelenie pojazdu, stali, gawędząc.

Prawdę powiedziawszy, bardziej krzyczeli, niż rozmawiali, bo hałas panujący w tym miejscu był doprawdy straszny, a echo jeszcze go wzmagало.

- Okropna ta historia z Sardorem - mówił jeden.

- Co właściwie takiego go spotkało? - spytał inny. - Ktoś go napadł w mieście nieprzystosowanych?

- Tak, mają podejrzaną. Dziewczynę! Ma, zdaje się, na imię Lilja.

Goram nastawił uszu.

- Co z tą dziewczyną? - zawołał ostro.

Strażnik, który cokolwiek wiedział, wyjaśnił. Ale Goram chciał wiedzieć jeszcze więcej.

- Więcej o tym nie słyszałem, wiem tylko, że dziewczynę aresztowano.

- Czy możecie wstrzymać na chwilę start? Muszę jeszcze zadzwonić.

Strażnicy zawahali się.

- Nie możemy. Wszystko jest obliczone co do dziesiątej części sekundy.

- Ale ja...

- Wchodź już na pokład!

Goram czuł, że się dusi. Strażnik wspomniał, że Lilja nie ma żadnego alibi.

Myśli gnały mu przez głowę jak burza.

Ostatni start, w każdym razie do jego celu.

Najwyraźniej było przesądzone, że tam nie polecą. Miał wrażenie, że Święte Słońce nie chce go jeszcze widzieć w swej służbie. Może nigdy to nie nastąpi, jeśli teraz zrezygnuje?

Lilja w więzieniu.

Elitarny Strażnik Świętego Słońca, jego wysublimowane zadanie.

Pojazd i tak przewozi ładunek, nie musi więc przejmować się tym, że pojazd zostanie wystrzelony na próżno.

Alibi Lilji...

Wypuścił powietrze z płuc z głośnym westchnieniem. Przysięga, ta święta obietnica.

Duma jego życia, członkostwo w Elicie Strażników...

Do ręki wsunęło mu pojemnik ze świętym płomieniem.

15

Misza nie miał odwagi otworzyć przeznaczonej dla niego koperty.

Siedział w swoim pokoju w hotelu i przyciskał ją do piersi.

Był podniecony, szczęśliwy, uradowany wszystkim nowym, co go spotykało, lecz jednocześnie wystraszony i zdezorientowany.

Ale o tym nie śmiał powiedzieć nikomu.

Podróż do krainy Obcych okazała się dla niego o wiele większym szokiem, niż przypuszczał.

Z początku odnosił się do całego projektu z wielkim entuzjazmem, ale teraz miał wrażenie, jakby całe powietrze z niego uszło, jak z tych baloników, które przyniesiono mu do szpitala, żeby uczcić odzyskanie wzroku, a które po kilku dniach klapnęły na podłogę.

Przygoda, napięcie, możliwość uczestniczenia w ciekawych poczynaniach grupy, tego wszystkiego ogromnie pragnął, no i jego marzenia się spełniły. Tyle że on nie zdołał sobie z tym wszystkim poradzić.

Zwierzęta. Przeraziły go tak, że chciał uciekać i schować się w gondoli.

Misza nie był przyzwyczajony do zwierząt. Nigdy przecież żadnego wcześniej nie widział, a tym bardziej nie znał żadnego, z żadnym się nie zetknął blisko. Jedyne zwierzęta, jakie w ogóle słyszał, to koguty piejące w wiosce o wczesnym poranku, skrzekliwe wrony i koza becząca z daleka. To wszystko.

Owszem, ostatnio na ulicach Sagi widywał małe pieski, a potem nagle... musiał stanąć twarzą w twarz z dwoma olbrzymimi wilkami w pałacu Marca! Wyglądało na to, że nikt poza nim się ich nie boi, lecz one jakby wyczuły strach Miszy, choć starał się go zwalczyć i nikomu nie pokazać, bo podeszły do niego, odsłaniając swoje straszliwe zębiska w ziejących paszczkach przysuniętych tuż do jego

twarży. Ale w oczach błyszczał im śmiech. Drwiły z jego lęku.

To był doprawdy straszny moment.

Wcale nie lepiej było, gdy całe towarzystwo wpuszczono między zwierzęta w tamtej dziwnej krainie, zwierzęta wielkie jak domy, skradające się zdradziecko, patrzące spode łba i wyciągające szyje. Niektóre tak prędkie, że oczy mało nie wyszły mu z orbit. Mało brakowało, a przestałby nad sobą panować ze strachu.

Dobrze, że była przy nim wtedy Elena. Nie odstępowała go na krok i opowiadała o każdym poszczególnym zwierzęciu, choć sama nie wszystkie знаła. Namówiła go, żeby pogłaskał granatowoczarnego kota po grzbiecie, a zwierzę w dowód wdzięczności pozostawiło na jego białych spodniach kilkaset czarnych włosów.

Elena wyjaśniła mu, że wszystkie tutejsze zwierzęta są przyjaźnie nastawione i pragną kontaktu, ale Misza patrzył na jagnięta, które lękliwie wymykały się Gwiazdeczce i Kacie, i uznał, że wcale tak nie jest.

Elena była taka miła. Zajmowała się nim prawie tak jak rodzice, wspierała i pomagała we wszystkim, zawsze gotowa do pomocy, myślała tylko o jego dobru. Różniła się od Berengarii, ta dziewczyna nie wyglądała na osobę pełną matczynej troski, zajmowała się głównie samą sobą. (Tutaj Misza się omylił jak wiele innych osób przed nim, ponieważ Berengaria za taką właśnie pragnęła uchodzić, w taki sposób wykreowała własny image i Misza też dał się oszukać).

Siedział, uśmiechając się do siebie na myśl o Elenie, gdy zawołał go ojciec:

- Nie chcesz wiedzieć, co jest w tym liście, Misza? A w domyśle: sam jestem strasznie ciekaw i nie mam cierpliwości dłużej czekać.

- Oczywiście.

Wstał, wciąż nie bez wysiłku. Do pewnych ruchów trudniej było się przyzwyczaić niż do innych. Kłopoty sprawiało mu właśnie wstawanie z pozycji siedzącej.

Misza, rzecz jasna, nie umiał czytać, lecz zaproponowano mu naukę. Do szkoły mógł chodzić tak długo jak tylko chciał, a Elena zaofiarowała się, że chętnie nauczy go podstaw. Misza zgadzał się na wszystko.

Matka nie najlepiej radziła sobie z czytaniem, ale Elis, ojciec, był wioskowym

nauczycielem, opanował więc tę sztukę.

O jednej tylko rzeczy zapomnieli: rozumieli wszystkie języki w mowie, lecz niestety, aparaciki Madragów nie potrafiły odcyfrowywać pisanego tekstu. Okazało się, że obcy jest nie tylko język, lecz i alfabet. Elis znał jedynie cyrylicę.

Musieli kogoś wezwać na pomoc, Misza zaproponował, by była to Elena, a rodzice prędko uznali, że to dobry pomysł.

Misza jeszcze przez chwilę spierał się z ojcem, który z nich zatelefonuje. Obaj nauczyli się obsługiwać aparat, lecz nie bardzo mieli do kogo dzwonić. Matka telefonu się bala. Wreszcie Elis oddał słuchawkę synowi.

Tak miło było usłyszeć głos Eleny, że Miszę kompletnie zatkało, zapomniał, że powinien mówić. Gdy jednak wreszcie wydusił z siebie pytanie, Elena zaraz powiedziała, że chętnie przyjdzie. Rozległo się ciche stuknięcie, gdy odłożyła słuchawkę, zostawiając Miszę w próżni.

Wrócił do swego pokoju, by ładnie się ubrać, i stanął zatopiony w myślach.

Gdy spotkanie w audytorium dobiegło końca, Obcy zażyczyli sobie obejrzeć jego i dzieci. Prosilili, by opowiedział o swoim życiu, o ślepcie i ciężkim kalectwie.

Rozdrapywanie dawnych ran było dość bolesne, musiał powrócić do świata, który pozostawił już tak daleko za sobą, że teraz wydawał mu się wprost nierzeczywisty.

Zbadali potem jego twarz, zwłaszcza okolice oczu, a potem dotykali jego ramion, mrużąc coś o cudzie.

Nieświadomi zakazu wydanego przez innych, podprowadzili go do wielkiego lustra i Misza po raz pierwszy miał okazję ujrzeć samego siebie.

Drgnął na widok wysokiego mężczyzny, widocznego w tej dziwnej ścianie.

Przeraził go wygląd twarzy tego człowieka, zwłaszcza miejsc wokół oczu. Nic brzydszego dotychczas nie widział.

Upłynęła dość długa chwila, zanim wreszcie zrozumiał i był w stanie zaakceptować, że oto patrzy na siebie samego.

Stał teraz, naciągając swoją najlepszą koszulę przez głowę, kiedy znowu doznał

szoku.

Powrócił do czarnej jak węgiel ciemności w swojej małej komórce za piecem, nie miał rąk ani nóg, nie miał oczu. Musiał prosić o pomoc we wszystkim. Ciemność, niemożność poruszenia się...

Gdyby wtedy Marco i Berengaria nie przyszli...

Nogi się pod nim ugięły, aż przysiadł na łóżku. Zdołał jakoś naciągnąć koszulę, lecz musiał uchwycić się poręczy łóżka, by zapanować nad gwałtownym drżeniem, jakie ogarnęło całe ciało.

Wreszcie uspokoił się na tyle, by móc ubrać się do końca i wyjść do rodziców czekających we wspólnym pięknym salonie. Powiedzieli, że wygląda wspaniale. Jakże by mogło być inaczej, włożył wszak niedzielne ubranie!

Czekał teraz na Elenę i czuł, że znów ogarnia go napięcie. Tym razem jednak inne. Co jest w tym liście, jakie przygody czekają go teraz? No tak, wiedział, że jemu potrzeba czasu, Elena miała przygotować go do wprowadzenia do grupy przyjaciół i do pracy, jaka się z tym łączyła. Kilka dni musieli więc dostać, ale później? Co go czeka później?

Próbował zignorować nieprzyjemne wrażenie strachu pełzającego wzdłuż kręgosłupa i niepewności.

Czy on naprawdę tego chce?

16

W głównej kwaterze Strażników panowała niezwykła cisza. Lilja zastanawiała się, czy jest noc, bo na to właśnie wyglądało.

Matce przekazano wiadomość o córce, to znaczy powiedziano jej, że Lilja nocuje u koleżanki. To musiało wystarczyć.

Oczywiście nie było mowy o siedzeniu w celi, Lilji oddano do dyspozycji pokój, wręcz prawie mieszkanie, z kąpielnią kuchenną i toaletą. Dostała nawet telewizor, żadna specjalna krzywdą więc jej się nie działa.

Ale czuła się bardzo samotna. Naprawdę dość miała czasu na myślenie, a tego właśnie nie chciała. Pojawił się ów nowy problem z tą okropną Zendą Brown, no a

przede wszystkim Goram nawet na chwilę nie schodził jej z myśli.

Na pewno już wyjechał, wszystko się skończyło, definitywnie. Marzenie o historii miłosnej urwało się, zanim cokolwiek zdążyło się rozpocząć.

Usłyszała odgłosy rozmowy dobiegające z głębi budynku, wyglądało na to, że ktoś przyszedł. Docierał jakiś nieznaną jej głos.

Dźwięk kroków na miękkich podszewkach.

Rozległo się krótkie, dość natarczywe pukanie do jej drzwi. Gdy za drugim razem podjęła próbę, udało jej się wreszcie wydusić z siebie krótkie „proszę wejść”.

Do środka wszedł wysoki Lemuryjczyk o bardzo władczej postawie. Popatrzył na nią z góry i Lilja natychmiast poderwała się z krzesła. To jednak również nie na wiele się zdało, wciąż musiała odchyłać głowę, żeby móc spojrzeć mu w twarz.

- Lilja Anderson? To ja będę prowadził twoją sprawę.

- Adwokat?

- Można tak powiedzieć. Właściwie tak naprawdę adwokatem nie jestem.

- Widzę, że pan...

Lemuryjczyk pokręcił głową.

- Że jesteś Strażnikiem. I... o tak, w dodatku z Elity Strażników. Dokładnie tak jak Goram.

Ogromnie ją to ucieszyło.

- Jestem ich przywódcą. Możesz spokojnie ze mną rozmawiać, chcę ci tylko pomóc.

- Och, dziękuję. Tak mi przykro, że Goram już wyjechał.

- Rozumiem, wszystkim nam go żal.

Lilja czuła, że o czymś zapomniała. Poprosiła przybyłego, by usiadł. Siedzieli każde na swoim krześle przy niedużym stoliku. Lilja nabrała zaufania do tego Strażnika, jego obecność napawała ją jakże potrzebnym jej teraz spokojem.

- Gdybym tylko wiedziała, dokąd wyjechał, poszłabym za nim na koniec świata.

Ale on właśnie ode mnie chciał uciec, pewnie więc wcale by się nie ucieszył.

Lemuryjczyk w milczeniu patrzył na nią, w jego czarnych oczach nie widać było

nawet cienia wrogości.

Lilja rzuciła impulsywnie:

- Nie mogłabym się dowiedzieć, gdzie on jest? Czy proszę o zbyt wiele?

- Nie - odparł powoli. - Rozumiem, że bardzo go lubisz. I że to nie twoja wina, iż wszystko skończyło się w ten sposób. Goram musiał nas opuścić, ponieważ czeka go bardzo ważne zadanie.

- A jakie to zadanie? - cicho spytała Lilja.

Strażnik westchnął.

- Gdy Strażnik z Elity nie jest dłużej w stanie skupić się całkowicie na służeniu Świętemu Słońcu, musi ruszać dalej, do końcowego zadania...

- To brzmi naprawdę strasznie. Czy on umrze?

- Śmierć nie jest żadnym zadaniem, to etap przejściowy. Nie, Strażnik Elity musi wejść w Wielką Światłość, której Święte Słońce jest zaledwie płomykiem. Tam będzie czekał na istoty, które umierają, będzie dbał o ich spokój i poczucie bezpieczeństwa i pomagał im tam się zaaklimatyzować.

Dla Lilji było tego trochę za dużo.

- Wielka Światłość?

- Słyszałem, że od niedawna kręcisz się w grupce skupionej wokół księcia Marca. Czyżby nikt nie zdążył ci o tym opowiedzieć?

- Nie.

- Czy wyznajesz jakąś konkretną religię?

Lilja wahała się przez chwilę:

- Moja rodzina wywodzi się z kręgów protestanckich, lecz muszę przyznać, że mnie osobiście najbardziej pociąga Święte Słońce.

Strażnik z uznaniem pokiwał głową.

- A więc tak, wobec tego mogę ci opowiedzieć o Wielkiej Światłości.

Lilja usiadła wygodniej. Wciąż panowała owa niezwykła nocna cisza, choć przecież miała już towarzystwo. On jak gdyby samą swoją obecnością wyczarowywał niesamowity nastrój. Była to niezwykła chwila dla Lilji, wyczuwała u

tego człowieka zrozumienie i łączącą ich więź, która była niczym balsam na jej okaleczoną duszę. Ostatnim dniom towarzyszyło zbyt wiele emocji, jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że chyba więcej nie wytrzyma. Na szczęście przyszedł on. I bez względu na to, co mógł jej powiedzieć o Goramie, wiedziała, że i tak jego słowa przyniosą jej ulgę w bólu.

- Bardzo chętnie usłyszę coś o Wielkiej Światłości - szepnęła.

- A więc słuchaj. Wiele ludów na Ziemi czciło i w dalszym ciągu czci Słońce jako swe bóstwo, nic nie wiedząc o Światłości. Niby coś wiedzą, lecz nie do końca. Słońce, które widzą, jest gwiazdą na sklepieniu niebieskim, natomiast Wielka Światłość to coś o wiele, wiele więcej. Ona istnieje wszędzie, choć nieczęsto zdarza się nam ją widzieć. Gdy umieramy, wchodzimy w nią, istnieje więc świat późniejszy, świat po drugiej stronie. Światłość istnieje w przyrodzie, wokół nas i w naszym wnętrzu, żyjemy w niej, nie wiedząc o tym wcale, w niczym nam też to nie przeszkadza. Światłość ta składa się wyłącznie z miłości. Z ciepła, troski i spokoju, lecz przede wszystkim z wszechogarniającej uniwersalnej miłości. To, co mówił, brzmiało bardzo pięknie. Lilji od razu zrobiło się cieplej na sercu.

- Ale Światłości nie można zobaczyć?

- Owszem, niekiedy się to zdarza. Podczas przeżyć w stanie śmierci klinicznej ludzie widzą owo silne, lecz zarazem łagodne bursztynowe światło, które pojawia się po przejściu przez ciemny tunel. Ujrzało je wiele osób, które poddały się terapii regresji, powrotu do poprzednich wcieleń. Zdarza się wówczas, że natrafiają na moment między chwilą śmierci a początkiem nowego życia. Ludzie odczuwają wówczas cudowne, pełne rozluźnienie, unoszą się czy też pływają w tym świetle, które otacza ich bezgraniczną miłością. A ci, którzy potrafią oczyścić domy z upiórów, mówiąc do takiej zabłąkanej duszy, zawsze kończą zaklęcia słowami: „Teraz będziesz już wolna i powędrujesz dalej ku światłu”.

Lilja zorientowała się, że ze zdumienia otworzyła szeroko usta, teraz czym prędzej je zamknęła.

Przywódca Elity Strażników podjął:



- Tu, w Królestwie Światła, mamy możliwość oglądać płomyk Światłości na co dzień, jest nim Święte Słońce. Obcy dostali płomień od Wielkiej Światłości kiedyś dawno temu przed tysiącami lat, podzielili ów płomień na wiele mniejszych i większych Słońc i większość z nich przywieźli ze sobą na Ziemię, a później tutaj w jej głąb. Tu bowiem panowały kompletne ciemności. Główny płomień, największe Słońce, jakie mamy, to, które oświetli całe wnętrze Ziemi, nie zostało jeszcze ustawione, lecz nastąpi to już wkrótce po tym, jak Ciemność zostanie oczyszczona ze zła.

Czy on nigdy nie dotrze do Gorama? pomyślała Lilja, lecz mimo to w napięciu wsłuchiwała się w słowa Strażnika.

- Ale czy ta Wielka Światłość istnieje konkretnie, w jakimś miejscu?

- Owszem, lecz w innym wymiarze, położonym poza naszym wszechświatem.

Może ponad, jeśli tak wolisz. Ale też i w jego obrębie. Możesz doświadczyć jej z bliska, mówiłem już.

Lilji to wszystko nie mogło się pomieścić w głowie. Próbowwała jakoś to sobie uporządkować.

- Jak ona wygląda? Czy ma jakiś kształt? Czy może jest amorficzna?

Była ogromnie dumna z właściwego użycia takiego mądrego słowa.

Strażnik rozważał odpowiedź.

- Jeśli wyobrazisz sobie, że wznosisz się ponad sfery coraz wyżej i wyżej...

Lilja natychmiast wyobraziła sobie, jak z zamkniętymi oczami wznosi się coraz bardziej w górę.

Strażnik uśmiechnął się.

- Widzę, że doskonale to potrafisz. Czujesz zimno, jakie cię otacza, prawda?

- Owszem - na jej ustach pojawił się błogi uśmiech. - Rzeczywiście tak jest.

- No cóż, jeśli wzniesiesz się wyżej, niż ktokolwiek może sobie wyobrazić, to tam się zatrzymasz. Jeśli teraz spojrzysz w dół, zobaczysz świat w miniaturze, pejzaż będący jakby wycinkiem Ziemi, ujrzyś zielone pasma wzgórz, rzekę wpływającą do jeziora, drzewa i kwiaty, domy, zwierzęta i ludzi...

- Tak jak na zewnętrznych terenach terytorium Obcych?
- Widzę, że doskonale mnie rozumiesz. Tak, mniej więcej coś takiego.
- Widzę coś więcej - powiedziała Lilja wolno, jakby zahipnotyzowana. Miała zamknięte oczy, a na jej otwartej twarzy o naiwnych czystych rysach widniał uśmiech szczęścia.
- Ach, tak, a co takiego widzisz? - zainteresował się Strażnik.
- Widzę świat wokół mnie, wszystkie systemy słoneczne, galaktyki, nebulozy. Mnóstwo ciał niebieskich, słońc, satelitów, gwiazdozbiorów, kwazarów i pulsarów...
- Ojej! - westchnął z podziwem. - Naprawdę sporo umiesz.
- Astronomia była w szkole moim ulubionym przedmiotem.
- Doprawdy całkiem nieźle jak na kogoś, kto nigdy nie widział nieba, a co dopiero gwiazdy.
- Mamy przecież tę wielką salę, której ruchomy dach przedstawia całe sklepienie niebieskie.
- Chciałabyś więc zobaczyć to w rzeczywistości? Znaleźć się w świecie na powierzchni Ziemi?
- O, tak, bardzo na to liczyłam...  
Musiała urwać, tak ogromnie się zasmuciła.
- Wiem - powiedział cicho. - Ty i Goram w tej grupie poszukiwaczy przygód pracowaliście razem. Nie otworzyłaś jeszcze swojej koperty?
- A czy miałam na to czas? Nic to jednak, mów dalej.
- Nie, to ty będziesz mówić. A więc zajrzałaś we wszechświat. Czy jesteś w stanie powrócić do tego obrazu?
- Lilja spróbowała, tym razem jednak było o wiele trudniej. Nastrój prysnął.
- No cóż, wobec tego trochę ci pomogę. Dostrzegłaś wszystko tak jak należy, powinnaś jednak skierować wzrok w górę i trochę w bok. Szkoda, że ta iluzja minęła!
- Zaczekaj, może uda mi się ją pochwycić - zapaliła się Lilja. - Muszę tylko pozbyć

się tego smutku i rozgoryczenia.

Strażnik czekał, Lilja znów zamknęła oczy. Nagle poczuła, że on włożył jej coś do ręki, coś zimnego... kamień? A może kryształ? Odruchowo zacisnęła na nim palce i przyłożyła do piersi.

- O, tak - rzekła po chwili. - Ten pejzaż powrócił, i wszechświat także. Tak, tak, znów go widzę.

- Doskonale. Popatrz teraz w przód i przenieś wzrok lekko ukosem w górę. Masz dobre zdolności odbiorcze, może więc ci się to uda.

Lilja czekała, przed jej zamkniętymi oczyma przesuwwały się szarofioletowe chmury, prześwitywały zza nich jakieś żółte, czerwone, białe, zielone i niebieskie błyski. Zapalały się i gasły, pojawiały i znikaly.

Potem zaś...

- Chmury się rozstępują - szepnęła.

Poczuła jego dłoń na nadgarstku, popłynęła z niej siła wprost do ciała i duszy.

Nagle Lilja odruchowo cofnęła się z całym krzesłem.

- Ojej - westchnęła niemal bezgłośnie.

- Prawda? - uśmiechnął się spokojnie.

Przed nią widniało olbrzymie światło rozciągające się od horyzontu do horyzontu, choć przecież wcale żadnych horyzontów nie było, ona je sobie tylko wyobrażała.

Światło miało kształt oka, zwężało się na obu końcach, lecz, rzecz jasna, nie było to wcale oko, tylko światło. Światło najłagodniejszej, lecz zarazem najpotężniejszej miłości, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Przeżycie było zbyt silne, Lilja wybuchnęła płaczem.

- Wobec tego kończymy - oświadczył Lemuryjczyk.

- Nie, to znaczy dobrze, ale chciałabym powiedzieć, co jeszcze zobaczyłam.

- Ach, tak?

Światłość już zniknęła, lecz jej wspomnienie pozostało.

- Z Wielkiej Światłości rozchodziły się promienie. Jeden sięgał do mnie, inne dotykały wszystkich najdrobniejszych szczegółów na Ziemi, ludzi i zwierząt,

wszystkiego co rośnie, nawet kamieni.

- Oczywiście - rzekł spokojnie.

- A przez wszechświat wiązki promieni sięgały do każdego ciała niebieskiego.

Wybacz mi, ale wydaje mi się, że to nie było dla mnie dobre. Serce tak mocno mi wali, trudno mi oddychać.

- Wiem o tym. Inni ludzie przeżywali to samo co ty, lecz ich droga, by tam dotrzeć, była o wiele dłuższa i trudniejsza niż twoja. Zwykle upływają całe godziny, zanim udaje im się zobaczyć Światłość.

- A więc ty mi pomogłeś?

- Raczej tak. Ale masz rację, ludzie nie powinni tego oglądać, to zbyt silne przeżycie. Jednak chciałem po prostu, żebyś o tym wiedziała.

- Dziękuję.

Zaczekał chwilę.

- I cóż, co ci dała ta możliwość zajrzenia w inny świat, który zarazem jest jak najbardziej naszym światem?

- No... - zaczęła Lilja ostrożnie. - Mam swoje myśli...

- Zdradź mi je.

- Nie wiem... Jeśli ktoś chce nazwać tę Światłość Bogiem, to proszę bardzo, bo przecież nikt nie wie, jak wygląda Bóg. Równie dobrze jednak można nazwać ją kosmosem i powiedzieć, że my wszyscy jesteśmy jego częścią. Dla mnie jednak pozostanie ona na zawsze Wielką Światłością.

- Powiedziałaś teraz coś bardzo ważnego. My, cały wszechświat, jesteśmy jedną całością, wszystko jest ze sobą powiązane, a Wielka Światłość jest jądrem.

- Czy ty ją widziałeś?

- Wszyscy Strażnicy z Elity ją oglądali. Oni są satelitami Światłości, jeśli można to tak wyrazić.

- A więc Goram zmierza tam teraz?

- Tak, został wystrzelony na tor ruchu Ziemi, prawdopodobnie już tam jest. Tak, musiał już tam dotrzeć.

Lilja cała aż się skuliła z rozpaczy. Potężny Strażnik z łatwością śledził zmiany jej nastroju.

- Na tor ruchu Ziemi? Czyżby on zmierzał do Domu?

- Tak.

- Ale zaprzeczał, gdy spytałam, czy tam się wybiera.

- Nic w tym dziwnego, on bowiem wyruszy jeszcze dalej.

- Wyjaśnij mi to - poprosiła Lilja niewyraźnie i wytarła nos. Łez nie mogła już powstrzymać, musiały po prostu płynąć.

W innej części budynku rozmawiali ze sobą jacyś Strażnicy i Lemuryjczyk czekał, aż umilkli i trzasnęły drzwi. Znow zaczęła królować wielka cisza.

Dowódca Strażników Elity spytał wreszcie:

- Znasz legendę o świętym Graalu?

- O, tak, jest taka piękna. Opowiada o kielichu, w którym znajdowała się krew Chrystusa, strzegli go rycerze króla Artura.

- No właśnie, pamiętasz, co się z nim stało?

- Mówi o tym wiele różnych legend - odparła Lilja. - Tą, którą pamiętam najlepiej i uważam za najpiękniejszą, jest ta o Galahadzie, który odnalazł kielich na zamku Mont Salvat. Potem kielich zniknął. Kielich, Galahad i cała góra z zamkiem.

- Tak, to jedna wersja. Ale pozostajmy przy niej.

- Nikt nigdy nie odnalazł tego zamku. Pogłoski wskazują, że mógł stać w wielu miejscach Hiszpanii albo we Francji, zwłaszcza w Anjou. Mówi się także o Walii i o angielskiej Kornwalii. Nikt nigdy jednak nie natrafił na ślad góry ani zamku, a co dopiero mówić o kielichu. A dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ my na naszej planecie mamy podobną legendę, co prawda nie ma w niej kielicha ani zamku, lecz ten płomień, który Goram zabrał z sobą... Za jego pomocą ma znaleźć przejście do wymiaru Wielkiej Światłości. A przejście to znajduje się w górze, która zniknęła, dokładnie tak samo jak Mont Salvat.

Podobno płomień wskaże mu drogę.

- A potem?

- Potem Goram wejdzie w Światłość i spotkasz go dopiero wtedy, gdy umrzesz. Tam cię przyjmie.

- Wobec tego chcę umrzeć już teraz - oświadczyła Lilja cicho, rozmarzona, lecz mimo tego pewna decyzji.

- Nie, to się nie stanie, nie zapominaj, że przez całe życie mieszkałaś w blasku Świętego Słońca. Ale Goram ma jeszcze inne zadanie. Wiesz chyba, że ludziom żyjącym na powierzchni Ziemi przydzielany jest pomocnik, który towarzyszy im od kołyski aż do grobu?

- Słyszałam o tym. To duch opiekuńczy, anioł stróż czy też przewodnik albo duchowy przywódca. Takie duchy mają wiele nazw. Wikingowie nazywali je fylgjami, tak opowiadał Mirandzie Gondagil.

- Zapewne tak. Widzisz, ci pomocnicy różnią się od siebie mocą. Niektórzy nie mogą przedostać się przez mury wymiarów do osoby, którą mają chronić. I wówczas tacy jak Goram, ci, którzy znajdują się w Wielkiej Światłości, mogą takiemu najslabszemu duchowi czy też aniołowi, jeśli ktoś woli takie określenie, służyć wsparciem i pomocą.

- Ale Goram nie będzie żadnym pomocnikiem, nie będzie duchem opiekuńczym?

- Nie, on stoi w hierarchii o wiele wyżej.

Zapadła cisza, Strażnik uśmiechnął się.

- Widzę, o czym myślisz. Chciałabyś, by Goram został twoim duchem opiekuńczym, ale my tu, w Królestwie Światła, ich nie potrzebujemy.

- Rozumiem.

Lilja przez chwilę siedziała w milczeniu, nie będąc w stanie mówić. Cały czas podnosiła ręce do twarzy, ocierała łzy, płacząc cicho.

- I wszystko to on musi zrobić, zajmować się zmarłymi, pomagać innym w niesieniu pomocy - szepnęła zduszonym głosem - tylko dlatego, że ja się w nim zakochałam.

- Nie tylko.

Podniosła głowę, cała we łzach.

- Z tobą w jakiś sposób zdołałby sobie poradzić, już zadbałby o to, żebyś o nim zapomniała. Ale ze swymi własnymi uczuciami nic nie mógł zrobić.

Zanim Lilja zdążyła zastanowić się nad tymi słowami, Strażnik dodał czym prędzej:

- Ale teraz porozmawiajmy o oskarżeniu skierowanym przeciwko tobie. Ani trochę nie wierzę w twoją winę, choć niestety wiele wskazuje właśnie na ciebie. Pytanie tylko, czy...

Urwał, bo wejściowe drzwi znów trzasnęły i w korytarzu rozległy się podniecone głosy.

Lilja i Strażnik popatrzyli zdumieni na siebie.

- Goram? - powiedzieli jednocześnie z niedowierzaniem.

17

Jego zdecydowane kroki rozległy się w korytarzu.

Wreszcie stanął w drzwiach.

Lilja działała spontanicznie. W tak wielkim napięciu nie była w stanie zastanawiać się nad tym, co robi. Podbiegła do Gorama, objęła go mocno i przycisnęła się do jego piersi.

Goram posłał pytające spojrzenie swemu zwierzchnikowi, tamten kiwnął głową i Strażnik otoczył Lilję ramionami, przycisnął policzek do jej włosów.

Tylko na chwilę. Zaraz potem uwolnił się z jej objęć, Lilja nie protestowała.

- Goramie, co się stało? Sądziłeś, że jesteś... - zaczął przywódca Elity Strażników.

- Lilja mnie potrzebuje - odparł jego podwładny. - O ile dobrze zrozumiałem, ona nie ma żadnego alibi.

- To prawda.

- Ale ja jej mogę dać alibi. Dlatego zostałem.

Popatrzyli na niego zdziwieni.

- Rozpytywałem trochę o porę popełnienia tego przestępstwa i mogę powiedzieć, że widziałem Lilję u niej w domu właśnie w tamtym czasie.

- Naprawdę? - zdumiała się.

- Owszem, sadziłaś coś w ogrodzie, prawda?

- No, tak, tak właśnie było, krzew róży. Ale jakim sposobem... Ja cię nie zauważyłam.

- Nie mogłaś mnie widzieć, stałem wysoko w punkcie widokowym. Chciałem po raz ostatni spojrzeć na Sage. No i na ciebie, a przynajmniej na twój dom.

- Ojej! - westchnęła Lilja słabym głosem.

- Widziałem, jak starannie uklepywałaś ziemię wokół roślinki, a potem przy niej uklękałaś. Nie wyglądałaś na wesołą.

- Masz rację, płakałam - przyznała cicho. - Posadziłam tę różę na pamiątkę ciebie i naszej pięknej przyjaźni.

Goram nic na to nie powiedział, z opresji wybawił go jego zwierzchnik.

- Wobec tego pójdziemy zaraz przekazać to ludziom, którzy prowadzą dochodzenie.

- Ale czy oni nie śpią? - nieśmiało zauważyła Lilja. - Jest przecież chyba noc.

Dowódca Strażników uśmiechnął się.

- Rzeczywiście jest późno, ale oni wciąż jeszcze tu są.

Natychmiast wyszli, Lilja spostrzegła, że Goram stara się do niej nie zbliżać, nic sobie jednak z tego nie robiła. Miał swój kodeks, któremu musiał się podporządkować, ale przecież dane jej było poczuć obejmujące ją ramiona. Tym wspomnieniem będzie się karmić jeszcze długo.

- A więc zmieniłeś decyzję? - spytał Gorama zwierzchnik.

- Tak. Ale wywiążę się ze swoich obowiązków tutaj, muszę.

Gdy prowadzący śledztwo usłyszeli, co ma do powiedzenia Goram, orzekli, że to bardzo pomoże Lilji, lecz niestety, nikt nie zna dokładnej pory popełnienia przestępstwa. Żaden z sąsiadów nie widział, jak Strażnik wchodził do domu Zendy, nikogo z nich nie było w pobliżu.

Lilja patrzyła na Gorama i czuła, jak miłość do niego wypełnia jej serce po brzegi.

Miała wrażenie, że zaraz pęknie od tego szczęścia i zarazem z rozpacz. On



znów był blisko, lecz nigdy nie dane im będzie być razem.

No cóż, to w każdym razie lepsze, aniżeli miałby być gdzieś strasznie daleko w wymiarze śmierci. Nie, to niewłaściwe określenie, wszak przyjmowanie zmarłych to zaledwie jedna z wielu funkcji Wielkiej Światłości.

Goram nie patrzył na nią, lecz doskonale zdawał sobie sprawę z jej obecności.

Lilja wyczuwała to każdym nerwem. Rozmawiał z innymi mężczyznami o możliwościach całkowitego uniewinnienia Lilji, wyglądało jednak na to, że nie będzie to takie łatwe, choć świadectwo Gorama znacznie poprawiło jej sytuację.

Gdy tak stali zajęci dyskusją, zadzwonił telefon jednego ze Strażników.

Pozostali nie bardzo mogli zrozumieć, czego dotyczy rozmowa, odpowiadał bowiem bardzo zdawkowo, właściwie tylko „tak”, „nie”, „co ty powiesz?” i „świetnie”. Zakończył oświadczeniem „zaraz przyjeżdżamy”.

Rozłączył się i odwrócił do towarzyszy z tajemniczym, ale pełnym zadowolenia uśmiechem.

- Sprowadźcie Zendę Brown! Jedziemy, i to wszyscy, bez wyjątku!

Gondola dowiozła ich do szpitala. Zenda, która nie chciała mieć do czynienia z mordercami, to znaczy z Lilja, trzymała się od niej z dala. Była głęboko urażona takim traktowaniem zacnej, uczciwej obywatelki przez tych... Lemuryjczyków! Ostatnie słowo niemal wypluła.

Poprowadzono ich korytarzem szpitalnym do jakiegoś pokoju.

Leżał w nim Lemuryjczyk z obandażowaną głową, otoczony najrozmaitszymi rurkami i wężykami.

Miał zamknięte oczy, lecz nie wyglądało na to, żeby spał.

Zenda cofnęła się w drzwiach.

- Szpitalne sale. Ojej! Nie znoszę widoku chorych ludzi, muszę stąd wyjść - szepnęła.

- Proszę chwilę poczekać - nakazał prowadzący śledztwo Strażnik. - Będiesz miała teraz możliwość całkowitego oczyszczenia się z zarzutów.

- Przecież nigdy o nic mnie nie oskarżono. Proszę mnie wypuścić, niedobrze mi się robi od samego tylko zapachu, zaraz zemdleję!

Próbowała osunąć się na ziemię, ale powstrzymała ją mocna ręka Strażnika. Lilja spytała:

- Czy to... Sardor?

- Tak, właśnie dlatego nie dało się ustalić dokładnego czasu popełnienia zabójstwa.

- Ale przecież mówiliście, że on nie żyje! - wykrzyknęła Zenda.

- Nikt nie twierdził, że Sardor umarł. Nikt poza tobą. Właśnie przed chwilą dowiedziałem się, że odzyskał przytomność. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy pewności, co z nim będzie, odczuliśmy więc wielką ulgę. No i bardzo nam to teraz pomoże. Sardorze, słyszysz mnie?

Pacjent kiwnął głową.

- Możesz nam pomóc rozwikłać pewien problem. Nie, Zendo, zostań tu. Och, uciekła! Sprowadźcie ją z powrotem!

Nie musieli długo czekać.

- Ale mnie się robi słabo, nie zniosę tego!

- To tylko chwila, zaraz potem będziesz mogła wyjść. Czy masz siłę otworzyć oczy, Sardorze, i stwierdzić, czy to któraś z obecnych tu kobiet uderzyła cię w głowę? A może zrobił to ktoś zupełnie inny?

Sardor, stękając z wysiłku, otworzył oczy.

Zenda usiłowała odwrócić twarz, lecz mocne ramiona ją przytrzymały.

Sardor spojrzał na Lilję, a potem zatrzymał wzrok na Zendzie.

- To nie był nikt inny. To ona, ta stara.

- Stara? - wykrzyknęła głęboko urażona Zenda. - On kłamie, wszyscy chyba widzą, że jest zanadto zamroczony, by wiedzieć, co mówi!

- Dlaczego to zrobiła, Sardorze?

- Nie mam pojęcia. Zupełnie mnie tym zaskoczyła, chciałem jedynie...

Zastanowił się. Sprawiał wrażenie bardzo osłabionego, słowa wypowiadał powoli,

niemal szeptem.

- Tak, no właśnie, miałem dać jej eliksir. Wielu mieszkańców miasta nieprzystosowanych wzbraniało się przed wypiciem, lecz nikt z tego powodu nie przechodził do rękoczynów.

- Czy coś jej powiedziałaś?

- Dość tych głupstw! On naprawdę nie wie, o czym mówi! - zawołała Zenda.

Sardor rzekł zmęczonym głosem:

- Zdążyłem jej chyba uświadomić, że straciła swoich klientów. To przecież, jak wicie, ulicznica...

- Ulicznica? Ja? Jestem call... - Zorientowała się, że powiedziała za dużo.

- Znana jesteś ze swoich gwałtownych humorów - przypomniał sobie jeden ze Strażników.

- Z temperamentu! Wolalabym, żebyście używali takiego określenia!

- Ze swych paskudnych humorów - ciągnął niewzruszony Strażnik. - I pewnie w oczach ci pociemniało, gdy okazało się, że wykonywanie twojej profesji jest zagrożone. Cóż, tę sprawę mamy więc wyjaśnioną i możemy wreszcie uniewinnić Lilję. Sądzę, że wszyscy się z tego cieszą, no, może z wyjątkiem jednej osoby. Zaaplikujcie tej damie łyk eliksiru Madragów, wygląda na to, że może jej być potrzebny!

Stali w ogrodzie Lilji wpatrzeni w różę, którą ostatnio zasadziła. Goram odprowadził dziewczynę do domu, twierdził, że przynajmniej tyle może dla niej zrobić. Tyle i niestety nic więcej.

- Wiesz chyba, że nic się nie zmieniło? - spytał cicho.

- Owszem, wiem. Znów znaleźliśmy się w punkcie zerowym. Przykro mi, że sprawiam ci tyle kłopotów.

- Przecież to nie ty je sprawiasz, tylko ja.

Lilji krew mocno uderzyła do twarzy.

Goram podjął równie ściszym głosem:

- Ta chwila, gdy trzymałem cię w objęciach, była najwspanialszym momentem w

moim życiu. Nie sądziłem, że miłość może być tak dotkliwa, przenikać całe istnienie człowieka.

- O tym samym i ja myślałam ostatnio.

- Okropnie utrudniłem ci życie - rzekł Goram ze smutkiem. - A naprawdę, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

- Przypuszczam, że nie możesz cofnąć przyrzeczenia danego temu waszemu zakonowi?

- Przysięga obowiązuje przez całe życie, dlatego musiałem pożegnać się z tym światem. - Niecierpliwie pokręcił głową. - Wówczas, kiedy składałem przysięgę, byłem młody i pewny siebie, nie przypuszczałem nawet, że spotkam ciebie.

- Ale znasz przecież wiele kobiet.

- Nigdy nie stanowiły dla mnie żadnego problemu.

Matka Lilji zawołała córkę. Czy matkom zawsze tak bardzo brakuje wycucia?

- Muszę wracać do domu - powiedziała Lilja z rozpaczą. - Kiedy znów cię zobaczę?

- Prawdopodobnie nigdy. Czy otworzyłaś już swoją kopertę?

Lilja starała się oddychać głęboko, żeby odzyskać spokój.

- Tak, mam wyjść na powierzchnię Ziemi, razem z Dolgiem.

Goram gwizdnął cicho.

- Całkiem nieźle.

- Dowiedziałam się, że potrzebuję silnego opiekuna. No a ty?

- Mnie nie wręczono żadnego listu, miałem wszak opuścić Królestwo Światła.

- No tak, oczywiście.

Cisza. Nie była ona jednak przykra ani kłopotliwa, a jedynie przepojona niewysłowionym smutkiem.

- Ale najpierw wszyscy mają pomóc w burzeniu murów - powiedział Goram. - A później w ustawianiu rusztowania dla największego Słońca.

- Więc...?

Goram jednak prędko rozwił jej nadzieje.

- Nie, nie, ciebie i mnie umieszczą na pewno jak najdalej od siebie. No, ale matka znów cię woła -uśmiechnął się krzywo. - Nie jest chyba szczególnie zachwycona tym, że prowadzasz się z Lemuryjczykiem, prawda?

Lilja uśmiechnęła się.

- Niepokoi ją raczej to, że jesteś Strażnikiem, i co w związku z tym mogą sobie pomyśleć sąsiedzi.

- Rozumiem. A teraz znów żegnaj, Liljo. Pożegnania weszły nam już chyba w zwyczaj. To dość bolesne. I pamiętaj, uważaj na siebie.

- Ty też.

- Będę uważał. Będzie mi...

Urwał, lecz ona i tak zrozumiała.

- A mnie ciebie. Bardzo.

Żadnych uścisków, nawet podania ręki.

Patrzyła za nim, jak odchodził, lecz nie widziała wyraźnie. On się nie odwrócił.

- Żegnaj, ukochany - szepnęła. - Będę dbała o tę różę.

18

Berengaria siedziała przy stole nakrytym do śniadania i nagle zlodowaciała ze strachu. Stół cały się zatrząsł. Z początku zaledwie odrobinę, jak gdyby ktoś kopnął w nogę, potem jednak zaczął drżeć, aż rozdzwoniła się zastawa, chwilę później zaś nastąpił jakiś straszny przechył, tak mocny, że odruchowo sięgnęła do krawędzi stołu, by się jej przytrzymać.

Prędko wykręciła numer Rama.

- Co takiego się stało?

- Właśnie sprawdzamy.

- Trzęsienie ziemi?

- Nie wiem... Trzęsienia ziemi znamy od dawna. Znamy wybuchy, eksplozje, drgania mające zakres kontynentalny. Ale tu, u nas, nigdy nie wywoływały one tak silnych efektów. To było coś innego.

- No tak, cała Ziemia jakby się nagle przechyliła.

- Masz rację, powinniśmy chyba znów wysłać ekipę geologów na powierzchnię.

- Uf! - westchnęła cicho Berengaria. - Ram, muszę przyznać, że się boję.

- Każdy powinien się bać, na powierzchni Ziemi wszystko się wali, i to na wielu frontach. Panują złe warunki klimatyczne z powodu bezwzględnej ludzkiej żądzy pieniądza, działań mafijnych na czele z korupcją, obejmujących większą część świata. Zaniedbania w sferze produkcji i wykorzystania energii atomowej, roje meteorytów z zewnątrz... Doprawdy, jest się czego bać.

- Nie chcę, żeby nieodpowiedzialni ludzie na Ziemi zniszczyli Królestwo Światła!

- Ja też nie. Mamy przecież po co żyć.

Berengaria zorientowała się, że Ram się zamyślił, i czekała. Wiedziała, że jest bardzo szczęśliwy z Indrą i chcą mieć dziecko, ale czy się odważą?

Uznawszy, że pauza trwa już dostatecznie długo, powiedziała:

- A naszym obowiązkiem jest przede wszystkim chronić niewinne zwierzęta.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby zapewnić im bezpieczne schronienie tutaj.

Na zewnątrz nie miałyby już żadnych szans.

Berengaria westchnęła.

- Wiesz co, Ramie, świat byłby o wiele lepszy bez ludzi.

Ram uśmiechnął się.

- Rzeczywiście może się tak wydawać, ale musisz pamiętać, że w długiej, bardzo długiej epoce dinozaurów to mięsożercy spośród nich terroryzowali świat. Potem pojawiły się drapieżniki. Bez względu na wszystko zamierzamy teraz wyjść na powierzchnię i spróbować zaprowadzić tam jakiś porządek. Wy, potomkowie rodziny czarnoksiężnika i Ludzi Lodu, odznaczający się gorącą miłością do zwierząt, często zapominacie o ludziach, a przecież i wśród nich jest także wielu niewinnych, chociaż ich liczba gwałtownie maleje.

- Prawo silniejszego i tak dalej, owszem, wiem. W każdym razie ja jestem po zęby uzbrojona i gotowa wyjechać na powierzchnię, by walczyć ze smokami.

- Smok to niemowlę w porównaniu z tymi łotrami na zewnątrz!

- Napoimy ich wszystkich uzdrawiającym eliksirem Madragów, będą mi jedli z ręki.

- Tak właśnie trzeba mówić, Berengario. No, muszę się teraz wreszcie do czegoś przydać, do zobaczenia.

- Jak najszybciej! - zakończyła Berengaria podniecona do walki.

Na powierzchnię Ziemi miało się wybrać także kilku Lemuryjczyków. Trzeba było podjąć takie ryzyko i nie zważać już na to, że ich egzotyczny wygląd może wzbudzić lęk u słabszych dusz.

Obcy jednak nie mogli się pokazać, ich wygląd zanadto rzucał się w oczy.

Właściwie szkoda, pomyślała Berengaria, dobrze byłoby mieć przy sobie na przykład Farona. Dobrze i bezpiecznie.

Farona, który nie wziął jej na wyprawę w Góry Czarne.

No cóż, raczej nie uczynił tego z osobistych pobudek. Zapewne panowała powszechna opinia, że Berengaria może skłócić i rozdzielić grupę.

Ale przecież ostatnio w Ciemności dobrze się spisała. Nawet Jaskari tak powiedział, a on przecież był bardzo surowy w ocenach. Berengarię, która wróciła myślą do tych nieprzyjemnych zdarzeń, w jednej chwili ogarnął wielki smutek.

W domu u Miszy odbywało się jego kształcenie. Elis i Natasza byli niezwykle pomocni. Ależ oczywiście, Elenie wolno będzie odbywać z nim lekcje w ich wspaniałym hotelowym apartamencie, inaczej być nie może. Rodzice przez cały czas kręcili się wokół dwojga młodych, przynosili im kawę, jedzenie i wszystko, czego tylko sobie zażyczyli, a nawet więcej. Zaglądali Miszy przez ramię, żeby zobaczyć postępy w nauce, a Elis bez końca komentował wszystko i wspominał czas, kiedy sam był nauczycielem, mówił o własnych metodach. Potrafili też usiąść na sofie cicho jak myszki i tylko słuchać. Nie spuszczaali jednak młodej pary z oka nawet na chwilę.

A młodzi wpadali w coraz większą rozpacz, tak ; bardzo chcieli zostać sami.

Misza zaofiarował się, że odprowadzi Elenę do domu. No ale przecież jak potem wróci? Nie miał własnej gondoli, rodzice bali się też, że pomyli kierunki i nie trafi, wynajdywali coraz to nowe trudności.

Doprawdy, rodzicom często brakuje wycucia.

Misza i Elena siedzieli więc blisko siebie, a ich zmysły płonęły coraz bardziej.

Mijały godziny. Gdy przypadkiem dotknęli się kolanami, Miszy na czole występował pot, a Elena nagle gubiła się w notatkach.

Misza ośmielił się wreszcie oświadczyć:

- Odprowadzę Elenę na postój gondoli.

- Doskonały pomysł - przyklasnęli Elis i Natasza. - Pójdziemy z wami, miło będzie trochę się przejść.

Dlatego prawdziwym szczęściem dla obojga spragnionych miłości młodych ludzi była wiadomość, że zarówno Elena, jak i Misza mają brać udział w rozbieraniu muru.

Tam nareszcie jego mili, pełni dobrej woli rodzice zostawią ich w spokoju.

Przyszedł po nich Strażnik. Z ulgą pomachali na pożegnanie Elisowi i Nataszy.

Staruszkowie mieli łzy w oczach i prosili oboje, a szczególnie, co oczywiste,

Miszę, by byli ostrożni. Bo co będzie, jeśli on spadnie?

Elenę uściskali z pewnym zawstydzeniem.

- Zdaje mi się, że oni mnie lubią - stwierdziła Elena onieśmielona i zdziwiona, gdy wyszli w końcu na ulicę.

- Bardzo cię lubią - odparł Misza z dumą. - Mówili mi o tym. „Miałeś szczęście, Misza, że znalazłeś sobie taką porządną dziewczynę jako pomocnicę”.

„Porządna” nie było akurat tym słowem, które Elena najbardziej chciała usłyszeć.

No a pomocnica?

Nic nie mogła poradzić na to, że poczuła się rozczarowana.

Naturalnie nie pokazała tego po sobie.

- Miło to słyszeć - powiedziała.

Dotarli do postoju gondoli i tam spytała Strażnika:

- Dokąd jedziemy? I co mamy robić? Czy mógłbyś nam powiedzieć coś bliższego?

- Pojedziecie pod mur przy Wschodniej Rzece, do Srebrzystego Lasu. Należy



czym prędzej rozebrać mur i potrzebna nam jest każda para rąk. I męskich, i damskich.

Oboje trochę pobledli. Czyżby mieli się wspiąć na sam szczyt muru, aż do nieba? Wkrótce jednak mogli odetchnąć spokojniej.

- Będziecie uprzętać ziemię i wywozić gruz. Czy możecie przyłączyć się do grupy sprzątającej?

- O, tak, tak już lepiej, bardzo chętnie. A skąd taki pośpiech?

- Geologiczne zmiany na powierzchni Ziemi następują coraz gwałtowniej.

No tak, odczuli to na własnej skórze i długo na ten temat dyskutowali. Wszystko się tak strasznie zatrzęsło. O tak wczesnej godzinie każde z nich było u siebie i myślało o tym drugim, żalując, że w strasznej chwili nie mogą być razem.

Elena zauważyła, że Misza podczas przeprawy gondolą siedzi strasznie napięty. Czyżby jeszcze nie przywykł do jazdy w powietrzu? Zmartwiła się.

Położyła mu rękę na kolanie, a Misza drgnął gwałtownie. Cóż, nie był to widocznie właściwy moment na wyrazy czułości.

Kierowca wysadził ich w Srebrzystym Lesie i tam zostawił. Gondola nie mogła bardziej zbliżyć się do muru.

Gdy podnieśli głowy i popatrzyli w górę, oczom ich ukazał się zdumiewający widok. Wielu Strażników, zresztą nie tylko, demontowało mur, a ponieważ był on właściwie niewidzialny, wyglądało to tak, jakby ci ludzie pracowali zawieszeni w powietrzu. Gondole przez cały czas latały tam i z powrotem, transportując wielkie fragmenty muru. Miały być przeniesione i stopione w olbrzymiej fabryce.

Po drodze przez kolejną polanę Srebrzystego Lasu Elena i Misza natknęli się nagle na parę wielkich zwierząt. Jedno miało poroże nieprawdopodobnych rozmiarów.

Misza krzyknął i uczeplił się ręki Eleny.

- Spokojnie! - powiedziała dziewczyna. - To jelenie olbrzymie Tsi i Siski. Nie są groźne.

Lecz i jej głos trochę drżał. Zwierzęta były rzeczywiście ogromne, górowały nad

nimi jak kolosy.

Misza gapił się na piękne stwory i próbował wyrównać puls. Zwierzęta posłały im dostojne spojrzenia i zmieniły kurs. Wolnym krokiem oddalały się od tych małych ludzkich robaków.

Misza poczuł, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Mówił sobie, że to przecież naturalne, nie był wszak przyzwyczajony do żadnej z tych dziwnych rzeczy w jego nowym widzialnym świecie, lecz w głębi ducha czuł, że takie usprawiedliwienie nie jest wystarczające. Było też coś jeszcze, coś w nim samym.

Owszem, pragnął żyć, przeżyć życie w stu pięćdziesięciu procentach. Kochał je, był spragniony, głodny wszystkiego.

Lecz mimo to coś wciąż go powstrzymywało.

Westchnął i ruszył za Elena, która mruczając pod nosem dreptała przodem. Misza nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła, lecz były to najwidoczniej błahostki, po prostu miała ochotę sobie pogadać.

Nagle coś sobie uświadomił. Elena go potrzebowała! Potrzebny był jej ktoś, z kim mogła porozmawiać, wspólnie na głos pomyśleć, nie zważając na słowa.

Bo to właśnie teraz robiła, myślała na głos. Czyżby była aż tak samotna? Ona? Ta piękna Elena? Wsłuchał się w kilka zdań: „...a kiedy śmiga gałązka, człowiek podrywa się z myślą, że ktoś uderzył go w nogę...” Zrozumiał, że dziewczyna nie pragnie wcale żadnej odpowiedzi. Chciała jedynie, by ktoś pozwalał jej na mówienie.

Misza się wzruszył. Elena była jego koleżanką, przyjaciółką, choć akurat teraz poruszała się tak prędko, że musiał bardzo się wysilać, by dotrzymać jej kroku, aż rozboleły go wszystkie nowe mięśnie.

Tak, odważył się nazwać ją swoją dziewczyną! 'Wiele razy czuł, że tak właśnie jest, kiedy razem siedzieli pochyleni nad lekcjami i przypadkiem napotykał jej błyszczące spojrzenie. Albo gdy poczuł jej kolano lub stopę, nigdy się przed nim nie cofnęła. Pamiętał dotyk jej nagiego miękkiego ramienia przy swoim i wrażenie uda przy udzie, podniecające ciepło i jej dłonie, jak dotykały jego dłoni i nie cofały

się, dopóki matka albo ojciec nie popatrzyli w tę stronę.

Niekiedy ogarniał go prawdziwy gniew na rodziców i wstydził się wtedy, bo przecież oni byli nieopisanie życzliwi.

I krótkowzroczni. Czyżby absolutnie nic nie rozumieli?

Byli teraz z Elena sami w lesie. Nareszcie sami. Czy wolno mu ją spytać... ale o co? Co się mówi w takich momentach?

To niemądre, że tak mało akurat o tym wiedział. Żadne zajęcia w szkole też by mu nie pomogły, nigdy też nie miał okazji, żeby spytać Elenę o wszystkie te tajemnice, które, jak przypuszczał, istnieją w życiu. Litery, słowa, pismo, jakie znaczenie to wszystko ma tutaj? Co trzeba powiedzieć, jak postąpić?

Elena odwróciła się tak gwałtownie, że aż dech zaparło mu w piersiach.

- Widzę już mur - oświadczyła triumfalnie. - Jesteśmy na miejscu.

A tu było już za dużo ludzi. Misza ciężko westchnął.

19

Znali sporo osób, które pracowały w tym miejscu. Byli tu Tsi i Siska - jako rodziców mających małe dziecko nie zamierzano ich wysłać w świat na powierzchnię Ziemi. Z tego samego powodu w domu zostawała Miranda z Gondagilem. Dziećmi na razie zajęli się uszczęśliwieni dziadkowie, to znaczy Gabriel wraz z rodzicami Tsi, którzy doszli już do siebie po strasznie długim pobycie w wykopanej w ziemi jamie. Całym sercem kochali swoją śmiałą wnuczkę Gwiazdeczkę.

Wszyscy Madragowie męskiego rodu pracowali wzdłuż muru, w tym miejscu akurat był Tam, a ponadto cały tłum innych mieszkańców Królestwa Światła.

Elena i Misza zorientowali się, że pracą w okolicy Srebrzystego Lasu dowodzi Faron. Akurat teraz gwałtownie dyskutowała z nim Berengaria.

- Ona jest szalona! - mruknęła Elena. - Przecież nie można tak pyskować Obcemu! Nic dziwnego, że nie pozwolono jej jechać w Góry Czarne!

Misza, tylko szeroko rozdziawiając usta, gapił się na piękną Berengarię. Dawno już zrozumiał, że podziw, jaki dla niej żywił, jest jedynie zachwytem nad tym, co

idealne. Z Elena mieli o wiele więcej wspólnego. Przez ten czas, jaki się znali, coraz bardziej się do niej przywiązywał i wyczekiwał ich prywatnych lekcji w pełnym podniecenia napięciu. Wiedział już, że pokochał Elenę całą swą młodą duszą, no i ciałem.

Elena wciąż stała z ponurą miną, patrząc na swą zadzierającą nosa kuzynkę. Berengaria przestała się już kłócić z Faronem i teraz bardzo swobodnie flirtowała z kilkoma młodymi chłopcami, którzy znaleźli się wśród pracujących. Faron odszedł. Co on myślał, nie wiedział nikt.

- Indra i Berengaria są właściwie tak do siebie podobne, że niekiedy można je ze sobą pomylić. Co prawda nie z wyglądu ani ze sposobu bycia, lecz należą obie do tego samego typu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Misza nie rozumiał, Elena próbowała mu więc to wytłumaczyć.

- Obie są dość śmiałe i bezczelne, lecz podczas gdy Indra jest leniwa i flegmatyczna i prawie wszystko ją bawi, to Berengaria jest rozgorączkowana, jak gdyby bała się, że nie zdąży posmakować wszystkiego. Ona sprawia moim zdaniem wrażenie wręcz wygłodniałej. Głodnej życia.

Ja też taki jestem, pomyślał Misza. Indra powiedziała kiedyś, że ja i Berengaria jesteśmy pod tym względem bardzo do siebie podobni, lecz my także się różnimy. Ona gotowa jest zrobić wszystko, ja natomiast... się boję.

Przykro się przyznać do tego.

Praca była dość łatwa i naprawdę zabawna, przynajmniej z początku. Elena i Misza ładowali na taczkę mniejsze kawałki burzonego muru i przewozili je przez odcinek, w którym większe pojazdy zniszczyłyby wegetację wśród gęstych drzew. Mur zbudowany był z wielkich części, łatwo jednak było zmienić je w proszek, czego chciano za wszelką cenę uniknąć, bo wówczas oczyszczenie ziemi mogłoby okazać się bardzo trudne. Niestety, na górze zdarzały się od czasu do czasu drobne wypadki i właśnie zadaniem młodych było zbieranie odłamków, które spadły.

W powrotnej drodze Misza sadzał Elenę na taczkę i wiózł ją przy

akompaniamencie krzyków i śmiechów. Był to niezły trening dla jego mięśni, ale chłopak prędko się zmęczył. Pracowali coraz wolniej. Wreszcie Elena przestała już siadać na taczkę, ładunek też za każdym razem się zmniejszał.

I nagle, kiedy byli jeszcze w lesie, z góry rozległo się wołanie. Podnieśli głowy i uderzyli w krzyk.

Mur był wprawdzie przezroczysty, lecz mimo wszystko ujrzeli kilka oderwanych kawałów wirujących przez powietrze. W blasku Świętego Słońca błyszcząły, przerażając swoją wielkością.

Misza stracił panowanie nad sobą i rzucił się do ucieczki.

- Chodź, Eleno! - zawołał. Próbował złapać ją za rękę, lecz ona nie ruszała się z miejsca, zaraz więc musiał do niej wrócić.

- No chodź!

Misza zrozpaczony, zdesperowany i śmiertelnie wystraszony, w pierwszej chwili nie zrozumiał, co Elena mówi.

Gdy jej słowa dotarły do niego, zapłonął się ze wstydu. Zatrzymał się w milczeniu.

- One przecież nie spadną na nas - zawołała Elena. - Zleć daleko stąd!

Lecz Elena się pomyliła.

Wielkie płyty rzadko spadają prosto w dół. Jedna z nich, wirując, nieoczekiwanie skręciła w bok, unoszona prądami powietrza, i uderzyła w rosnące w pobliżu drzewo. Nie trafiła ani w Elenę, ani w Miszę, odłamała się przy tym natomiast gałąź i właśnie ona, spadając, uderzyła jednego z pracowników, który nie zdążył uciec.

Był to mężczyzna w zwyczajnym w Królestwie Światła wieku. Zgłosił się dobrowolnie i spotkał go los, jakiego nikt nie przewidział.

Gałąź trafiła go w głowę tuż nad uchem, w jednej chwili osunął się na ziemię.

Wiele osób natychmiast rzuciło mu się na pomoc, ale Misza stał jak przykuty do ziemi i trząsł się na całym ciele. Elena zdołała jedynie wydusić z siebie: „Ach, Boże, dobry Boże”.

Faron natychmiast przejął dowodzenie. Przykląkł na jednym kolanie i delikatnie

uniósł głowę rannego. Wezwał gondolę, by przyleciała najbliżej jak tylko się da.

- On okropnie krwawi! - Berengaria już klęczała z drugiej strony mężczyzny. -

Weźcie moją bluzkę, ona jest jako tako czysta.

Faron zerknął na nią, gdy zaczęła się rozbierać.

- Nie, nie, zatrzymaj ją! - mruknął gniewnie. - Lepiej, żeby któryś z mężczyzn poświęcił swoją koszulę.

Ona kompletnie oszalała, pomyślała Elena. Przecież nie ma nic pod spodem!

Faron dostał od kogoś białą koszulę i podarł ją na pasy.

- Weź ten kawałek - zwrócił się do Berengarii. - I wytrzymaj krew tak starannie jak tylko możesz.

Dziewczyna natychmiast wzięła się do roboty. Elena ciężko przełknęła ślinę.

Przecież Berengaria nie miała żadnego doświadczenia pielęgniarstwa, za to ona była wykształconą pielęgniarką. Stała jednak tylko, bliska omdlenia, czując mdłości ściskające za gardło.

Ale przecież pozwolono jej zrezygnować z dalszego kształcenia właśnie dlatego, że nie miała sił podjąć pracy w tym zawodzie.

Mimo wszystko czuła się teraz taka mała.

Berengaria miała w życiu wszystko, urodę, inteligencję, humor, odwagę...

Ale nie miała żadnej sympatii!

Elena podeszła do Miszy i przytuliła się do niego. On zaraz objął ją ramieniem.

Od razu zrobiło jej się lżej, nareszcie poczuła, że wszystko jest jak należy. To ona była mała i bezradna, on zaś, wysoki, silny mężczyzna, opiekował się nią.

Nic nie szkodzi, że jest równie wstrząśnięty jak ona.

Ludzie działali niezwykle skutecznie. Dwóch mężczyzn pomagało Faronowi i

Berengarii przy rannym, inni przygotowali prowizoryczne nosze.

Elena i Misza nie ruszyli się z miejsca.

Mężczyznę ułożono na noszach i czwórka, która dotychczas się nim zajmowała, podniosła się z ziemi.

- Dziękuję wam wszystkim - powiedział Faron, a potem zwrócił się wprost do

Berengarii: - Doskonale się spisałaś.

- Czy ty mnie chwalisz? - spytała niemal wstrząśnięta.

- Tak, i to nie pierwszy raz.

Zastanowiła się.

- Rzeczywiście - przyznała zdumiona. - Dziękuję.

- Wyruszasz teraz na powierzchnię Ziemi?

- Tak, razem z Jaskarim.

- Bardzo dobrze. To solidny młody człowiek.

- Jedyne, który mnie toleruje.

- Skończ już z tym! - ostro skarcił ją Faron. - Wcale ci z tym nie do twarzy.

Berengaria wyglądała jak pies, który boi się lania.

Odwrócił się od niej.

- Myślę, że wy dwoje możecie sobie teraz zrobić wolne - oznajmił Elenie i Miszy. -

Wróćcie jutro, przydzielę wam mniej ryzykowną pracę.

- Racja - przyznała Berengaria. - Oboje jesteście zieloni, przypominacie dwie osiki w porze gubienia liści. Ale ty, Misza... nie możesz wrócić do rodziców w takim stanie, i to przed końcem dnia pracy. Eleno, weź go z sobą do domu, odpocznijcie i nabierzcie trochę sił, zanim Misza wróci do hotelu.

Pokiwali głowami, nie będąc w stanie mówić, tak szczękały im zęby.

Faron posłał Berengarii spojrzenie pełne uznania. Uradowało ją to jak dziecko, które dostało upragnionego cukierka. Zaraz potem wróciła do swojej pracy przy murze, a Elena z Miszą czym prędzej opuścili plac rozbiórki.

20

Cztery godziny. Mieli dla siebie cztery godziny, potem Misza musiał wracać do domu. Przez ten czas wiele można zdziałać.

Elena czuła się wyśmienicie. Misza nareszcie był u niej, w małym domku - bliźniaku, który dzieliła z jeszcze inną rodziną. Chodził teraz po pokojach, podziwiając pełne smaku przytulne urządzenie, ale jego zdaniem mieszkanie było stanowczo za małe.

- Wybuduję wspaniały dom dla moich rodziców w krainie Timona - oświadczył z dumą. - Tam bowiem teraz też jest całkiem jasno. Ludzie zaczęli już uprzątać i planować. Zastanawiałem się także nad wybudowaniem domu dla siebie, takiego, jaki ma Armas na terytorium Obcych, bo przecież nie mogę przez całą wieczność mieszkać z rodzicami.

- No tak, rzeczywiście nie możesz - odparła Elena z walącym sercem. Ale Misza nic nie powiedział o dzieleniu z kimś tego domu.

Pewnie było na to jeszcze zbyt wcześnie, ale nie dla niej. Nigdy dotychczas nie miała takiej pewności. Ona, którą zawsze wybierano, teraz sama dokonała wyboru. Albo Misza, albo nikt. Wcale nie uważała, że to jej ostatnia szansa, po prostu pragnęła zdobyć Miszę, a on nie pozostawał wobec niej obojętny, tyle było na to dowodów. Berengaria i inne dziewczęta mogły się schować.

Elena nerwowo przygotowała drobny poczęstunek. Żałowała trochę, że nie zdążyła nic upiec, lecz i tak w szafce znalazły się jakieś przysmaki.

Czy odważy się podać mu do kawy likier pomarańczowy? Stała przez chwilę, wahając się z prześliczną butelką w dłoni. Nie, rodzice mogą poczuć od niego alkohol, kiedy wróci do domu, w dodatku nie jest do niego przyzwyczajony, a poza wszystkim nie chciała go zdobywać w taki sposób, jak mówi znane powiedzenie: Nic nie czyni kobiety piękniejszą niż kieliszek wypity przez mężczyznę.

Odstawiła więc likier z powrotem.

- Straszne było to, co się tam zdarzyło - zaczęła, gdy siedzieli na słonecznej, osłoniętej werandzie. Elena wiedziała, że w sąsiednim mieszkaniu nikogo nie ma.

- To prawda - przyznał zamyślony Misza. - I dostałem najtwardszą lekcję.

Popatrzyła na niego pytająco, dyskretnie ocierając kąciki ust, żeby upewnić się, czy nie zostały na nich okruszki ciasta.

Misza westchnął.

- Tak bardzo chciałem być jednym z was, jednym z najdzielniejszej grupy poszukiwaczy przygód.

- Ale przecież już w niej jesteś.



Misza energicznie pokręcił głową.

- Żaden ze mnie poszukiwacz przygód, Eleno. Nie jestem bohaterem!

- Ach, Boże - westchnęła. - Nie odmawiaj sobie odwagi, Misza, zachowałeś się przecież jak prawdziwy bohater, przecież chciałeś mnie chronić! Wróciłeś po mnie, chociaż śmiertelnie się bałeś, to jest odwaga. Nie trzeba wcale wyjeżdżać daleko i walczyć z potworami czy ze Złem we własnej osobie, żeby być bohaterem. Mnie odpowiadasz taki, jaki jesteś.

Ostatnie słowa można było zrozumieć dwuznacznie i Misza natychmiast wykorzystał tę szansę.

- Eleno... Znajomość liter i umiejętność czytania jest na pewno bardzo przydatna, lecz jest tyle innych rzeczy, o których ja nic nie wiem.

Elena poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć.

- Rozumiem, Misza. A co takiego chciałbyś wiedzieć?

W jednej chwili nastrój na werandzie jakby zgęstniał.

- Chodź - powiedziała Elena, ciągnąc go do środka.

Tam było więcej cienia.

Elena usiadła na łóżku, a Misza usadowił się przy niej. Nie mieli przecież aż tak wiele czasu, Misza musiał wracać.

- Czego nie rozumiesz?

Misza odetchnął głęboko.

- Dlaczego tak się ze mną dzieje? Dlaczego mam erekcję i dlaczego chcę być blisko ciebie? Czy możesz mi to wytłumaczyć?

Ach, wielkie nieba, pomyślała Elena. Lekcja wychowania seksualnego? Czy dam sobie radę? Co się mówi w takim momencie?

- Ty i ja jesteśmy różnie zbudowani - zaczęła. - Kobiety różnią się od mężczyzn.

Pragniesz mnie, ponieważ jest we mnie takie miejsce, w które możesz wejść, kiedy masz erekcję, jak to nazywasz. To zresztą właściwe słowo.

- Eleno, właśnie to się ze mną dzieje teraz, ale dlaczego?

- Z tego biorą się dzieci. To, co wtedy wytrysnęło z ciebie, to zaczątek dziecka.

Połowa. Drugą połowę noszę w sobie ja. I dlatego dzieci w równym stopniu należą do mężczyzny, jak do kobiety.

Ratunku, jak ona sobie z tym radzi? Misza jednak przyjmował wszystko całkiem naturalnie.

- Dzieci? Takie jak Gwiazdeczka i Kata?

- Raczej jak Haram. Dziewczynki są dość niezwykle, my nie będziemy mieć takich dzieci.

Ach, co też ona wygaduje? Wypowiada na głos swoje życzenia?

- Ty i ja mielibyśmy mieć dziecko? - powiedział Misza rozmarzony. - Tak, chciałbym tego.

- Ale nie trzeba mieć dziecka od razu - zapewniła Elena czym prędzej. - Samemu można zdecydować, kiedy się ono urodzi.

- To znaczy, że musimy czekać? Czekać z...

Elena słyszała, że Misza oddycha nierówno, ona również czuła się gotowa na jego przyjęcie.

- Nie, nie musimy czekać. Możemy... możemy się do siebie zbliżyć i nie od razu mieć dziecko.

Elena już od kilku dni zażywała pigułki antykoncepcyjne w nadziei, że nadarzy się okazja pozostania z Miszą sam na sam. Teraz jej pragnienie się spełniło.

Delikatnie zdjęła mu koszulę. Zobaczyła ładne ciało, wprawdzie nie umięśnione, lecz zgrabne. Zauważyła, że Misza skrzywił się, jakby coś mu dokuczało.

- Co się stało? - spytała odsuwając się.

Misza roześmiał się zakłopotany.

- Nogi mnie bolą. Chyba za dużo chodziłem tam pod murem.

- Pewnie tak, to bezmyślność z mojej strony. Chcesz się położyć?

- Tak, jeśli ty położysz się koło mnie.

Elena nie kazała się prosić dwa razy, ale najpierw zdjęła bluzkę.

Długo na nią patrzył.

- Wtedy w szpitalu... Kiedy pozostawałaś pod urokiem tej czarownicy... byłaś bez

majtek?

- Tak, czy chcesz, żebym teraz...

-Tak - przerwał jej entuzjastycznie. - I resztę także!

Elena zsunęła sandały i rozebrała się do naga, powoli, czując, że serce i całe ciało ogarnia szalone wzburzenie. Misza także się rozebrał, ale on robił to tak prędko, że aż ręce mu się plątały. Oddychał jak przerażony młody zajączek. Gdy zobaczył ją nagą, westchnął. Nie było najmniejszej wątpliwości, że jest gotów.

Teraz na Elenę przyszła kolej, by działać dalej. Wiedziała, że być może za szybko posuwają się naprzód, brakowało tu pieszczot i pocałunków, innych dowodów czułości, lecz teraz było już za późno. Elena zaczęła jednak od ujęcia jego twarzy w dłoń i pocałowania go, gorąco i szczerze. Było to dla Miszy nieznanym doświadczeniem, znać jednak było wyraźnie, że bardzo mu się spodobało. Gdy tylko bowiem go puściła, on zaraz wszystko powtórzył za nią i teraz on decydował, co się działo.

- Świetnie, Misza - szepnęła Elena.

Ułożyła się, no a przecież nawet najbardziej niedoświadczony człowiek potrafi słuchać swoich popędów. Męskość Miszy sama wiedziała, czego ma szukać, przynajmniej mniej więcej, Elena dyskretnie mu pomogła.

- Ja też nigdy tego nie robiłam - zwierzyła mu się.

Podniósł głowę.

- Naprawdę?

- Tak, po prostu nie chciałam, nie chciałam z żadnym innym chłopcem.

Było to kłamstwo, lecz piękne.

- No tak, przecież wiem o tym - wyjąkał, a zęby mu szczękały od ogromnego napięcia. - Powiedziałaś wtedy coś podobnego. „Czyżbym nigdy nie miała poczuć w sobie mężczyzny?” Wtedy w ogóle nie zrozumiałem, o co chodzi, teraz już wiem.

- No tak. Posłuchaj, sprawisz mi trochę bólu, bo to pierwszy raz, ale tym wcale się

nie przejmuj - prosiła. - Ja tego pragnę, tak samo jak ty. O, tak, teraz jesteś w dobrym miejscu.

Misza również to poczuł. W głowie mu się zakręciło, wstrzymał oddech, gdy w nią wchodził, lecz niestety, nad popędami nie tak łatwo zapanować. Elena z całej siły zacisnęła zęby z bólu, gdy chłopak nagle przestał się wstrzymywać. Usłyszała jego przeciągłe westchnienie i wiedziała, że całkowicie oddał się rozkoszy.

Zaraz potem wszystko bardzo prędko się skończyło. Stanowczo zbyt prędko, zdaniem Eleny, lecz Miszy brakowało przecież doświadczenia. Później na pewno ułoży im się znacznie lepiej.

Już ona go wytrenuje. To będzie wielka przyjemność.

- Nie przeżyłem nigdy nic wspanialszego - westchnął Misza.

Uśmiechnęła się zadowolona. Nareszcie niezdecydowana Elena znalazła swego życiowego partnera.

## CZĘŚĆ TRZECIA

### CZARNE PTAKI

21

Mur usunięto szybciej, niż się tego spodziewano, i wszyscy byli z tego powodu bardzo zadowoleni.

Nadszedł czas zapalenia największego Słońca. Tego, które miało oświetlić całe wnętrze Ziemi. „Wszyscy” wybrali się zobaczyć Ciemność, można było bowiem poruszać się teraz swobodnie, mur nie zagrażał drogi. Różne ludy poznawały się ze sobą, nikt nie robił kwaśnych min. Elixir Madragów podziałał jak należy. Wielkie Święte Słońce postanowiono ustawić w Górach Czarnych, dokładnie ponad Królestwem Światła. Planowano je umieścić tak wysoko, aby znalazło się w idealnym środku wnętrza Ziemi i świeciło równie mocno we wszystkich kierunkach.

Wybór padł na Góry Czarne po części dlatego, że tam wznosiły się najwyższe szczyty, niepotrzebna była więc budowa bardzo wysokiego masztu, po części zaś dlatego, że cokół, który miał je podtrzymywać, musiał być tak ogromny, że zająłby zbyt wiele miejsca w zamieszkanym okolicach, a w dodatku wyglądałby brzydko i niezgrabnie.

Metody, dzięki której Słońce unosiłoby się swobodnie w powietrzu bez jakiegokolwiek podparcia, Madragowie jeszcze nie wymyślili, liczyli jednak, że z czasem tak się stanie.

Oczywiście zwykli ludzie nie wybierali się w Góry Czarne, zostali u swych nowych krajan i stamtąd mieli obserwować zapalenie Słońca.

To Faron wybrał tych, którzy wyprawiali się w Góry Czarne. Zrobił to na spotkaniu u Marca.

- Tym razem pojedziemy w Góry Czarne gondolami. Erion i ja pragniemy zabrać z sobą następujące osoby: trzech Madragów, Tama, Ticha i Chora. Marca, Móriego, Dolga, Rama i Indrę, bo nie odmówię sobie jej komentarzy. Strażników Telia, Kira, oczywiście z Sol, i Gorama, Jaskariego, a także oba duchy powietrza, Shirę i

czarnoksiężnika.

Przejrzał swoje papiery.

- No i Geriego i Frekiego, bo przecież wilki najlepiej znają Góry Czarne.

Kolejny raz bacznie przyjrzał się liście i dodał:

- I jeszcze Berengarię.

Ci, którzy stali najbliżej, usłyszeli, jak dziewczyna głośno wypuszcza powietrze z płuc, i zrozumieli, że przez cały czas wyczytywania listy musiała siedzieć jak na szpilkach.

Jeszcze jednej porażki raczej już by nie zniosła.

- I Tate - rozległ się głos malej Madrażanki. -I Wiazecke.

- To dopiero - w głosie Farona wyraźnie dźwięczał śmiech.

- A dlaczego właściwie mielibyśmy ich nie zabrać? - Ram był tak samo rozbawiony. - Przecież to nie jest niebezpieczna wyprawa.

- Cóż, nie do końca się z tobą zgadzam.

Wtrąciła się Indra:

- Uważam, lista jest bardzo dziwna. To chyba zadanie głównie dla monterów, nie dla nas. I co my, dziewczęta, będziemy tam robić?

Zamiast Farona odparł Erion:

- Monterów już wybrano, będą gotowi do wyjazdu wraz z wami, ale Góry Czarne są dość przerażające, sami chyba o tym wiecie. Faron dużo o nich opowiadał.

Czeka was zadanie, którego wcale się nie spodziewaliście.

- A co takiego?

- Przekonacie się później. Monterzy potrzebują waszej pomocy, po prostu.

Tyle musiało im wystarczyć.

Gdy opuszczali pałac Marca, niejeden kręcił głową.

Dziwnie było znów zobaczyć Góry Czarne. Napłynęły wspomnienia, gdy patrzyli na zniszczone doliny, na olbrzymią fabrykę, po której pozostały teraz same ruiny, na wzgórza, którymi wędrowała czwórka wybranych...

Marcowi ciarki przeszły po plecach.

- Wiele z tych zniszczeń to moje dzieło. Niezbyt przyjemnie jest się do tego przyznawać.

- Bez ciebie nie dalibyśmy sobie rady - uspokoił go Faron. - I jak, Geri i Freki, znaleźliście już odpowiedni szczyt?

Freki warknął w odpowiedzi:

- Najwyższy jest za ostry, brak na nim miejsca na jakikolwiek cokół. Lecz jeśli spojrzysz bardziej w prawo od niego, zacny Obcy, to ujrzysz inny wierzchołek, niemal równie wielki. Uważamy z Gerim, że ten mógłby się nadać.

- Całe szczęście - mruknęła Indra. - Przynajmniej nie musimy lądować na Górze Zła!

Kata, wychylona przez okno, przyglądała się okolicy.

- Baldzo ciemno - powiedziała z ponurą minką.

- Rzeczywiście, ciemno - przyznała Berengaria. Ona także widziała te góry po raz pierwszy i wewnątrznie cała drżała.

Wielu uczestników poprzedniej ekspedycji nie wybrało się z nimi. Nie było Joriego, Armasa ani Yorimoto, Oka Nocy i Sassy ani też innych duchów. Nowi w tej gromadce, oprócz niej samej, byli Jaskari, Móri i Goram. Czwórka pominięta poprzednim razem, która bardzo to przeżyła.

Berengaria, popatrzawszy w dół na Góry Czarne, wyobraziła sobie, jakie piekło musiała przejść tutaj poprzednia wyprawa, i trochę ją to uspokoiło. Może lepiej, że ominęły ją takie przeżycia?

Towarzyszył im cały rój gondoli. Mniejsze przewoziły ludzi, większe - części masztu, największa zaś gondola w Królestwie Światła, „Kondor”, miała latać tam i z powrotem jak olbrzymi szerszeń i przewozić najcięższe części.

- Oglomna dondola - stwierdziła Kata z podziwem.

Powoli stawało się widoczne, że Gwiazdeczka zaczyna wyprzedzać Katę w rozwoju. Mała panienka, w której żyłach płynęła krew elfów, siedziała na kolanach u Marca i komentowała wszystko, co widziała, wyraźnie wymawiając już „r” i

właściwie większość innych głosek Wciąż jednak dziewczynki były nierozłączne. Wszyscy pomieścili się w jednej dużej gondoli. Gdy krążyła ona nad górami w poszukiwaniu najlepszego miejsca do lądowania, Faron wyjawił wreszcie, dlaczego ich zabrano.

- Zapomnieliśmy o czymś, gdy byliśmy tu ostatnio - zaczął z powagą. - Wy, którzy braliście udział w tamtej ekspedycji, pamiętacie być może, że ostatniego dnia duchy wyгнаły zwierzęta z gór, by ocalić je przed niszczącą złą wodą i uratować przed wielką katastrofą.

W odpowiedzi pokiwali głowami.

Faron podjął:

- Nie skończyło się to najszcześliwiej, wśród zwierząt było kilka drapieżników i one bardzo uprzykrzyły życie mieszkańcom najbliższych terenów Ciemności, zanim powróciły w te góry.

- Wiadomo, ile ich było? - spytał Marco.

- Jedno stado liczące siedem zwierząt, nie więcej.

- Uf - westchnęła Indra.

- Tak, ale one nie są najgorsze - przyznał Faron. - Kompletnie zapomnieliśmy jeszcze o czymś.

- A o czym to?

- O czarnych ptakach.

- Rzeczywiście - westchnął Dolg. - One nam się wymknęły.

- Tak, i przez jakiś czas pustoszyły pewne tereny w Ciemności, teraz jednak powróciły tutaj, jak gdyby przyciągała je ta ponura sceneria. Naszym zadaniem jest chronić monterów przed nimi, no i unieszkodliwić je, a także tamte siedem drapieżników. Z ptakami rzecz przedstawia się najtrudniej.

- Ale czy w tej sytuacji Yorimoto i łucznik Mar nie przydaliby się bardziej? - zdziwiła się Indra.

Faron posłał jej surowe spojrzenie.

- Ptaków nie należy zabijać, Indro. Wy, których zadaniem będzie je odszukać,



zostaniecie wyposażeni w broń oszałamiającą, a gdy ptaki spadną na ziemię, zrobicie im zastrzyk z eliksiru. To samo dotyczy drapieżników.

Wyglądał niezwykle atrakcyjnie, gdy tak stał na dziobie gondoli odwrócony do nich twarzą, wysoki, obdarzony bardzo szczególną urodą, i patrzył na nich surowym spojrzeniem. Był jak z innego świata.

Marco mocniej przytulił do siebie Gwiazdeczkę.

- Nie powinniśmy byli zabierać z sobą dziewczynek.

- Staralem się do tego nie dopuścić, ale kto potrafi odmówić Kacie?

Madragowie uśmiechnęli się.

- Będziemy ich pilnować - obiecał Chor. - I przy najmniejszym zagrożeniu od razu pobiegniecie do gondoli, prawda, Kato i Gwiazdeczko?

- Tak zrrrobimy, Chorr - przyrzekła Gwiazdeczka.

- Spójrzcie tam! - zawołała nagle Berengaria.

Popatrzyli w dół, ich oczom ukazało się przepiękne zielone zbocze, schodzące prosto w Złą Dolinę z jej zniszczonymi fabrykami.

- Spodziewałem się tego - powiedział Marco. - Właśnie tu rozlałem jasną wodę.

Popłynęła w dół i trawa zaraz zaczęła kiełkować.

- No właśnie - powiedział Faron. - I takie będzie wasze zadanie, Indro, Berengario i Sol. Dostaniecie zapas rozcieńczonej wody i będziecie ją wylewać do strumieni albo wprost na ziemię. Już wkrótce w tych dolinach zrobi się zielono i pięknie.

Same musicie zdecydować, gdzie woda jest najbardziej potrzebna.

- Przyjemne zadanie - stwierdziła Sol. - Planujecie zrobić to samo w Ciemności, prawda?

- Już nawet zaczęliśmy, na południu. Woda przynosi wprost niewiarygodne efekty.

- Ale w jaki sposób zdołamy odnaleźć ptaki? - spytał Ram. - Może ich przecież być kilka stad.

- Duchy powietrza pomogą wam je zlokalizować - uśmiechnął się Faron. - A przed nimi, możecie mi wierzyć, nie ukryje się nawet piórko.

Uznali, że to dobry pomysł.

Gondola, zataczając kręgi, schodziła na wskazany szczyt i wylądowała na wielkim płaskowyżu, będącym w całości pradawną skałą. Pozostałe gondole skupiły się wokół niej, jak stadko wron przy zdobyczy. Nawet „Kondor” zmieścił się na obszarze, w którym zamierzano wznieść fundament cokołu. Dobrze wybrano wierzchołek.

Najmłodsze dziewczynki zostały u Madragów, których zadaniem było wspieranie monterów siłą i dobrą radą. Pozostali mieli rozproszyć się na wszystkie strony gondolami.

Nad pościgiem za drapieżnikami dowodzenie objął Faron. Erion zaś zabrał tych, którzy mieli zestrzelić ptaki.

Problem polegał na tym, że aby trafić w bestie, należało się do nich zbliżyć, a jeśli spotkają liczne gromady ptaków, sytuacja mogła stać się krytyczna. Należało działać prędko.

Indrze, Sol i Berengarii wyznaczono doliny, w których miały rozlewać jasną wodę, i każdej przydzielono opiekuna uzbrojonego w oszałamiający pistolet. Dziewczęta także były uzbrojone. Sol naturalnie eskortował Kiro, lecz Ram potrzebny był gdzie indziej, Indrze więc zamiast niego towarzyszył Goram. Berengarii przydzielono Jaskariego. Nastąpiła tu drobna pomyłka, jako że żadne z nich nie było wcześniej w Górach Czarnych. O tym jednak w tej akurat chwili nie pomyślał nikt.

- Jak tu ciemno - zadrżała Berengaria, gdy stanęli na płaskowyżu, gotowi, by wyruszyć.

- Ha! - prychnęła Indra. - To przecież nic takiego! W wielu miejscach w Ciemności ustawiono Słońca, zlikwidowano mur, a więc to prawdziwy poranek w stosunku do tego, co my tu zastaliśmy.

- I tak jest dostatecznie ciemno - burknął Tich, który ustawiał latarnie, aby monterzy mogli pracować.

- Zwłaszcza w dolinach - dodał Ram. - Ale nie ma już takich ciemności jak przedtem.

Na szczycie wiał zimny wiatr, wszyscy marzli i czuli się dość nieswojo. Nad górami wisiała ciężka ponurość, jak gdyby zamieszkał tam los w swej najczarniejszej postaci.

- No cóż, ruszamy - oświadczył Faron, otrząsając się z nieprzyjemnego uczucia.

22

- Ależ tu strasznie! - powiedziała Berengaria do Jaskariego.

- Masz rację - odparł z cierpką miną.

Ledwie odstawili gondolę w strategicznym miejscu, a już zorientowali się, jakim błędem było wysłanie ich dwojga, uczestniczących po raz pierwszy w ekspedycji do Ciemności, na tak ważne zadanie jak to. Jaskari nie omieszkał zgłosić swych zastrzeżeń Faronowi i porządnie naprychał mu przez telefon, a wysoko postawiony Obcy głęboko się zadumał, i to wcale nie nad złością Jaskariego, lecz nad własną bezmyślnością. Owszem, rzeczywiście tak jak mówił, Berengaria najlepiej współdziałała w parze z Jaskarim, i co do tego akurat miał rację, ale teraz przykazał im jak największą ostrożność. Dolina, w którą zeszli, była tą samą, gdzie na początku trafiły Juggernauty, pełna głazów z kamiennych lawin i przysypanych przez nie ukrytych starych siedzib. Nie była to piękna dolina, a przy tym tak opustoszała, że drapieźniki nie mogły tu przebywać. Ptaki natomiast swobodnie poruszały się wszędzie.

„Czy nie możecie przysłać nam tu Geriego albo Frekiego”, prosił Jaskari, „czulibyśmy się bezpieczniej”. Ale nie, wilki towarzyszyły tym, którzy polowali na drapieźniki. Pełniły funkcję psów tropicieli. W tej grupie był sam Faron, polecił, by Jaskari dał mu znak, gdy tylko natrafią na najmniejszy nawet ślad niebezpieczeństwa. Poza tym duchy powietrza miały jako taką kontrolę nad ptakami, zlokalizowały dwa wielkie stada.

Określenie „jako taka kontrola” nie bardzo spodobało się Jaskariemu.

- Musimy znaleźć strumień - oświadczyła pełna energii Berengaria. -

Wykorzystamy jasną wodę najlepiej, jeśli wylejemy ją na jakieś zbocze, na przykład do wodospadu.

Niestety, ta dolina wydawała się sucha i kamienista. Wiele dolin powstaje na skutek wyżłobienia przez rzekę koryta, tu jednak nie było żadnej rzeki ani jeziora, nic.

Jaskari w mrocznym świetle przyglądał się pełnej zapału Berengarii i myślał sobie, jakąż to miłą osobką właściwie jest ta dziewczyna. Chyba tylko on dostrzegł tę jej stronę. Z chęcią zaprzyjaźnił się z nią bliżej, wyglądało jednak na to, że ona w najlepszym razie traktowała go jedynie jako „serdecznego przyjaciela”.

Tymczasem Jaskariemu jakby przestało to już wystarczać...

- Tam! - wykrzyknął.

Wskazał w górę jednego ze zboczy, dość daleko. Widniało tam coś, co w istocie mogło być strumieniem, a może nawet niewielkim wodospadem. Dokąd spływał, pozostawało zagadką, w dolinie bowiem z całą pewnością nie było wody. Może zniknął pod ziemią? zasugerowała Berengaria, chichocząc.

- Polecimy tam gondolą - zdecydował Jaskari. Na piechotę za daleko.

- Leń! Ale czy mogę upuścić tu chociaż jedną jedyną kroplę jasnej wody? Tylko po to, żeby się przekonać, jak to działa.

- Kropla nie na wiele się zda - oburzył się Jaskari. - Ale jak chcesz, to proszę.

Berengaria wyjęła swoją buteleczkę. Przez dolinę przemknął wiatr, wyjąc głucho wśród starych głazów, które były świadkiem zbyt wielu smutków i tragedii.

Kropelka upadła na ziemię. Czekali.

- Sama widzisz - powiedział Jaskari. - Nic się nie dzieje. Czego się spodziewałaś po czarnej lawie?

- Właśnie na lawie wiele może wyrosnąć - zaprotestowała Berengaria. - I popatrz tutaj, obsydian, szkło wulkaniczne!

Jaskari przyjrzał się czarnym lśniąco-kamieniom, wystającym z usypiska w drodze do gondoli.

- Piękne - przyznał. - Wypalona na szkło lawa. Uważa się, że w taki właśnie sposób zniszczona została Sodom i Gomora, piekielnie wysoka temperatura spaliła wszystko na obsydian. Znalezione tam podobne kamienie. Wezmę jeden z

sobą.

- Ja też.

Berengaria schyliła się, żeby znaleźć odpowiedni, nieduży kamyk, wzrokiem powiodła po ziemi za ich plecami.

- Jaskari, popatrz - szepnęła.

Chłopak odwrócił się, poświecił latarką. Za nimi na udręczonej ziemi rozpościerał się lśniący szmaragdowy dywan.

- Ta kropelka - powiedział cicho. - Ach, Berengario, jakież to nieopisanie piękne. I... takie wielkie. Oczywiście mówiąc w przenośni.

- Wciąż zdarzają się cuda - szepnęła cicho dziewczyna. - I to cuda dobre.

Lecz gdy Jaskari mówił o nieopisanym pięknie, zerknął też na nią. Bo w wiecznie panującym tutaj zmroku Berengaria wyglądała co najmniej równie cudownie jak zielona trawa w udręczonej dolinie.

W tym czasie na szczycie góry pracowano ciężko i efektywnie. Dziewczynki w gondoli zatykały uszy palcami, gdy wielkie świdry wżerały się w skałę, by przygotować zamocowanie dla cokołu.

Postanowiono rozciągnąć od masztu na wszystkie strony grube stalowe druty i przymocować je do skał otaczających płaskowyż. Ale to zadanie na później, teraz najważniejszy był fundament.

Dziewczynki w gondoli nieprzerwanie rozmawiały ze sobą. Uznały, że w tym dziwnym miejscu jest zimno, ciemno i za dużo hałasu. Madragowie zaglądali do nich od czasu do czasu, pilnując, by nie narobiły zbyt dużo bałaganu.

Gwiazdeczka była zdolna do wszystkiego, a Kata skoczyłaby za nią w ogień.

Latarnie zapalone na zewnątrz pomogły rozwiać nieco ponury nastrój wśród tych gór strachu. Robotnicy często myśleli o tych, którzy dobrowolnie wyprawili się w mroczne doliny, by pojmać drapieżniki. Ci poszukiwacze przygód... Podobno byli wśród nich tacy, którzy naprawdę potrafili czarować. W grupie znajdował się książę Marco, czarnoksiężnik i jego syn, Obcy, prawdziwa czarownica, co prawda

dobra, lecz niekiedy złośliwa, no i jeszcze duchy, oraz najpotężniejsi ze Strażników. Silna grupa, ale w jej skład wchodziły również młode kobiety. Że też miały tyle odwagi...

Robotnicy spoglądali na górską krainę, poprzecinaną głębokimi dolinami, i ciarki przechodziły im po plecach. Przecież i tak strasznie było stać tutaj, gdzie zimno przenikało do szpiku kości.

Mówiono im o ptakach, o wielkich, czarnych drapieżnych ptakach, których należało się wystrzegać. Monterzy od czasu do czasu zerkali na Strażnika Telia, wyznaczonego do ich ochrony. Polecono im także czym prędzej chować się w gondolach, gdyby ptaki ruszyły do ataku. Drapieżników natomiast obawiać się nie musieli, podobno nie opuszczały dolin.

Uf, monterzy przyspieszyli tempo, cóż to za okropne miejsce!

- Aha - powiedziała zadowolona Indra. - I co ty na to, Goramie? Nie najgorzej, prawda?

- Wyznaczono nam najtrudniejszą dolinę - pokiwał głową. - Tę ze zniszczonymi fabrykami. No i proszę, cała dolina, wszędzie tam, gdzie przedtem była zupełnie naga, teraz jest zielona.

- Znaleźliśmy ten wodospad, który w nią spływał - przyznała Indra. - Właściwie więc nasze zadanie wcale nie było takie trudne.

Miała wielką ochotę spytać go, jak się układa między nim a Lilją, podejrzewała jednak, że ten temat to dla niego świeża rana, uznała więc, że lepiej milczeć. A to jak na Indrę było dużym osiągnięciem.

Goram ciągnął:

- Wszystkie te straszne budowle zostaną stąd usunięte, gdy tylko zaświeci Święte Słońce.

- Tu może się zrobić naprawdę ładnie, Goramie.

- Bez wątplenia. A teraz chodź, wracamy na szczyt.

Poszła za nim do gondoli w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Doskonale rozumiała Lilję. Goram był wspaniałym Lemuryjczykiem i miał też w sobie coś z

czystości Galahada.

Indrze szczerze było żal młodziutkiej dziewczyny. Nie można przecież zakochać się w świętym!

Kirowi i Sol nie poszło równie łatwo.

Przydzielono im dolinę, w której tak długo stał i gdzie wciąż jeszcze leżały szkielety czerwonookich wojowników.

Mieli kłopoty ze znalezieniem jakiejś wody, zorientowali się natomiast, że kości wojowników przyciągnęły niepożądanych intruzów.

Kiro sięgnął po małe mikrofon, który miał na piersi.

- Faronie - powiedział cicho. - Mamy tu trzy drapieżniki. Czy próbować je oszłomić?

- Nie - odparł Faron. - Jedynie w razie najwyższej konieczności. One są trzy, a was tylko dwoje. Trzymajcie się od nich z daleka, zaraz nadejdzie pomoc.

- A co się dzieje u was?

- Marco i Móri mają jakieś kłopoty. Muszą walczyć z olbrzymim stadem ptaków, schronili się wśród skał. Erion pospieszył im z odsieczą.

Usłyszeli, że Faron się uśmiecha.

- Zdaje mi się, że Móri próbuje zakłęb na ptakach. My natomiast tropimy resztę czworonożnych drapieżników, to znaczy robią to Geri i Freki, a Dolg, Ram i ja po prostu za nimi idziemy. Dobrze, że daliście nam znać, bo brakowało nam właśnie trzech sztuk Wilki mówią, że tu są ślady tylko czterech zwierząt.

- Przyjemnego polowania i pospieszcie się!

- Ram już wyrusza, a ja opuszczam teraz Dolga, mam inne zadanie.

- Będziesz się poruszał na sposób Farona - uśmiechnął się Kiro.

- Tak, tak, na sposób Obcych.

- No a Dolg? Czy on da sobie radę sam, przeciwko czterem drapieżnikom?

- Po pierwsze, jeszcze się nie natknęliśmy na zwierzęta, a po drugie, są przy nim wilki, bardzo skuteczna ochrona. W dodatku to potrwa zaledwie chwilę, Ram i ja

wkrótce znów do niego dołączymy.

Głos Farona ucichł. Widocznie bardzo mu się spieszyło.

- Nadlatuje gondola Rama - ucieszyła się wkrótce Sol. - Dawno nie widziałam nic piękniejszego!

W kamienistej dolinie Berengaria z Jaskarim dotarli do wodospadu. Wypływał z płaskiego bagna czy też raczej moczarów, położonych nieco wyżej w górach. O dziwo, wokół bagniska rosło coś w rodzaju lasu, tu i ówdzie z przesiąkniętej wodą ziemi sterczało ku niebu skarłowaciałe, kalekie skamieniałe drzewo. Ogromnie deprymujący widok.

- Przywrócimy wam siłę do życia - przyrzekła Berengaria.

Z nabożeństwem wylali trochę eliksiru w miejscu, gdzie ukazywał się główny strumień, a potem z ogromną radością patrzyli, jak na bagnisku, a potem coraz dalej w dół doliny zaczyna wyrastać mech.

- To tak jakby malowanie naprawdę pięknego obrazu - szepnęła cicho Berengaria.

- Rozumiem teraz całkowite oddanie pracy u malarza tworzącego dzieło.

- Zieleń nie dotarła jeszcze do tego lasu - zauważył Jaskari.

Stali pod jednym z wysokich drzew i przyglądali się swemu osiągnięciu. Drzewo wznosiło się nad nimi czarne i ponure, dziwaczne, miało gęste, sękatę i powykręcane gałęzie. Berengaria nie miała ochoty patrzeć w jego koronę. Przed oczami jawiły jej się jakieś straszne, pokracczne figury.

Jaskari w półmroku patrzył na nią, widział jej płonącą uniesieniem twarz, uśmiech na półotwartych ustach, rozjarzone oczy. Wydawała mu się nieopisanie piękna.

Równie wysoka jak on, smukła i zgrabna, z ciemnymi włosami kaskadą spływającymi na plecy.

Jej wzrost wcale go nie dziwił, urodę i szczupłe ciało Berengaria odziedziczyła po ojcu, wrażliwym poecie Rafaelu, bo jej matka Amalie zawsze była potężną, mocno zbudowaną kobietą. Była jednak przy tym otwarta i wesoła i właśnie usposobienie dziewczyna odziedziczyła po matce.



Coś zatrzeszczało w suchych gałęziach ponad ich głowami.

Berengaria odwróciła się i uściskała Jaskarięgo.

- Poradziliśmy sobie z naszym zadaniem, Jaskari, i poszło nam bardzo dobrze!

Nie mógł się powstrzymać, objął ją i pocałował, oszołomiony radością.

Berengaria popatrzyła na niego zdziwiona, no, ale przecież byli przyjaciółmi, więc...

Gdy jednak Jaskari przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz, teraz już inaczej, odsunęła się od niego gwałtownie.

- Ach, co ty robisz! - jęknęła. - Przestań!

- Berengario, ja...

- Zepsułeś wszystko! - wykrzyknęła rozeźlona, tłumiąc płacz.

Jaskari był wstrząśnięty, że dziewczyna reaguje tak gwałtownie.

- To był tylko impuls, niczego przecież nie zepsułem!

- Owszem, tak właśnie się stało! Zepsułeś naszą piękną przyjaźń. Byłeś moim jedynym przyjacielem, a teraz to już niemożliwe!

Jej głos niósł się echem po bagnie.

- Ależ, Berengario, przecież masz tak wielu przyjaciół.

- Ale nie ma wśród nich mężczyzn. Oni albo mnie unikają, albo się na mnie rzucają. A teraz idź sobie, muszę się uspokoić!

Była tak bardzo wzburzona, że cała aż się trzęsła, Jaskariemu nie pozostawało nic innego, jak wrócić do gondoli i tam na nią czekać. Musiał jednak przyznać, że jest bardzo głęboko urażony.

Berengaria przykucnęła i zasłoniła twarz rękami. Cierpiała, ale nawet nie wydała z siebie jęku.

Moczary pograżyły się w ciszy, Jaskari odszedł daleko.

Po chwili dziewczyna przestała się trząść, lecz nie ruszała się z miejsca, właśnie coś sobie uświadomiła. Odkryła pewną prawdę o sobie.

- O, nie - szepnęła zdumiona i przerażona. - Och, nie, nie!

Raz po raz powtarzała to jedno krótkie słowo, jak gdyby ono mogło w czymś

pomóc. Jakby był to jakiś rytuał albo zaklęcie.

Nagle przeszył ją strach. W koronie drzewa znów coś zatrzeszczało, rozległ się niezwykły, przypominający beczenie dźwięk i olbrzymie czarne ptaszysko sfrunęło w dół. Nieznośnie ostre szpony wbiły jej się w ramiona, a kątem oka dostrzegła otwarty dziób.

23

Berengaria zaczęła głośno krzyżeć, co oczywiście było reakcją jak najbardziej naturalną, ale że tak prędko zdoła wydobyć pistolet z obezwładniającymi nabojami, sama nie przypuszczałaby nawet w najśmielszych snach.

Strzeliła przez ramię i trafiła w upierzoną łapę. Ale już to wystarczyło. Ptaka, wolno, lecz nieubłaganie, ogarniał paraliż i otwarta gardziel nie miała już żadnej mocy, dziób pozbawiony został siły, choć prawie dosięgał już głowy dziewczyny. Lecz potworny drapieżny ptak nie przyleciał tu sam. Na powyginanym kalekim drzewie siedziało ich aż trzy. Nic dziwnego, że drzewo sprawiało tak straszne wrażenie.

Jaskari, rzecz jasna, na krzyk dziewczyny natychmiast przybiegł, był jednak zbyt daleko, a Berengarii od rany na ramieniu zdrętwiała cała ręka i nie była w stanie jeszcze raz podnieść pistoletu.

- Jaskari, na pomoc! - zawołała, gdy do ataku przystąpiły dwa pozostałe ptaszyska.

Odpowiedział jej coś od strony mokradeł, nie słyszała, co mówił.

Potem nagle rozległy się dwa stłumione wystrzały, jeden po drugim, i ptaki spadły niemal wprost w objęcia Berengarii. Uwolniła się od nich, krzywiąc się z obrzydzenia, i odwróciła.

Przed nią stał Faron z obezwładniającą bronią w dłoni. Berengaria chciała spytać, skąd się tu wziął, była jednak zbyt słaba, by cokolwiek powiedzieć. Rana w prawym ramieniu piekła i bolała, przyprawiając ją niemal o utratę świadomości, z lewym nie było aż tak źle.

Faron ukląkł przy niej i zbadał rany.

- Jaskari, ty się zajmij ptakami - polecił, gdy nadbiegł młody lekarz. - Zrób im zastrzyk z eliksiru.

Trochę to było nie w porządku, że lekarzowi nie pozwolono zająć się ranną, lecz Jaskari nie protestował. Wyjął natomiast z kieszeni podręczny zestaw opatrunkowy i zanim zajął się ptakami, podał go Faronowi.

- Musimy się spieszyć - powiedział Obcy, starannie oczyszczając rany Berengarii.

- Właśnie przed chwilą dano mi znać, że drugie wielkie stado ptaków atakuje monterów, a Tell został z nimi sam. Chociaż nie, Indra i Goram chyba już do nich dotarli.

- Ojej! Dzieci! - jęknęła Berengaria. Zaczęła już dochodzić do siebie po pierwszym szoku.

- Na pewno są bezpieczne w gondoli. Monterzy otrzymali rozkaz schronienia się w pojeździe, ale nie wiem, czy wszyscy zdążyli.

- Skąd wiedziałeś, że potrzeba nam pomocy? - spytał Jaskari.

- Dała mi znać jedna z pań powietrza. Miały wrażenie, że grupka ptaków znajduje się gdzieś w innym miejscu i nie ustały, dopóki ich nie odnalazły.

Zarówno Jaskari, jak i Berengaria słyszeli o niezwykłym sposobie, w jaki potrafił poruszać się Faron, i zrozumieli, że nim właśnie musiał się teraz posłużyć.

Nigdzie bowiem nie zauważyli żadnej innej gondoli.

- No już, teraz jesteś jako tako cała - obwieścił Faron. - Możesz iść sama?

- Oczywiście - odparła krótko. - Dziękuję za pomoc.

Podniosła się, lecz natychmiast się zachwiała. Faron od razu wyciągnął do niej rękę, ale dziewczyna gwałtownie mu się wyrwała.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła, nie panując nad sobą, Faron więc posłusznie cofnął dłoń.

We dwóch z Jaskarim wymienili tylko zdumione spojrzenia.

Potem czym prędzej pospieszyli do gondoli. Zostawili ptaki, które wkrótce miały się obudzić, teraz już łagodne i uległe.

Faron ani słowem nie wspomniał, że wcześniej był świadkiem całej tej sceny, jaka

rozegrała się między Jaskarim a Berengarią.

Kirowi, Sol i Ramowi udało się wmusić eliksir trzem drapieźnikom w dolinie. I podczas gdy Kiro z Sol w pośpiechu wyruszyli na zagrożony płaskowyż, Ram powrócił do Dolga i wilków, które w wąskiej dolinie zoczyły cztery drapieźniki. Natomiast Marco, Móri i Erion toczyli bardzo nierówną walkę z pierwszym stadem ptaków. Niektóre atakowały ich, sylwetki innych widoczne były jedynie na tle nieba, gdy siedziały na krawędzi skały, wyraźnie na coś wyczekując. Mężczyznom potrzebne były posiłki, nie mogli jednak na nie liczyć, dopóki rozwścieczone olbrzymie ptaki atakowały monterów na szczycie.

Dziewczynki schowały się pod siedzeniem w gondoli, do której zaczął zaraz napływać strumień ogarniętych paniką robotników, ledwie przybyłych z Królestwa Światła. Tak się akurat złożyło, że przylecieli w bardzo niefortunnym momencie. Madragowie cały czas przekazywali Faronowi raporty o sytuacji na wierzchołku i jak mogli starali się pomagać Tellowi. Obcy miał uczucie, że traci panowanie nad sytuacją.

- Czy wszyscy kierują się na płaskowyż? - spytała Berengaria w gondoli. Była bardzo blada i zmęczona. - A czy przypadkiem ktoś z nas nie powinien ruszyć z odsieczą grupie Marca?

- Owszem, tylko kto?

- Ja mogę iść - zgłosił się Jaskari. - Berengaria powinna już dzisiaj unikać kolejnych bliskich spotkań z ptakami. Zresztą pewnie chciałyby pomóc tam, na górze. Wypuście mnie u Marca, sami lećcie dalej!

Nie wyglądał najlepiej. Chyba bardzo wziął sobie do serca złość, jaką okazała mu Berengaria.

Naprawdę chodzi o to, żeby unikała ptaków? zastanawiała się dziewczyna. Jest ich przecież dość tam na płaskowyżu.

Właściwie jednak odczuwała ulgę, gdy z pomocą duchów odnaleźli wciśniętych między skały mężczyzn, do których miał dołączyć Jaskari. Między nimi dwojgiem

zapanowało niezbyt przyjemne napięcie i Berengaria dobrze wiedziała, że w połowie jest to jej wina. Nie musiała przecież reagować aż tak gwałtownie.

Po tym, jak Jaskari wyskoczył, pozwolili gondoli chwilę zawisnąć w powietrzu i wtedy Faron ustrzelił kilka ptaków. Potem jednak pospieszył z powrotem na szczyt góry i czwórka w dole od tej pory musiała radzić sobie sama.

Sytuacja w dole nie przedstawiała się najlepiej, lecz Berengaria rzeczywiście miała ptaków po dziurki w nosie i nie potrafiła się przemóc, żeby tam zostać i w czymkolwiek pomóc.

- Do czegoś chyba muszę się przydać? - odrobinę agresywnie zwróciła się do Farena.

Nie odwracając się od pulpitu sterowniczego gondoli odparł:

- Owszem, możesz przypilnować dziewczynek.

- One są dobrze chronione. Czy nie mogłabym raczej pomóc Dolgowi zmierzyć się z drapieżnikami? Chyba wolę czworonożne stworzenia.

- Dolg ma dość pomocników, ale podobno jacyś monterzy są ranni, czy mogłabyś się zająć nimi?

- Oczywiście - powiedziała pokornie.

To znów oznaczało ptaki, wstrętne krwiożercze ptaki, krążące wszędzie dookoła.

Ale co tam, nikt nie będzie mówił o Berengarii, że jest tchórzem.

- Naprawdę szczerze mi przykro, że nie zabrałem cię w Góry Czarne na tę pierwszą wyprawę - nieoczekiwanie powiedział Faron. - Rozumiem teraz, jak bardzo musiało cię to zranić. Miałem swoje powody, lecz muszę przyznać, że chyba wszyscy źle cię oceniliśmy.

- Wcale nie - odparła cicho dziewczyna. - Przed chwilą sama właśnie się przekonałam, że jestem źródłem niepokoju.

- Wcale tak nie uważam. Każdy musi być odpowiedzialny za siebie.

Podniosła głowę i popatrzyła na jego proste plecy okryte płaszczem Obcych. Co on widział?

Nie miała odwagi pytać.

- Gdzie się podziela twoja radość, Berengario, ten twój głód życia?

Ton głosu Faron a całkowicie ją zaskoczył, cały był przesycony... smutkiem?

Zrozumieniem?

- Chcę tylko umrzeć - odparła krótko, lecz Obcy bez trudu dostrzegł, że targają nią sprzeczne uczucia.

- Czy ty zawsze musisz tak przesadzać?

- Owszem, muszę! - prychnęła.

Przez chwilę milczał.

- A dlaczego chcesz umrzeć?

- Dlatego, że wszystko tak strasznie poplątałam.

Kolejna chwila milczenia.

- Wyjaśnij mi to! -Nie.

Faron już więcej nie pytał.

Na płaskowyżu panował kompletny chaos. Dokoła leżały oszołomione ptaki, a powietrze aż wibrowało od łopotu ciężkich skrzydeł i przenikliwych krzyków.

Mężczyźni, którzy nie zmieścili się w gondolach, leżeli pod nimi, krzycząc ze strachu. Współtowarzysze Faron a zbili się w gromadkę odwróconą do siebie plecami i strzelali do atakujących straszyleł. Tell dowodził całą akcją, pomagali mu Madragowie, Kiro i Goram. Indra i Sol natomiast próbowały zająć się rannymi, lecz nie miały się gdzie podziąć, monterzy bowiem zajęli wszystkie wolne gondole.

- Przeklęte ptaszyska! - wrzasnęła Indra i zamierzyła się ręką na zbyt natrętnego ptaka.

Faron natychmiast przejął dowodzenie.

- Berengario, urządz w naszej gondoli szpital polowy. Nikomu innemu poza Sol, Indrą, tobą i rannymi nie wolno tam wchodzić. Stop, zatrzymajcie się! - krzyknął do robotników, którzy już usiłowali wdrzeć się do pojazdu. - Odejdźcie stąd, poradzimy sobie, jeśli wszyscy pomogą!

Nadbiegła Indra.

- Faronie, z dziewczynkami niedobrze, skuliły się w kącie i strasznie płaczą.

- Tamie! - zawołał Faron Madraga. - Natychmiast przyrowadź dziewczynki tutaj!

Tam zniknął w wielkiej gondoli, potem Kata i Gwiazdeczka zostały uniesione ponad głowami monterów i wreszcie Tam wyszedł, pod każdą pachą niosąc dziewczynkę.

- Teraz już lepiej, bardzo się o nie niepokoiłem.

Roztrzęsionym małym panienkom wskazano miejsce na ogonie innej gondoli.

Berengaria zaczęła je pocieszać.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, Kato i Gwiazdeczko.

Faron patrzył na nią zadowolony.

- Świetnie, Berengario.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna potrzebuje każdej możliwej pochwały.

- Oklopne tasyska - popłakiwała Kata. - Ciału połwać moich tatusiów.

- O, nie, tego im nie wolno robić, nie bój się, na to nie pozwolimy - zapewniła Berengaria.

Razem z Indra i Sol prędko zorganizowały sobie pracę. W gondoli sporo było środków opatrunkowych i wzburzonym robotnikom zaraz opatrzone poranione ręce i nogi. Ci z monterów, którzy nie zdołali się choć trochę ukryć pod gondolami, mieli też zadrapania na twarzach i skaleczenia na głowie. Nie było żadnych ciężkich obrażeń, lecz wszyscy pozostawali w stanie szoku.

Berengaria zajmowała się akurat mężczyzną, któremu ptak rozorał całe ramię, tak jak i jej, lecz o tym nie wspomniała. Ten człowiek okropnie uskarżał się na swój los i żądał ukarania odpowiedzialnych za to, co się stało. A więc Farona i Eriona.

- Oni robią, co mogą - mrużąc pod nosem broniła ich Berengaria.

Indra i Sol miały własne zajęcia.

- Kata, Gwiazdeczka - zawołała Berengaria. - Czy możecie mi przy tym pomóc?

Dziewczynki wystraszone podeszły bliżej.

- Ojej! Leci klew - powiedziała Kata z pełnym podziwu lękiem.

- Tak, i zaraz ją zatamujemy. Kato, możesz tu przytrzymać, a ja z Gwiazdeczką w tym czasie przygotujemy bandaże?

Dzięki temu najmłodsze uczestniczki wyprawy mogły przestać myśleć o sobie i poczuły się nagle bardzo ważne. Kata mocno zacisnęła rączki na krawędziach rany, aż mężczyzna jeszcze głośniej jęknął z bólu, a sprytna Gwiazdeczka nałożyła mu opatrunek według wskazówek Berengarii. Potem owinęły rękę bandażem. Wszystko poszło jak najlepiej, chociaż nie było czasu na to, by zszywać rany, czekał przecież następny pacjent.

- Pomogłyśmy ci, Bengaria - powiedziała Gwiazdeczka, gdy rannego przesunięto dalej. - Byłyśmy bardzo dzielne, prawda?

- Bardzo - ciepło odpowiedziała Berengaria.

- Możemy jeszcze pomóc, Bengabanga? - spytała Kata.

- Może i tak, ale bardzo wam dziękuję.

- No, proszę, proszę - rozległ się głos Faron przy drzwiach. - Słyszę, że przynajmniej w twoim głosie pojawiły się iskierki życia.

- Czy ty zawsze musisz zaskakiwać mnie od tyłu?

- Nie, przyszedłem tylko z kolejnym pacjentem, ciężko rannym.

Był nim Goram. Mężczyźni, broniąc się przed ptakami, musieli wnieść go do środka. Miał paskudne rany na twarzy i na piersiach.

- Zaatakowały go równocześnie trzy ptaki - powiedział Faron. - A na domiar złego zabrakło mu amunicji.

Berengaria pomyślała z lękiem o czwórce, która walczyła wśród skał, samotna przeciw niemal równie licznemu stadu latających straszydeł.

- Faronie, czy nikt nie może wyruszyć z odsieczą Marcowi i jego grupie?

- Owszem, gdy tylko tutaj zapanuje równowaga. Nikomu nawet się nie śniło, że czarnych ptaków jest aż tak dużo. No, dzięki Bogu, przybywają dwie gondole z Królestwa Światła. Na jednej jest więcej broni i dodatkowa amunicja. Teraz monterzy mogą nam pomóc. Och, gdyby tylko zjawił się „Kondor”! Mógłby rozpędzić i przegonić tych skrzydlatych morderców.



- Ale czy my naprawdę tego chcemy?

- Nie, masz rację. Należy ich uśpić.

Odszedł. Trzy, a raczej pięć dziewcząt natychmiast znów wróciło do rannych.

Zajęły się przede wszystkim Goramem.

Rozpięły mu koszulę na piersi.

- Ach, nie! - jęknęły.

Berengaria natychmiast rzuciła się do drzwi.

- Faronie! - zawołała.

Zaraz do niej przyszedł.

- Faronie, Goram jest śmiertelnie ranny! To strasznie głęboka rana, on naprawdę może umrzeć!

Faron wyglądał na udręczonego.

- To prawda, a to dlatego, że on pragnie śmierci.

- Poślij natychmiast po Jaskariego, my sobie z tym nie poradzimy.

- Sam go tam zastąpię. Wyruszam od razu. Zabiorę tylko więcej usypiających strzał. Starajcie się utrzymać Gorama przy życiu, dopóki nie przybędzie Jaskari.

Berengaria wróciła do gondoli i powtórzyła przyjaciółkom słowa Farona. Goram ocknął się i cicho mówił coś Indrze. Nabrał do niej zaufania, gdy razem wykonywali zadanie.

Indra przytrzymała jego głowę, Sol natomiast bezskutecznie usiłowała zatamować krwotok.

Berengaria usłyszała ostatnie słowa Gorama:

- Pozdrówcie Lilję... i powiedzcie, że ja... czekam na nią... w Świętym Słońcu. Tam ją przyjmę.

- Dobrze, powiem - zaszlochała Indra. - Ale, Goramie, tobie nie wolno umierać, nie możesz, jesteś przecież...

Ale Goram przestał reagować. Dziewczętom nie pozostawało już teraz nic innego, jak opatrzyć mu rany najstaranniej jak umiały, i czekać na Jaskariego. Nie wiedziały, czy Goram jeszcze żyje, czy też nie, obawiały się najgorszego.

Trzy dorosłe kobiety płakały, a dziewczynki z powagą marszczyły czoła.

Wszystko przestało być zabawne. Z zewnątrz dobiegały jedynie ochryple wrzaski ptaków, niektóre miały już dość, uniosły się niczym ostre czarne cienie na tle jaśniejszego nieba i odfrunęły. Na szczęście dosięgły ich celne strzały, zanim zdążyły odlecieć poza granice płaskowyżu. Fatalnie by było, gdyby spadły nie wiadomo gdzie i nie dałoby się ich odnaleźć.

Sytuacja i bez tego była dostatecznie ponura.

24

W ciasnym przesmyku Dolg i Ram byli świadkami najstraszniejszej bitwy między drapieżnikami, jaką można sobie wyobrazić.

Geri i Freki dogonili czwórkę zwierząt, o wiele większych aniżeli się tego spodziewano. Ci, którzy wcześniej zawarli znajomość z tym gatunkiem, wiedzieli już, że drapieżniki są stworzeniami pośrednimi między psami a kotami i przez to po dwakroć niebezpieczniejszymi.

Zamiast jednak mieć na nie oko, wilki wiedzione instynktem myśliwych zanadto się do nich zbliżyły. Rozpoczęła się wściekła walka, której nie zdołały przerwać nawoływania Rama i Dolga. A ktoś, kto kiedykolwiek usiłował rozdzielić walczące psy, doskonale wie, że tego robić nie należy.

Mężczyźni celowali w dzikie zwierzęta, mieli jednak przed oczami taką plątaninę ciał, że nie odważyli się strzelać.

- Są cztery przeciwko dwóm! - zawołał Ram. - Och, nie, musimy je powstrzymać.

Strzelaj! Nawet gdybyś miał trafić niewłaściwe zwierzę!

- Przecież i tak nie zamierzamy zabić tych drapieżników - przyznał mu rację Dolg.

- Ale nasi przyjaciele akurat to starają się zrobić.

Strzelili niemal na oślep, na szczęście dwa pierwsze strzały okazały się celne.

Gdy jednak Geri zorientował się, że obaj jego wrogowie zostali powaleni, rzucił się na pomoc bratu.

- Geri! - ryknął Ram.

Ale wilk go nie słuchał.

Znów strzelili, padł jeden z potworów i Geri.

- Do diabła! - mruknął Dolg.

- Raczej chyba „do wilka” - skomentował Ram.

Kępy sierści podrywały się w powietrze i spadały na ziemię niczym przyszarzały śnieg. Wreszcie Ram wcelował w ostatniego drapieźnika, Freki więc zaraz zaczął się rozglądać za kolejnymi wrogami. Dostrzegłszy jednak znieruchomiałego Geriego, zaczął wyć i obwąchiwać brata.

- Nie, to nic groźnego, Freki, Geri jest tylko uśpiony, zaraz dojdzie do siebie.

Freki, cały zakrwawiony, z plackami powyrywanej sierści, podszedł do nich.

Oczy jarzyły mu się radością.

- Ależ to było przyjemne! - warknął. - Szkoda, że już koniec.

- Nam raczej ulżyło - nie bez goryczy powiedział Ram. - Dziękujemy za „pomoc”.

- To sama przyjemność. Koniecznie dajcie znać, gdy tylko znów będziemy mogli się do czegoś przydać.

Ram wezwał Farona i poprosił o przysłanie gondoli, która przewiozłaby Geriego i ich samych. Ich zadanie już wkrótce będzie wykonane, pozostało im jedynie zrobienie zastrzyków drapieźnikom. Nie muszą obserwować, jak dochodzą do siebie. Co mogli teraz zrobić?

Faron odpowiedział, ale mówił z wysiłkiem i robił przy tym długie przerwy. W tle słychać było jakieś okropne hałasy.

- Jestem u Marca i jego grupy, dowiedziałem się właśnie, że na płaskowyżu trochę się uspokoiło. Polują tam już na ostatnie ptaki i monterzy, którym starcza odwagi, mogą wreszcie wrócić do pracy.

Opowiedział o Goramie i o tym, że Jaskari już do niego dotarł. Innych wiadomości nie miał, zakończył zaś prośbą:

- Na Święte Słońce, przybądźcie tutaj, bo mamy i tu prawdziwy kryzys!

- No, najwyższy czas, żebym się czymś wykazał - stwierdził Dolg. - Na razie nie zrobiłem nic.

- Cóż - mruknął stojący przy nim Ram. - Wydaje mi się, że trochę przesadzasz.

Pomoc Berengarii nie była już potrzebna, wokół Gorama zrobiło się tłoczno, gdy zjawił się Jaskari. Dziewczyna była poza wszystkim wycieńczona, siadła więc z tyłu gondoli i spoglądała na ponury płaskowyż. Skrzydła ptaków rozbiły wiele latarni, światło więc przygasło. Widziała jednak, że ziemia pokryta jest uśpionymi ptakami, musiało ich być kilkaset, może nawet tysiąc, a grupa mężczyzn krążyła wśród nich, wstrzykując im dobroczynny eliksir Madragów.

Po wszystkich ciężkich przeżyciach nastąpiła wreszcie reakcja. Po twarzy Berengarii potoczyły się łzy, a ona nawet nie podniosła ręki, żeby je obetrzeć.

- Smutno ci, Bengaria? - spytał cienki dziecięcy głosik tuż obok.

Obie dziewczynki stały przy niej i patrzyły na nią szeroko otwartymi oczyma.

Berengaria spróbowała się uśmiechnąć i pomogła im wdrapać się na siedzenia.

- Chyba jestem bardzo zmęczona - powiedziała. -Ale rzeczywiście, trochę też mi smutno, to przez Gorama i Lilję.

Żal mi też samej siebie, dodała w duchu, lecz nie powiedziała na głos. Nie chciała już bardziej mieszać dziewczynkom w głowach.

- Dolam choly? - spytała Kata.

- Tak, Goram bardzo chory. Zaraz przyleci gondola i zabierze go razem z Jaskarim do szpitala. A wy nie chciałobyście nią polecieć, dziewczynki? Do domu? Małe rozjaśniły się.

- Do domu? Do mamy? - spytały chórem.

Bardzo chciały.

Berengarii również zaproponowano powrót, lecz odmówiła. Byli przecież inni, którzy powinni polecieć przed nią.

Załadowano więc gondolę rannymi i najmocniej wystraszonymi robotnikami.

Berengaria patrzyła, jak gondola wznosi się pod niebo i kieruje w stronę domu.

Ten widok sprawił, że przejęło ją poczucie opuszczenia, poczuła ukłucie żalu.

Nie było ono jednak zanadto dotkliwe.

Dolg i Ram opuścili się nad kamienne bloki, wśród których schronili się Marco,

Móri, Erion i Faron. Przywitała ich złowieszcza cisza.

Na wszystkich skałach siedziały nieruchomo przyczajone ptaki, przypominające sępy.

- Faron? Marco? Jesteście tam? - zawołał cicho Ram do mikrofonu, zatrzymując gondolę w powietrzu w bezpiecznej odległości.

- Jesteśmy - odparł Faron równie cicho. - Ale niewiele możemy zrobić, ten drób jest strasznie przebiegły. Ptaszyska siedzą poza naszym zasięgiem, a gdy tylko ośmielimy się pokazać, rzucają się na nas jak... No cóż, jak drapieżne ptaki, wszystkie na raz. Marco i Móri oberwali już tyle, że więcej nie zniosą, a Erion jest śmiertelnie zmęczony. Czy macie broń?

- Tak, możemy strzelać z powietrza.

- Chcecie, żeby wszystkie obsiadły gondolę? One są ciężkie, możecie mi wierzyć. Natychmiast spadniecie!

- Rozumiem - powiedział Ram. - No cóż, zdołaliście chyba powalić ich sporo, bo widzę, że cała ziemia wokół jest nimi usłana.

- Owszem, ale te usypiające naboje nie działają przez całą wieczność, sytuacja naprawdę staje się krytyczna.

- Musimy się więc pośpieszyć.

Wspólnie obmyślili plan i zaraz wprowadzili go w życie.

Ram i Dolg wylądowali po drugiej stronie przesmyku, dokładnie naprzeciwko przyjaciół. Z tego miejsca zestrzelili kilka siedzących na skałach ptaków, a gdy reszta rzuciła się do ataku na nowego wroga, przywitał je ogień z dwóch stron.

- Ojej, mogą się teraz wystraszyć - mruknął Dolg.

- Nie sądzę - odparł Ram. - One są nadzwyczaj agresywne.

- I odważne - dodał Dolg nie bez współczucia. - No cóż, teraz będzie im lepiej.

Spostrzegł, że niektóre z ptaków leżących na ziemi zaczynają się ruszać. Ubrał się więc w kombinezon ochronny znajdujący się w wyposażeniu gondoli.

- Oszalałeś! - wykrzyknął Ram. - Nie możesz przecież wyjść!

- To konieczne, wszystko będzie dobrze. Żeby tylko żaden nie spadł mi na głowę.

- Postaramy się.

Dzięki systemowi łączności również czterej ich towarzysze ukryci między kamiennymi blokami dowiedzieli się, jakie zamiary ma Dolg, i także bardzo się zaniepokoiili.

- Zaklęcia nie działają - przestrzegł syna Móri. -Próbowałem, lecz te istoty przesiąkły złem bijącym od ciemnej wody.

- Jak mogliśmy wówczas zapomnieć o tych ptakach?

Pierwsza potyczka dobiegła końca, ptaki powróciły na swoje punkty obserwacyjne, ale stado poniosło wielkie straty, mężczyźni strzelali, ile tylko starczyło im sił.

Dolg podszedł do drzwi, potem wyjął farangil i szepnął do niego:

- Nie zabijaj, tylko strasz.

Właściwie nie wolno mu było zabierać kamieni w Góry Czarne, długo jednak rozpatrywał wszystkie za i przeciw, aż stwierdził wreszcie, że to nie będzie groźne. Teraz cieszył się, że miał je przy sobie.

Wyszedł.

Czarne ptaszyska natychmiast zanurkowały ku niemu niczym czarne pelikany rozbijające tafle wody. Przyjaciele Dolga strzelali jak szaleni.

Syn czarnoksiężnika obiema rękami uniósł kamień w górę. Farangil rozjarzył się, czerwony blask przeciął powietrze.

Z przenikliwym wrzaskiem ptaki zaczęły się wycofywać.

- Sam się wystraszyłem - przyznał Erion. - Nigdy wcześniej nie widziałem świętego kamienia w akcji.

- Jedynie Dolg może sobie pozwolić na coś takiego - powiedział Marco dumny, że ma takiego przyjaciela. Cały czas nie przestawali strzelać. - On jest panem tych kamieni, strzeże ich z czułością, a one go za to ubóstwiają.

- Tobie więc nie są posłuszne?

- Nie. Tylko Shira raz miała z nimi do czynienia, i to na prośbę Dolga. Nikt inny nie może ich dotknąć. Jedynie Villemann, brat Dolga, trzymał kiedyś w dłoniach szafir,

lecz nigdy farangil.

Freki z nadzieją czekał, że i on będzie mógł przystąpić do działania. Może pociągnąć jakieś okropne ptaki za ogon?

- Nie tutaj - odparł Ram. - Zostań raczej w gondoli i bądź przy Gerim, gdy się ocknie.

Faron zorientował się w poczynaniach Dolga i zawołał nieco zirytowany:

- Dolg! Masz przy sobie oba kamienie, zabrałeś je tutaj?

- Tak.

- To dlaczego nic o tym nie powiedziałaś? Niebieskim szafirem mogłaś przecież uratować Gorama!

- Byłem trochę zajęty.

- No tak, rzeczywiście. Idziemy do ciebie!

Przybiegli do niego wszyscy, chronieni promieniami farangila. Oślepienie ptaki nie mogły się dłużej bronić, strzelali więc do nich po kolei, a Dolg z Erionem tym, które zaczynały się poruszać, wstrzykiwali eliksir.

Wreszcie w ciasnej przełęczy zapadła cisza. Dolg podziękował farangilowi za pomoc i troskliwie zapakował kamień, który powoli przygasał.

Faron wezwał panie powietrza.

- Czy są jeszcze jakieś ptaki?

- Nie, wszystkie zostały pojmane, nie ma ich już nigdzie, dajemy na to słowo.

Potem przywołał Tella.

- Natychmiast przyślij tu pospieszną gondolę. Dolg i Marco muszą czym prędzej wracać do Królestwa Światła, żeby ratować Gorama.

Jeśli on w ogóle jeszcze żyje, dodał w myślach.

Uporali się z pracą w przełęczy, pilnie bacząc, aby wszystkie ptaki otrzymały swoją porcję eliksiru. Podobnie jak na płaskowyżu przekonali się, że drapieżne ptaki już po chwili zaczynają się kurczyć i zmieniać w niegroźne, przypominające trochę kruki, choć dużo mniejsze ptaszki.

Znów ta specjalność Gór Czarnych: wykorzystywanie niewinnych stworzeń przez

powiększanie ich rozmiarów i wpajanie im zła.

Gdy zapadła noc, monterzy mogli udać się na spoczynek w swoich gondolach, by następnego dnia już spokojnie podjąć pracę przy budowie masztu. Większość członków specjalnej grupy mogła powrócić do Królestwa Światła.

Odjechali Marco i Dolg, Marco w bardzo złym stanie, źle też było z Mórim, którego Erion opatrzył w gondoli.

Ale wtedy Sol już spała wtulona w ramię Kira, a Indra w objęciach Rama.

Berengaria siedziała oparta o ścianę i spoglądała w noc Gór Czarnych. Czuła się ogromnie samotna.

25

Dzięki medycznej wiedzy Jaskariego, niebieskiemu szafirowi Dolga i leczącym dłoniom Marca udało się przywrócić życie pragnącemu śmierci Lemuryjczykowi.

Ciężka to była praca, on bowiem w niczym nie pomagał, a rana w piersi, zadana przez ptasi szpon, okazała się bardzo głęboka, sięgała prawie do samego serca.

Uratowali Gorama. Wyglądało jednak na to, że on wcale się z tego nie cieszy.

- Potrzebny jesteś w świecie na powierzchni Ziemi - rzekł Ram poważnie, gdy przyszedł do niego do szpitala.

Goram popatrzył na niego niezbyt przytomnie.

- Czy Lilja też wyjdzie na zewnątrz?

- Tak, ale tym się nie przejmuj, ona będzie razem z Dolgiem.

- Wobec tego spróbuję - szepnął, a potem znów stracił świadomość.

Powrócił do świata żywych, lecz w jego oczach nie było już radości.

Ram, Faron i Marco odbyli bardzo poważną rozmowę z dowódcą Elity Strażników.

- Czy nie da się cofnąć tej obietnicy złożonej Świętemu Słońcu? - spytał Faron.

- Niestety - odparł wysoko postawiony Strażnik. - Przysięga dochowania cnoty jest jedną z naszych najważniejszych.

- Uważam, że to zupełnie niepotrzebna obietnica - wtrącił się Ram. - Lilja przecież również służy Słońcu.

- Lecz nie w taki sam sposób.



- Ale dwoje młodych ludzi cierpi.

Dowódca Elity Strażników westchnął.

- Wiem, jak się teraz miewa Goram, sam też przeżyłem podobny uczuciowy problem, ale mnie się udało z nim uporać - oświadczył z dumą.

- A tej kobiecie? - spytał cicho Marco. - Czy jej także się udało?

Przywódca milczał. Twarz miał niezgłębioną.

Długo czekali, lecz nie doczekali się na odpowiedź.

U Berengarii zadzwonił telefon, w słuchawce odezwała się Indra.

- Będą teraz zapalać wielkie Słońce. Ram i ja wybieramy się w Góry Czarne, pojedziesz z nami?

- Bardzo chętnie. Dobrze jest obserwować takie wydarzenie z miejsca dla orkiestry, a przecież to po części również nasze dzieło.

Z powodu czarnych ptaków i sporych strat wśród robotników montaż masztu nieco się opóźnił, teraz jednak wszystko już było gotowe do uroczystego odsłonięcia.

Stawili się również wszyscy uczestnicy ostatniej wyprawy. Wyjątkiem był Goram, który musiał zebrać siły przed podróżą na powierzchnię Ziemi. Stali teraz na płaskowyżu wśród wiejącego wiatru i starannie otulali się ubraniami, jak gdyby chcieli się ochronić przed nieprzyjnym mrokiem Gór Czarnych. Wielu ludzi obserwowało doniosłe wydarzenie także w Ciemności, gdyż z Królestwa Światła nowego Słońca nie dało się tak wyraźnie zobaczyć.

Maszt był olbrzymi, tak wysoki, że nie dawało się dostrzec jego czubka.

Berengaria nie zazdrościła tym, którzy mieli wspiąć się na wierzchołek, wiedziała jednak, komu przypadnie zaszczyt zapalenia Świętego Słońca.

Wybrańcem był Móri, czarnoksiężnik, któremu tak wiele zawdzięczano i który nigdy nie podkreślał znaczenia swych dokonań. Pod tym względem przewyższał go jedynie syn Dolg, najskromniejszy bohater w całym Królestwie. Móri wraz z paroma odważnymi monterami byli już na górze, wkrótce miała nastąpić wielka chwila, pozostawały zaledwie dwie minuty do wyznaczonego czasu.

- No i co wy na to, dziewczęta? - rozległ się głos Farona. Stanął za Indrą i Berengarią i położył im ręce na ramionach. - Zmarzłyście?

- Tak, wielki-wodzu-który-podkradasz-się-od-tyłu - powiedziała cierpko Berengaria.

- Ale lubimy marznąć w takich emocjonujących okolicznościach.

Od jego dłoni, spoczywającej na ramieniu dziewczyny, było ciepło. Uśmiechnął się trochę drwiąco.

- Ty i Indra zawsze macie na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, ale to naprawdę wielka chwila, którą pragnę przeżyć razem z wami.

- A więc udzielamy ci pozwolenia - roześmiała się Indra. - Wydaje mi się, że wszyscy wnieśliśmy swój wkład w wybudowanie tego masztu.

- Owszem, wszyscy mamy prawo tak czuć, ale teraz czas już nadszedł.

Na płaskowyżu zapadła cisza. Jedyne wiatr szarpał za ubrania i zawodził na podtrzymujących maszt stalowych linach.

Wiadomo było, że w Królestwie Światła i w Ciemności wygłoszone zostaną uroczyste przemówienia, zagrają orkiestry i zaśpiewają chóry. Tu niczego podobnego nie planowano. Całe szczęście, tą okolicą władała jedynie wielka cisza pustkowiec.

I nagle otaczający ich mrok rozerwało promienne światło, musieli osłonić oczy, tak bardzo było bowiem mocne.

A zaraz potem ukazały się Góry Czarne w całej swej przytłaczającej okazałości. Jasne i piękne, wprost zapierające dech w piersiach.

Światło było mocne, ale też i miało docierać daleko.

Święte Słońce oświetlało teraz całe wnętrze Ziemi, które stało się jednym królestwem.

Królestwem Światła.

Dwa dni później Elena wybrała się z Miszą do sklepów stolicy. Zamierzali kupić mniejsze i większe rzeczy do nowego domu w krainie Timona.

W ostatnim czasie rysowali, planowali i dyskutowali z ekspertami, najzupełniej

obojętnie traktując zajęcia przyjaciół z ich grupy. Oczywiście zauważyli, że wielkie Słońce świeci teraz nad całym wnętrzem Ziemi, bo to przecież właśnie ono oświetlało ich działkę, poza tym jednak niewiele ich to interesowało. Żyli w swoim własnym małym świecie, a Elena nigdy nie była równie szczęśliwa jak teraz. Nareszcie czuła się jak ryba w wodzie, miała wiele zajęć w domu, odnalazła miłość i spokój. A Misza nieustannie ją podziwiał i szczerze się cieszył, że nie musi wyprawiać się na poszukiwanie niebezpiecznych przygód. Pragnął zostać nauczycielem jak jego ojciec, podjął już decyzję.

Siedzieli teraz w kawiarnianym ogródku, odpoczywali po odwiedzeniu sklepów z zasłonami, gdy Elena powiedziała nagle:

- Popatrz w tamtą stronę, to przecież Ram. I oczywiście Indra. Są też inni, Dolg i Móri.

- Idą wszyscy! - wykrzyknął Misza. - Czyżby szli na postój gondoli?

- Tak - sapnęła Elena. - Wybierają się do bazy raketowej. Wychodzą na powierzchnię Ziemi. O, jest też i Marco! Kochany Marco, on nas opuszcza, jak sobie teraz damy radę?

- Ram chyba mówił, że Marco będzie pomagał jakiejś grupie badaczy.

- Tak, to, zdaje się, wiąże się z warstwą ozonową i lodem na biegunach - potwierdziła Elena. - Idzie też Berengaria, moja piękna kuzynka. Pomyśl tylko, a jeśli nigdy więcej ich nie zobaczymy?

Oddalali się coraz bardziej od Eleny i Miszy, których nie zauważyli. Elena patrzyła za nimi ze łzami w oczach. Szła Sassa z Jorim, Kiro i Sol, Lilja, która miała działać razem z Dolgiem.

- Widzę, że Faron czeka na nich z Erionem - powiedział Misza, który w napięciu śledził całą scenę. Większość z tych ludzi była przecież jego przyjaciółmi.

- Tak, ale Obcy nie wyjdą na zewnątrz. Widziałam, że Faron ścisnął Indrę i Sassę. Lilję też. Ale Berengarii tylko podał rękę.

- To bardzo brzydko z jego strony.

- No, oni się tak dobrze nie znają. Berengaria nie brała udziału w wielkiej

ekspedycji.

- Mhm, masz rację. Och, będę za nimi tęsknić.

- Ja także - powiedziała Elena roztargnionym głosem.

Wkrótce jednak Elena i Misza stracili dawnych przyjaciół z oczu, a potem prędko o nich zapomnieli, wracając do swoich spraw.

Opuścili już tę grupę, podobnie jak wcześniej zrobili to Oriana i Thomas, a także Paula i Helge. Oko Nocy właściwie także nie zaliczał się już do dawnego kręgu przyjaciół. Jego żona spodziewała się dziecka, a ponadto był wodzem, dlatego też musiał zostać przy Indianach. Siska również nigdzie się nie wybierała ze względu na Gwiazdeczkę, lecz ona i Oko Nocy musieli być gotowi do wyjazdu w każdej chwili, gdy tylko zaistnieje potrzeba, by stawili się wszyscy wybrani. Nie wiadomo było, na co mają się przygotowywać.

Yorimoto znalazł sobie sympatię i był nią bardzo zajęty, Jaskari został wśród zwierząt.

Grupa przyjaciół trochę się skurczyła.

Duchy jednak towarzyszyły im nadal, niewidzialne jak zwykle.

W gondoli wiozącej ich do bazy większość udających się na powierzchnię Ziemi siedziała w milczeniu. Nie wiedzieli, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzą Królestwo Światła.

Walczyli dotychczas z potworami najróżniejszej maści, teraz pozostawało im stawić czoło najgroźniejszemu ze wszystkich stworzeń.

Człowiekowi.